

BUNT UMIARKOWANYCH
Dwie trzecie z nas ma dość
partyjnej nienawiści

SPOKÓJ PONAD SIŁY
Jak w politykach
zwyciężają złe emocje

PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ
Związki partnerskie
czy radykalna laickość

MARCIN MASECKI
Muzyka „Zimnej wojny”,
Bach i inne piosenki

Kraków 3 lutego 2019 nr 5 (3630) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

O. Ludwik Wiśniewski

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

OSTRZEGAM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425





weź, wspieraj!

Kupując prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, **bezpośrednio wspierasz** suwerenność naszego pisma, warunek rzetelnego i niezależnego dziennikarstwa.

Wpłacając darowiznę na rzecz Fundacji Tygodnika Powszechnego, masz swój wkład w ważne projekty **reporterskie i wydawnicze**. Robiąc zakupy w internecie, możesz wspierać nasze działania nawet **bez wydawania pieniędzy**.



faniMani

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Wejdź na powszech.net/prenumeruj i wybierz najlepszą dla siebie opcję prenumeraty – roczną, kwartalną, z wydaniem specjalnym, w opcji ekonomicznej lub priorytetowej.

faniMani.pl

Pod artykułami na www.TygodnikPowszechny.pl znajduje się przycisk, dzięki któremu możesz szybko i w prosty sposób przekazać nawet symboliczną kwotę na rzecz naszej Fundacji, która przeznaczy ją w całości na projekty wydawnicze, np. magazyn „Książki w Tygodniku”. Liczy się każda wpłata!

To nic nie kosztuje! Twoja darowizna zostanie przekazana podczas zakupów w internecie, jeśli tylko zainstalujesz w przeglądarce wtyczkę Fani Mani i wskażesz Fundację Tygodnika Powszechnego jako tę, z którą **sprzedający przez internet dzieli się zyskiem z transakcji**. Sprawdź na powszech.net/wspieram

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartałna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE”
W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: Sposób ojca Ludwika

KIEDY W GDAŃSKIM KOŚCIELE MARIACKIM NA pogrzebie Pawła Adamowicza o. Ludwik Wiśniewski po wygłoszeniu przemówienia wrócił na swoje miejsce (siedziałem obok niego), postawiłem mu najgłupsze z możliwych pytanie: „Jak ojciec to robi?”

Przy urnie z prochami prezydenta Gdańska przemawiało wiele osób. Mówili przyjaciele i mówili ci, których piastowany urząd obligował do zabrania głosu. Jedni mieli tekst starannie przygotowany, nawet napisany, inni raczej improwizowali. Słuchaliśmy w skupieniu. Było to obcowanie z tym, którego postać była w tych dniach obecna w myślach wszystkich Polaków: wszyscy chcieliśmy zrozumieć znaczenie tej śmierci. Kiedy, jako kolejny mówca, stanął przed zgromadzonymi o. Ludwik Wiśniewski, w kościele zrobiło się jednak zupełnie cicho. Rodzina Pawła Adamowicza wcześniej poprosiła go o homilię, jednak tę chciał wygłosić gdański arcybiskup, co z racji pełnionego urzędu było całkiem zrozumiałe. O. Ludwik, jak przypuszczam, w przemówieniu podzielił się tym, co zamierzał powiedzieć w homilii.

Kiedy zakończył inwokację do Matki Bożej, patronki kościoła, wszyscy zgromadzeni spontanicznie wstaliśmy z miejsc i słowa zakonnika przyjęli długimi oklaskami, pierwszymi w trakcie tych żałobnych uroczystości. Choć przecież to, co mówił, prawie nie odbiegało od tego, co starali się powiedzieć inni – więc wyjaśnienia genezy spontanicznej reakcji sama zawartość przemówienia nie tłumaczy dostatecznie.

Czym tak poruszył zgromadzonych? Tego dotyczyło moje niewczesne pytanie, na które jedyną odpowiedzią było jego zdumione spojrzenie. Zrozumiałem wtedy, że on tego nie „robi”, bo tego się zrobić nie da. Trzeba po prostu być ojcem Ludwikiem.



Iluz z nas, przemawiających publicznie, przygotowując swoje wystąpienia poddaje się presji pytania: „jak to przyjmą?”. Otóż o. Ludwik nie zastanawiał się nad tym ani przez chwilę – jestem przekonany. Medytując, co ma powiedzieć na tym niezwykłym pogrzebie, zajął w swoją zboląłą duszę. Mówiąc, dzielił się swoim bólem i przerażeniem. Choć o tym, że trzeba skończyć z językiem nienawiści, wspomnieli niemal wszyscy, tylko jemu głos się załamał, kiedy mówił o bezpodstawnych oskarżeniach. Stał przed nami człowiek szczerze zboląły naszym losem. Nie socjolog, politolog, polityk, działacz, ale człowiek widzący otchłań zła, które się kryje w każdej z wymienionych jego postaci. I człowiek, który wierzy, że nazywając zło po imieniu, poruszy sumienia i zmieni bieg historii.

Nie pierwszy raz tak właśnie brzmiał głos o. Ludwika. Jego kolejne artykuły w „Tygodniku Powszechnym” były jak głos proroków, którzy piętnowali, ostrzegali, nawoływali do przemiany. Ileż to razy ich głosu nie słuchano, ileż to razy kazano im milczeć i próbowano zmusić do milczenia, uznając tym samym siłę ich słów. Ileż razy się okazywało, że nawet jeśli stracili życie, ich słowa nadal żyły.

Nieco się zapędziłem. Nie mam przecież zamiaru z o. Ludwika robić proroka Jeremiasza. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że mało jest księży, których Polacy słuchają z tak wielką uwagą. Mówią do nas wybitni kaznodzieje, teologowie, asceci, przemawiają do nas biskupi, w listach pasterskich i osobiście, płynnie do nas mnóstwo słów z rozgłośni katolickich lub tych, które się za katolickie uważają. Jednak głos tego dominikanina, wychowawcy kilku pokoleń dobrych ludzi, wśród nich się wybija. ©

TP

Ewa Lipska z Nagrodą im. Jerzego Turowicza!

Poetka Ewa Lipska otrzymała Nagrodę im. Jerzego Turowicza za tomik „Pamięć operacyjna”, a także całokształt twórczości. Nagrodę w imieniu Fundacji wręczyła Elżbieta Jogalla, córka Jerzego Turowicza.

„Bez wierszy Ewy Lipskiej nie wiedzielibyśmy czegoś ważnego o naszym czasie i o nas samych. W twórczości poetki nie ustaje ruchliwy ferment, mrowienie obrazów i znaczeń. Dzieje się tak dlatego, że w utworach Lipskiej tkwią drzazgi czegoś realnego, co nami szarpie i boli” – mówił w laudacji prof. Paweł Próchniak.



Nagroda Jerzego Turowicza została przyznana po raz piąty, ale Ewa Lipska jest już szóstą laureatką. W poprzednich latach laureatami byli kolejno: Joanna Olczak-Ronikier, Marcin Zaremba, Andrzej Brzeziecki oraz Monika Sznajderman i Paweł Machcewicz.

22 Spokój ponad siły

ANDRZEJ

STANKIEWICZ

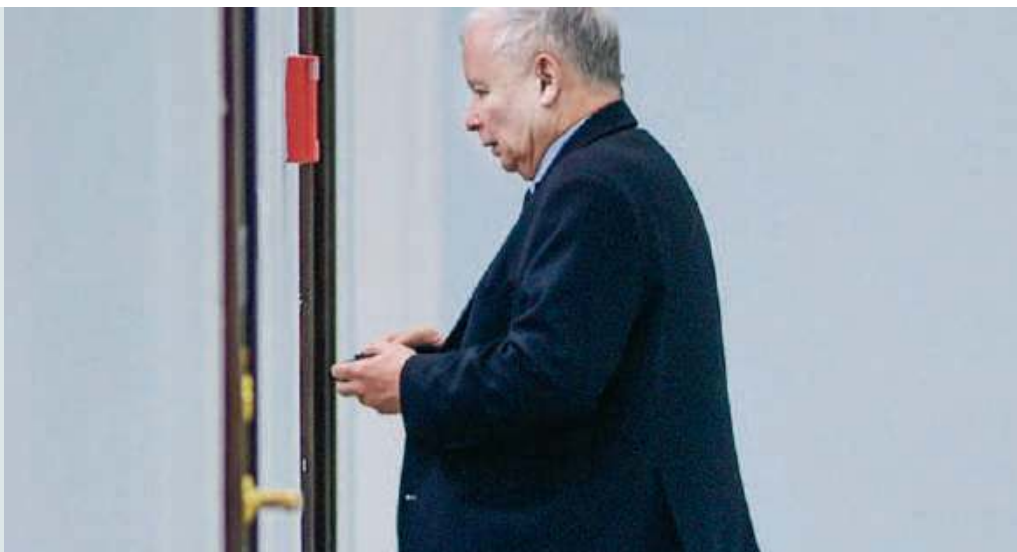
*Brutalne starcie**Kaczyńskiego i Tuska
to tylko kwestia czasu.***26 Bunt****umiarkowanych**

ROZMOWA

Z JAROSŁAWEM

FLISEM,

SOCJOLOGIEM:

*Kolejne wybory
wygra ta strona,
wykaże się większą
empatia wobec strony
przeciwnej.***32 Związki****partnerskie**

SEBASTIAN

DUDA

Temat

*„prawdziwego
rozdziatu”**Kościół
od państwa
powraca coraz
silniej.**Czy czeka nas
laickość podobna
do tej we Francji?***46 Bez jednej nogi**

DARIUSZ ROSIAK Z TEL AWIWU

*Nakazywanie mi, bym przyjął wolę większości, to jak nakazywanie
kiedyś białemu w RPA, aby zaakceptował apartheid, bo chcą tego
inni biali – mówi izraelski adwokat Palestyńczyków.***70 Taka magia**

ROZMOWA

Z MARCINEM

MASECKIM,

MUZYKIEM

I KOMPOZYTOREM:

*Różnorodność
muzyki jest
ogromną wartością
naszej dziwnej
epoki. Możemy
używać muzyki
do celów czysto
rozrywkowych,
do celów religijnych,
do celów wzniosłych,
do celów
żartobliwych.***78 Miej górę****lub rzekę**

ROZMOWA

Z CECYLIA

MALIK,

ARTYSTKĄ

I AKTYWISTKĄ:

*Dzieci wszystko
rozumieją niemal
automatycznie,
to dorosłym
trzeba tłumaczyć.
Czym ja się
zajmuję? Robię
bajki! Pływam
łódeczką, plotę
warkocze, chodzę
po drzewach.*

■ TEMAT TYGODNIKA ■

- 6 Nowy traktat w Akwizgranie**
PAWEŁ BRAVO
- 8-11 Wiadomości /Komentarze**
- 20 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

- 22 Spokój ponad siły**
ANDRZEJ STANKIEWICZ
- 26 Bunt umiarkowanych**
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM
- 29 Kilka scen z rewolucji**
KRZYSZTOF STORY *opowieść o warszawskim Teatrze 21*

■ ■ WIARA

- 32 Związki partnerskie**
SEBASTIAN DUDA
- 36 Dawniej domena diabła, dziś Ducha Świętego**
JÓZEF MAJEWSKI: *Nauczanie Kościoła o innych religiach ostatnio zrobiło kolejny zwrot*
- 39 Wizerunek człowieka**
KAROL KLECZKA: *Nowe badania nad Całunem Turyńskim*

■ ■ OPINIE

- 42 Pralnie reputacji**
ROZMOWA Z ANANDEM GIRIDHARADASEM, AUTOREM KSIĄŻKI „ZWYCIĘZCY BIORĄ WSZYSTKO”

■ ■ ŚWIAT

- 46 Bez jednej nogi**
DARIUSZ ROSIAK



12 Ostrzegam

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Zarzucono mi, że swoim wystąpieniem na pogrzebie prezydenta Gdańska dziele Polskę i mówię głosem jednej strony. To nieprawda.

16 Sama widzę: upraszczałam

ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ DULKIEWICZ, PEŁNIĄCĄ OBOWIĄZKI PREZYDENTA GDAŃSKA:

Media publiczne zobojetniły nas na kłamstwo, a gdy przekroczyły pewną granicę, przestaliśmy się temu dziwić. W Gdańsku tego nie odpuścimy.

■ FELIETONY ■

- 31 ANNA DZIEWIT-MELLER** **41 SZYMON HOŁOWNIA**
57 ANDRZEJ STASIUK **76 JAN KLATA**
77 PAWEŁ BRAVO **82 STANISŁAW MANCEWICZ**
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Fotografia: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

- 50 Gorzkie święto**
WOJCIECH JAGIELSKI: *Wybory w Kongu rozpoczęły w Afryce demokratyczny maraton*
- 53 Bruce Willis z Banja**
ŁUKI DARIUSZ KAŁAN z *Bośni i Hercegowiny o dziennikarzach, którzy decydują się na niezależność*
- 55 Pierwszy czeski terrorysta**
PATRYCJA BUKALSKA

■ ■ HISTORIA

- 58 Okrągły Stół: jak było**
ŁUKASZ KAMIŃSKI

■ ■ NAUKA

- 62 Klucz do wszystkiego**
BARTOSZ KABAŁA
o komórkach macierzystych

■ ■ KULTURA

- 66 Księgi, optony i lektany**
MACIEJ JAKUBOWIAK: *Pierwszy bestseller autorstwa algorytmu przeczytamy w okolicach 2050 roku*
- 70 Taka magia** ROZMOWA Z MARCINEM MASECKIM
- 72 Uwięzione w gobelinie** ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Faworyta”*
- 73 Warto zobaczyć w TV**
- 74 Pośmiertne życie zimnej wojny** JAKUB MAJMUREK *o serialu „Odpowiednik”*
- 76 Straszewicz przypomniany**
LEKTOR *o korespondencji Giedroycia i Straszewicza*
- ■ ZMYŚŁY
- 78 Miej górę lub rzekę**
ROZMOWA Z CECYLIĄ MALIK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**

Więcej szacunku dla rapu ulicznego i mniej instynktownej wrogości wobec jego przedstawicieli – **RAFAŁ WOŚ** zachęca do otwarcia serc i uszu na to, co właściwie „rynsztokowi raperzy” do nas mówią. tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **17 mgnień Rosji**

Władimir Putin zadzwonił do Nicolása Madura i zapewnił, że nadal uważa go za jedyne prawowitego prezydenta i swojego kumpla – **ANNA ŁABUSZEWSKA** o tym, jak Kreml patrzy na Wenezuelę labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

➔ **Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA**

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ
TYGODNIA



AKWIZGRAN: TYLKO TYLE I AŻ TYLE

Nowy traktat francusko-niemiecki potwierdza, że współpraca obu tych państw napędza Europę. Nie on jeden zdecyduje jednak o przyszłym kształcie Unii.

PAWEŁ BRAVO

EMMANUEL MACRON I ANGELA MERKEL podpisali we wtorek 22 stycznia w Akwizgranie nowy traktat o współpracy francusko-niemieckiej. Data i miejsce są znaczące. Prezydent i kanclerz spotkali się w rocznicę podpisania w 1963 r. przez Charles'a De Gaulle'a i Konrada Adenauera traktatu elizejskiego. Dokument miał wymiar epokowy – zakończenie wielowiekowej rywalizacji dwóch wielkich państw miało zmienić dynamikę polityki kontynentalnej. W tym sensie był to równie ważny akt integracji europejskiej co równoległy rozwój Wspólnot Europejskich. Od samego początku tandem Paryż–Bonn/Berlin był motorem całego przedsięwzięcia.

Akwizgran to dawna stolica państwa Karola Wielkiego, o którym mawia się, że podjął pierwszą udaną próbę jednoczenia Europy. Wybór miejsca zatem symboliczny – i w równym stopniu nostalgiczny. Dbłość o symbole odwraca uwagę od kryzysu projektu, który się na takie ponadtysiącletnie zaszczości powołuje. Traktat dużo mówi o pogłębianiu współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa i rozwoju oraz wzmacniania Europy – po prostu sankcjonuje stan faktyczny, czyli dobrze naoliwioną przez 60 lat koordynację działań między Paryżem a Berlinem. Nie zapisano w nim nowych, radykalnych kroków ku większej spójności: tu wielkie, federalistyczne ambicje Macrona, cho-

*Prezydent
Macron
i kanclerz
Merkel
podpisują
traktat,
Akwizgran,
22 stycznia
2019 r.*

ciażby projekt solidnego budżetu strefy euro i ścisłej unii bankowej, napotykać niezmiennie opór Merkel, która musi się liczyć z oporem głównego nurtu własnej klasy politycznej, przywiązanej do wcale nie takiej zużytej idei suwerenności państwa narodowego (oraz pilnowania własnej sakiewki).

Wcale nie jest oczywiste, czy gdyby Macronowi i Merkel udało się pokonać opory przed integracyjnym skokiem naprzód, to reszta partnerów byłaby skłonna temu przyklasnąć – zwłaszcza w czasach brexitu. W istocie obecnej Wspólnoty tkwi wyjście poza tradycyjny podział na dużych i małych oraz na Zachód i Wschód – to właśnie te podziały generowały nieustanną spiralę wojen. Celnie i cierpko mówił w Akwizgranie przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk: „Europa potrzebuje dziś czytelnego sygnału z Paryża i z Berlina, że wzmocniona współpraca w małych formatach nie jest alternatywą dla współpracy całej Europy. (...) Na wschód od Niemiec są setki miejsc, gdzie europejski duch miejsca – *genius loci* – jest równie mocno odczuwalny, jak w Akwizgranie, w Paryżu czy w Berlinie”. W podobnym duchu – lojalnej współpracy w ramach Wspólnoty (czyli np. niedemolowania fundamentów państwa prawa), ale bez wołania o „więcej integracji”, kiedy obecna szwankuje – wypowiada się Mark Rutte, premier Holandii, kraju, który po brexicie ma szansę przejąć rolę lidera w liberalnej, powściągliwej narracji o takiej Europie, na jaką wszystkich stać. Takiej, jaka wyrazi się w najbliższych wyborach.

Wbrew temu, co piszą sygnatariusze głośnego apelu intelektualistów (ogłosili go w minionym tygodniu m.in. Bernard-Henri Lévy, Swietłana Aleksijewicz, Orhan Pamuk i Milan Kundera), nie będą wcale one „bitwą o cywilizację” z falangą upiórów wyciętych ze starych kronik lat 30. XX w. Kilku dziesięciu więcej populistów w Parlamencie Europejskim oznacza na pewno koniec pewnej – przyjemnej dla wielu – fazy zarządzania tym etapem Wspólnoty – ale nie koniec Europy. Jeśli coś ją wyróżniało na tle innych cywilizacji w dziejach i dawało siłę, to zdolność rozwoju poprzez kryzys. Traktat w Akwizgranie przełomu nie czyni, ale przynajmniej daje rękojmię, że w ciekawych czasach nadchodzącego przesilenia dwa ważne podmioty chcą dalej utrzymać partnerskie relacje. Tylko tyle i aż tyle. ©P

Wśród Brytyjczyków rośnie frustracja

MARCIN ŻYŁA



WZDŁUŻ CIĄGNĄCEJ SIĘ SZEŚĆ MIL KRAWĘDZI Siedmiu Sióstr, najpiękniejszych białych klifów Anglii, stoją tabliczki z ostrzeżeniem – nie zbliżać się do przepaści. Lokalni przewodnicy wiedzą jednak więcej: klif może się oberwać nawet wiele metrów od krawędzi, i lepiej w ogóle trzymać się od niego z dala.

Coraz bardziej prawdopodobny tzw. twardy brexit – czyli wystąpienie Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej (planowo już za dwa miesiące) bez porozumienia z Brukselą – jest jak jazda wzdłuż krawędzi przepaści. Wiadomo, że obryw nastąpi, jest pytanie o jego skalę. Naukowcy z dwóch brytyjskich uczelni ekonomicznych ogłosili właśnie, że twardy brexit może kosztować ich kraj prawie 6 proc. rocznego PKB (dla porównania: oprócz Irlandii,

która straci 1 proc., koszty, jakie poniosą inni członkowie UE, są minimalne). Rośną złość i frustracja; według badania zaufania społecznego Edelman Trust Barometer, trzy czwarte Brytyjczyków uważa, że sprawy w ich kraju idą w złym kierunku, a 40 proc. przyznaje, że jest bardziej niż wcześniej skłonne wziąć udział w ulicznych demonstracjach, nawet gdyby kończyły się one użyciem siły. O umiar w języku zaapelowała nawet królowa.

W takiej atmosferze wzrastają siły skrajne. Nawet skompromitowany dla wielu Nigel Farage, b. lider prawicowej partii UKIP, zapowiada, że w razie jakichkolwiek opóźnień brexitu założy kolejne ugrupowanie. W znanej kiedyś z rozsądku i pragmatyzmu Brytanii nie on jeden chce kontynuować jazdę wzdłuż krawędzi klifu. ©P



MARCELO GARCIA / EAST NEWS

Wenezuela: początek końca dyktatury

ESKALUJE SYTUACJA w kluczowym państwie Ameryki Łacińskiej. W minioną środę Juan Guaidó, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Wenezueli, ogłosił się tymczasowym prezydentem. Stało się to podczas manifestacji w Caracas. Wielotysięczne tłumy protestowały przeciw kolejnej kadencji socjalisty Nicolása Maduro (wygrał on ostatnie wybory, lecz doszło podczas nich do wielu naruszeń głosowania). W ciągu kilku dni już ponad 15 państw – m.in. Stany Zjednoczone, Kanada, Izrael i kraje Unii Europejskiej – poparło działania wenezu-

elskiej opozycji i uznało Juana Guaidó za prezydenta kraju. Nadal jednak stara się on o poparcie wojska. 27 stycznia Guaidó ogłosił amnestię dla wszystkich wojskowych, którzy zdecydują się uznać go za swojego prezydenta. W odpowiedzi Maduro spotkał się z żołnierzami w Walencji, stolicy stanu Carabobo (na zdjęciu). Podczas spotkania jeden z oddziałów zapewnił go o swojej lojalności.

Sprawa wykracza już daleko poza granice Wenezueli: Maduro chce pomóc Rosji, Kuba i Chiny. Jak podaje Reuters, do Caracas przyleciało już ok. 400 członków tzw. grupy Wagnera, prywatnej organizacji wojskowej z Rosji, którzy będą chronili dyktatora. © DOMINIKA MATEJKO



ODD ANDERSEN / AFP / EAST NEWS

Niemcy rezygnują z węgla do 2038 r.

TAK WŁAŚNIE uzgodniła w sobotę 26 stycznia powołana przez rząd w Berlinie tzw. komisja węglowa, skupiająca polityków, przedstawicieli koncernów energetycznych, ekologów i naukowców. Teraz rząd Angeli Merkel ma przekuć ten kompromis w ustawy, które trafią do parlamentu. To dalszy ciąg niemieckiej „Energiewende”, czyli transformacji energetycznej.

Pierwsze elektrownie węglowe mają być zamknięte już do 2022 r. (tego samego, w którym wygaszone będą ostatnie niemieckie elektrownie jądrowe), a ostatnie najpóźniej w 2038 r. Środki w wysokości 40 mld euro pomocy mają trafić do regionów, w których zakończy się wydobywanie węgla brunatnego, głównie na wschodzie kraju (kopalnie węgla kamiennego zamknięto już w grudniu 2018 r. i ten surowiec pochodzi tylko z importu). Odszkodowania otrzymają też koncerny energetyczne, jeszcze nie wiadomo jak wysokie.

W 2018 r. energia ze źródeł odnawialnych po raz pierwszy wyprzedziła węgiel jako główne źródło produkcji prądu w Republice Federalnej. Ale mimo dużych inwestycji, Niemcy nie osiągną ustalonego na 2020 r. celu obniżenia emisji dwutlenku węgla o 40 proc. wobec poziomu z 1990 r. (do 2017 r. udało się je zmniejszyć o 27 proc.). Szybsze odejście od węgla ma pomóc wypełnić kolejny cel: obniżenie emisji o 55 proc. do 2030 r.

© GRZEGORZ SZYMANOWSKI z Berlina

KRAJ W SKRÓCIE

ZATRZYMANIE. Legendarny rzecznik b. szefa MON Antoniego Macierewicza Bartłomiej M. został zatrzymany przez CBA jako jeden z sześciu podejrzanych m.in. o powoływanie się na wpływy i czerpanie z tego korzyści materialnych. W mediach trwa spór, czy akcja świadczy o surowości PiS, zwalczającego nieprawdopodobnie we własnych szeregach, czy przeciwnie: o tychże nieprawdopodobnych wielomiesięcznym tolerowaniu.

TOLEROWANIE. A propos tolerowania: w Oświęcimiu, w dniu obchodów rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, odbyła się manifestacja narodowców, a prowadzący ją jegomość miał wykrzykiwać: „Czas walczyć z żydostwem i uwolnić od niego Polskę!”. Policja nie interweniowała, ale zapewniła na Twitterze, że „bezpośrednio po zakończeniu zabezpieczenia” przystąpiła „do analizy zgromadzonego materiału”. Analizy zgromadzonego materiału dokonały też światowe media.

ANALIZOWANIE. A propos analizy: w cieniu niecodziennego zachowania wicepremiera Głińskiego w radiu RMF (zerwał wywiad i wyszedł ze studia po jednym z pytań) zaniknęła kwestia, którą postawił Robert Mazurek: nagłego zmniejszenia rządowej dotacji dla Europejskiego Centrum Solidarności do 4 mln zł, mimo złożonej kilka miesięcy wcześniej promesy na 7 mln (więcej na s. 10).

OBRAŻANIE. A propos niecodziennych zachowań. „Jesteście śmieszni, nieaktualni. Czuć od was naftaliną” – mówiła Ewa Kopacz z PO na partyjnym konwentu do wszystkich tych, którzy próbują „pozbawić Polki osobistego wyboru”, a rzeczniczka PiS wzięła to do siebie.

LICZBA TYGODNIA

254 000

Tytuł użytkowników Facebooka zapamiętało – z inicjatywy Patrycji Krzywińskiej – „Ostatnią Puskę Prezydenta Adamowicza”.

Zebrane pieniądze trafiły na konto WOŚP.

Emerytura dla matek 4 plus

MOŻE ICH BYĆ DZIŚ W KRAJU 85 TYSIĘCY. To matki, które urodziły co najmniej czwórkę dzieci, i albo nie uzyskały – mimo osiągnięcia odpowiedniego wieku – prawa do emerytury bądź renty, albo otrzymują środki niższe niż minimalne. Rząd przyjął projekt ustawy o rodzicielskim świadczeniu uzupełniającym. Wpłaty minimalnych emerytur – dziś to 1100 zł brutto – ruszą 1 marca. „Nowymi przepisami chcemy uhonorować osoby, które, żeby wychować co najmniej czworo dzieci, zrezygnowały z pracy, a dziś żyją na granicy ubóstwa” – przekonuje Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Krytycy przekonują, że „Mama 4 plus” krzywdzi kobiety, które pracowały, wychowując równocześnie dzieci. I że utrwali model rodziny z kobietą pozostającą w domu.

© P PW

Polska jest więzieniem



MICHAŁ OKOŃSKI

WSKRÓCIE: WYPUSZCZONO NA WOLNOŚĆ potwora. Kogoś, kto nie podlega domniemaniu niewinności i w zasadzie nie powinien mieć adwokata. Kogoś, kto siedział za krótko, bo niedobry sąd nie dość, że nie ukarał go surowiej („Wyrok niestety w tym przypadku był taki niski. Za niski!” – mówił Wirtualnej Polsce wiceminister Patryk Jaki o Stefanie W.), to jeszcze nie skierował do odbywania kary w tzw. systemie terapeutycznym – tak, by po jej zakończeniu mógł trafić do zamkniętego ośrodka w Gostyninie. Żeby uniknąć podobnych tragedii w przyszłości, trzeba wsadzać na dłużej, a przy okazji zmienić prawo tak, by o kierowaniu osadzonych na przymusowe leczenie mogły wnioskować do sądu organy państwowe, a nie rodzina.

Trudno o tym pisać w kontekście dokonanego na oczach całej Polski morderstwa, ale pisać trzeba: ten populizm niepokoi. Nie tylko dlatego, że rodzi podejrzenie, iż po zmianach w prawie władza będzie mogła rozstrzygać, czy kogoś wypuścić z więzienia, czy nie. Także dlatego, że prowadzi do stygmatyzowania chorych psychicznie. Że osadzonym w więzieniach odbiera prawo do myślenia o powrocie do społeczeństwa. Że unieważnia pytania o samą kondycję więziennictwa, również w kontekście troski o stan psychiczny osadzonych. Że podważa sensowność resocjalizacji (coż za naiwne brzmiące słowo w kontekście jednoznaczności dzisiejszych debat).

Wiele się mówiło po gdańskiej tragedii, że jest szansą na przemianę. Nie wyłączajmy z niej uwiecznionych.

© P

Pieczenie papieża Franciszka

EDWARD AUGUSTYN



LIKWIDACJA PAPIESKIEJ KOMISJI Ecclesia Dei, powołanej w 1988 r. do dialogu ze zbuntowanym abp. Lefebvre'em i jego zwolennikami, nie jest zaskoczeniem. Od dawna mało kto wierzył, że komisja spełni pokładane w niej nadzieje i przywróci lefebrystów do jedności z Watykanem. Mimo ustępstw kolejnych papieży buntownicy usztywniali swoje stanowisko i stało się jasne, że sprzeciwiają się nie tylko liturgii, ale i doktrynie posoborowego Kościoła. Sami zresztą nie widzieli w komisji godnego siebie partnera, do-

magając się „rozmów na najwyższym szczeblu” (z Kongregacją Nauki Wia-ry).

Likwidując Ecclesia Dei Franciszek piecze na różnie kilka pieczeni. Reformuje kurie, stawiając na struktury skuteczne i bardziej oszczędne. Spełnia prośbę lefebrystów, jednocześnie marginalizując ich problem (Kongregacja zajmuje się wieloma doktrynalnymi sporami). I osłabia skrzydło tradycjonalistów wiernych Kościołowi, którzy traktowali komisję jako własny „resort” w Watykanie. ©P



AMB-PHOTOS

Bukałow, rosyjski łącznik

„**TO PIERWSZY LOT**, na którym brakuje waszego kolegi. Tak bardzo go lubiłem” – powiedział papież do dziennikarzy w czasie podróży do Panamy o zmarłym przed miesiącem Aleksieju Bułakowie. „Był humanistą. Nie bał się zejść jak najniżej, do tego, co ludzkie, ani wznieść wysoko, ku temu, co boskie. Jego syntezy miały w sobie coś z Dostojewskiego”.

Aleksiej pochodził z Leningradu. Zanim został dziennikarzem, był dyplomatą. Od 1991 r. kierował włoskim oddziałem agencji TASS. „Jego największą zasługą – jak napisano na oficjalnej stronie Stolicy Apostolskiej – było otwarcie watykańskiego świata na media w Rosji”. Jako pierwszy watykański korespondent z tego kraju towarzyszył trzem papieżom w zagranicznych pielgrzymkach. Ale zajmował się nie tylko Watykanem – był ekspertem w sprawach włoskiej polityki i rosyjskiej literatury, szczególnie poezji Aleksandra Puszkina.

Zapamiętałem go jako mistrza dobrej rozmowy. Potrafił jednym zdaniem rozładować napięcia, do jakich dochodziło często w gronie korespondentów narażonych na stres i niespodziewane zwroty akcji podczas papieskich podróży. Był dumny z rosyjskiej i prawosławnej kultury, ale też ciekawy innych. Z szacunkiem odnosił się do katolicyzmu. Ostatni raz widziałem go podczas wizyty patriarchy Cyryla u Franciszka, którą uznał za „największą radość” w całej dziennikarskiej karierze.

Jednak nasze najważniejsze spotkanie miało miejsce w 2002 r., gdy zostaliśmy poproszeni przez Joaquína Navarro-Vallsa o przygotowanie tekstów papieskiej Drogi Krzyżowej. Aleksiej mówił, że to dla niego wielki zaszczyt. Swoje rozważanie rozpoczął fragmentem z ukochanego Puszkina, a zakończył modlitwą o jedność chrześcijan, których podzielił – „owocu grzechu” – boleśnie doświadczal.

© LUIGI ACCATTOLI

Przetł. EDWARD AUGUSTYN



LUIS ACOSTA / AFP / EAST NEWS

Panama: Światowe Dni nie tylko dla młodzieży

PODZAS SPOTKANIA z pielgrzymami ze 150 krajów papież mówił, że świat jest także dla słabych. Zresztą na całe – zakończone w minioną niedzielę – 34. Światowe Dni Młodzieży Franciszek przywiózł mocne przesłania. Nie tylko dla młodych.

Na spotkaniu z biskupami środkowoamerykańskimi przestrzegał przed „kościelnym klerykalizmem”, przyznając, że jest to zjawisko „niestety powszechne i stanowiące karykaturę i wypaczenie posługi”. Za wzór stawiał hierarchom zamordowanego w 1980 r. przez bojówki prawicowe w Salwadrze św. bp. Oskara Romero.

Odprawiając Drogę Krzyżową upominał się o uchodźców: „Jak reagujemy wobec Jezusa, który cierpi, po-

dąża, emigruje w obliczu tak wielu naszych przyjaciół, tylu nieznajomych, których nauczyliśmy się czynić niewidocznymi?”. Mówił o nadużyciach seksualnych w Kościele: „Jak łatwo wpaść w kulturę znęcania się, molestowania i zastraszania”.

Podczas mszy w panamskiej katedrze zwracając się do księży wspominał o duszpasterskim zniechęceniu, nazwał „najgorszą herezję naszych czasów” myślenie, że Bóg i wspólnota Kościoła nie mają nic do powiedzenia czy dania współczesnemu światu. W przemówieniu podczas sobotniego czuwania przekonywał, że prawdziwej wspólnoty nie znajdzie się w sieci. A podczas nabożeństwa pokutnego Franciszek wypowiadał troje więźniów. Kolejne Światowe Dni Młodzieży mają się odbyć w 2022 r. w Lizbonie.

©P ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RACHUNEK SUMIENIA. To jest czas na rachunek sumienia i na refleksję wszystkich Polaków, w której Kościół powinien mieć pierwsze miejsce, a rachunek sumienia winien zrobić jako pierwszy – powiedział KAI kard. Kazimierz Nycz, pytany o rolę Kościoła w sytuacji, która powstała po śmierci prezydenta Adamowicza. „Kościół winien nie tylko mówić, ale równocześnie sam dawać przykład tego, co się nazywa jasnym, klarownym dialogiem” – mówił metropolita warszawski.

PYTANIE DO DIENNIKARZY.

„Czy głoszona w sieciach społecznościowych antropologia jest związana z wymiarem transcendentnym, w którym człowieczeństwo odnajduje się w jedności z Bogiem, aby być prawdziwą wspólnotą osób?” – pyta abp Wacław Depo w przesłaniu do dziennikarzy i ludzi mediów z okazji wspomnienia św. Franciszka Salezego, patrona dziennikarzy, przypadającego 24 stycznia. Przewodniczący Rady ds. Środków Społecznego Przekazu Konferencji Episkopatu Polski nie poruszył tematu mowy nienawiści.

BOMBA W KATEDRZE. Papież oraz filipińscy biskupi potępiłi zamach na katolicką katedrę w Jolo na Filipinach. Na skutek eksplozji dwóch ładunków wybuchowych wewnątrz i na zewnątrz katedry w Jolo w archipelagu Sulu w południowej części Filipin zginęło co najmniej 27 osób, a 77 zostało rannych (drugi ładunek został zdetonowany po przyjeździe policji i wojska). Do zamachu przyznało się tzw. Państwo Islamskie. Archipelag Sulu zamieszkuje głównie – będąca w skali kraju mniejszością – społeczność muzułmańska.



MATERIAŁY PROMOCYJNE

Kto odpadnie z walki o Żelazny Tron?

MAMY NAUKOWY, choć anegdotyczny dowód: wszyscy oglądają „Grę o tron”. Najbardziej uważnie naukowcy z Macquarie University w Sydney, którzy opublikowali na łamach „Injury Epidemiology” (czasopisma poświęconego przyczynom najróżniejszych urazów i sposobom ich zapobiegania) analizę prawdopodobieństwa śmierci bohaterów popularnego serialu HBO. Autorzy badania

zauważają, że w europejskim średniowieczu – na którym częściowo wzorowany jest świat przedstawiony w sadze George’a Martina – 40 osób na 100 000 ginęło w wyniku przemocy. W serialu przemoc jest znacznie większym problemem. Prawdopodobieństwo zgonu w ciągu pierwszej godziny dla nowej postaci wynosi 14 proc. (rekordzista padł po 11 sekundach). Jak dotąd w serialu zginęło 186 z 330 tzw. istotnych postaci (m.in. wymienionych w napisach końcowych). Prawie trzy czwarte zgonów spowodowane było urazami, reszta – poparzeniami lub otruciem. Jedynie dwóch bohaterów zmarło z przyczyn naturalnych. Badacze analizowali takie czynniki ryzyka jak płeć, status społeczny, zawód, religia i stronnictwo. Okazało się, że najczęściej giną mężczyźni, osoby stanu niskiego, a także ci, którzy nie zmienili przynależności. Śmierć najczęściej dopada ofiary w ich własnych domach (30 proc. przypadków). Nie znamy niestety prawdopodobieństwa zgonu głównych bohaterów, ale wydaje się, że nieco bardziej martwić powinni się fani Daenerys Targaryen i Szarego Robaka niż np. Sansy Stark i Tyriona Lannistera.

To nie pierwsza publikacja poświęcona „Grze o tron” w literaturze biomedycznej. Wcześniej ukazały się artykuły na temat szarej łuszczycy – śmiertelnie niebezpiecznej choroby zamieniającej skórę w kamień, a także przystosowawczych zachowaniach bohaterów serialu w obliczu niebezpieczeństwa.

© P ŁUKASZ KWIATEK

ECS: klasa i promesa

MIAŁ PAN ZADAĆ PYTANIE o budżet kultury, który wzrósł w tym roku o 1 proc.” – zdradził słuchaczom zawiedziony minister Piotr Gliński chwilę przed widowiskowym opuszczeniem studia radia RMF, w którym wcześniej żarliwie deklarował, że „poważni ludzie w poważnych sprawach potrafią zachować klasę”. Była to reakcja na pytanie o dotację dla Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, które zamiast przyrzeczonych latem 7 mln zł ostatecznie dostać ma tylko określone w umowie z 2013 r. 4 mln zł.

Resort kultury w oświadczeniu tłumaczy wzburzenie swojego szefa tym, że pismo skierowane w czerwcu do Basila Kerskiego, dyrektora ECS, nie stanowiło „promesy finansowej”, a miało być jedynie „zawiadomieniem do projektu budżetu państwa”. Jeśli promesą nie jest każde pisemne zobowiązanie czy deklaracja wykonania jakiejś czynności, trudno uważać za taką wystosowane

niecałe cztery miesiące później kolejne pismo, w którym Gliński poinformował dyrektora ECS o równie „wstępnym limicie dotacji”.

Jest szansa, że któreś z zawiadomień osiągnie oczekiwany status promesy po planowanym na ten tydzień spotkaniu komisarzy Gdańska Aleksandry Dulkiewicz z ministrem Glińskim.

Przypomnijmy, że tylko w roku otwarcia dotacja dla gdańskiego Europejskiego Centrum Solidarności wynosiła 6 mln zł (w innych latach zawsze przekraczała 7 mln zł). Nagłe obcięcie budżetu to skutek niepokojących Glińskiego działań, które resort traktuje jako niezgodne ze statutem instytucji (chodzi m.in. o spotkania organizowane tu przez Lecha Wałęsę i Grzegorza Schetnę). Postępowanie ministerstwa ma tym donośniejsze skutki, że będzie to rok dla placówki szczególnie ze względu na obchody 30. rocznicy czerwca 1989 r., czyli upadku komunizmu.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA



ARMED FORCES OF THE PHILIPPINES / EAST NEWS

Protest polskich humanistów

MONIKA OCHĘDOWSKA



UCZESTNICY NADZWYCZAJNEGO KONGRESU Nauk Humanistycznych wezwali do wstrzymania się od wprowadzania w życie rozporządzeń Konstytucji dla Nauki. Zdaniem organizatorów sobotniej debaty, która odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim, obowiązująca od października ustawa prowadzi do deprecjacji nauk humanistycznych. Największe kontrowersje budzi rozporządzenie dotyczące kosztów studiów i badań naukowych, zmniejszające ich finansowanie nawet o 40 proc. Resort już kilka dni temu zmienił wskaźniki, wyrównując je z tymi, które przewidziano dla nauk inżynieryjno-technicznych i ścisłych.

Sprzeciw humanistów budzi także nowy podział dziedzin i dyscyplin naukowych

opracowany na podstawie klasyfikacji OECD, w wyniku którego z wykazu zniknęła m.in. etnologia. I wreszcie: resort w trosce o podniesienie jakości i „międzynarodowej widzialności polskiej nauki” postanowił punktować przede wszystkim prace pisane w języku angielskim, co – szczególnie w przypadku językoznawstwa i literaturoznawstwa – wydaje się nieuzasadnione. „Żeby »zapunktować«, trzeba pisać tak, jak sobie życzy redakcja »Hypatii« z listy filadelfijskiej, a nie tak, jak np. mógłby życzyć sobie, żeby rzetelnie analizować artyzm jego słowa, Bolesław Leśmian”, argumentował Andrzej Nowak. Uczestnicy czekają na odpowiedź ministra Gowina 30 dni. Nie wykluczają akcji protestacyjnej. ©



MICHAŁ KOŚC / FORUM

Granice świata według Mirośława Bałki

W LONDŃSKIM WHITE CUBE otwarto wystawę Mirośława Bałki „Random Access Memory”. Jedną z galeryjnych sal została przecięta ścianą z blachy falistej. Pozostała niewielka przestrzeń, która pozwala przejść do kolejnego pomieszczenia. Ono także zostało przegrodzone, jeszcze większą ścianą. Widz może się jedynie do nich zbliżyć. Dalej nie ma wstępu. A same blaszane ściany zostały podgrzane do temperatury 45°C. Wydają miłe ciepło, ale dla człowieka to linia graniczna (w ciele rozgrzanym do 45°C dochodzi do nieodwracalnych zmian).

Tytuł wystawy odnosi się do systemu komputerowego przechowywania danych, a jednocześnie przywołany został na niej fragment poematu Lukrecjusza „De rerum natura” opisujący epikurejską wizję świata. Blaszane ściany mają się kojarzyć z murami granicznymi – realnymi, jak mur Trumpa na granicy USA z Meksykiem, lub symbolicznymi, by przypomnieć hasła zwolenników brexitu. A co jest za nimi? „Może to ziemia obiecana za murem, utopia – mówi Bałka (na zdjęciu w białostockiej Galerii Arsenali) w rozmowie z „Guardianem”. – A może nic tam nie ma”. © PIOTR KOSIEWSKI

Miroslaw Bałka, **RANDOM ACCESS MEMORY**, Londyn, White Cube Mason's Yard, wystawa czynna do 9 marca br.

KULTURA W SKRÓCIE

NA FACEBOOKU. „Chcę się skupić na integracji środowiska pisarzy”, wyznał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” Józef Ruszar, redaktor naczelny finansowanego przez resort kultury kwartalnika „Napis” obiecując, że wykluczeni ze współpracy z pismem będą tylko ci, którzy sami się wykluczą. Odzew środowiska był natychmiastowy. „Piszę do Pana już w kilka godzin po publikacji tej wypowiedzi, gdyż chciałbym być wykluczony w pierwszej kolejności”, zameldował na Facebooku poeta Jacek Podsiadło.

NA TAMBORKU. Do integracji środowisk artystycznych równie mocno przykłada się prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. Po ogłoszeniu jego decyzji o połączeniu Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki oraz Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK z pomysłu na mariaż w pierwszej kolejności wykluczili się pracownicy Bunkra Sztuki. Kibicujący kuratorom artyści postanowili o swoich emocjach nie informować na Facebooku – w minionym tygodniu swój sprzeciw wobec decyzji Majchrowskiego najzwyczajniej wyhaftowali.

NA ROWERZE. Nieco lepsze nastroje w warszawskim Muzeum Rzeźby w Królikarni. Już niebawem trafi tam okazała kolekcja prac Augusta Zamoyskiego, jednego z najśłynniejszych polskich rzeźbiarzy XX w., prywatnie także zapalonego cyklisty. Do najbardziej spektakularnych wyczynów Zamoyskiego należy przejazd rowerem z Paryża do Zakopanego. Artysta pokonał 2928 kilometrów w ciągu ledwie kilkunastu dni, przejeżdżając średnio 130 km dziennie.

NA SHORT LIŚCIE. Tomik „Asymetry” Adama Zagajewskiego w tłumaczeniu Clare Cavanagh został nominowany do National Book Critics Circle Award. To wyróżnienie dla najlepszych książek w języku angielskim, które ukazały się w USA. Z kolei tom „Aperture” Jacka Dehnela znalazł się w finale nagrody amerykańskiego PEN Clubu. Serdecznie gratulujemy!

OSTRZEGAM

Zarzucono mi, że swoim wystąpieniem na pogrzebie prezydenta Gdańska dzielę Polskę i mówię głosem jednej strony.
To nieprawda.

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

ZABIERAM PONOWNIE GŁOS, BO NADAL UWAŻAM I CZUJĘ, ŻE NIE można milczeć. Nie można zmarnować tej dziejowej chwili. Zamordowanie Pawła Adamowicza wciąż jest dla nas szansą na opamiętanie. Wydaje się, że zdecydowana większość Polaków tego chce, ale od czasu pogrzebu prezydenta narosło znów wiele nieporozumień.

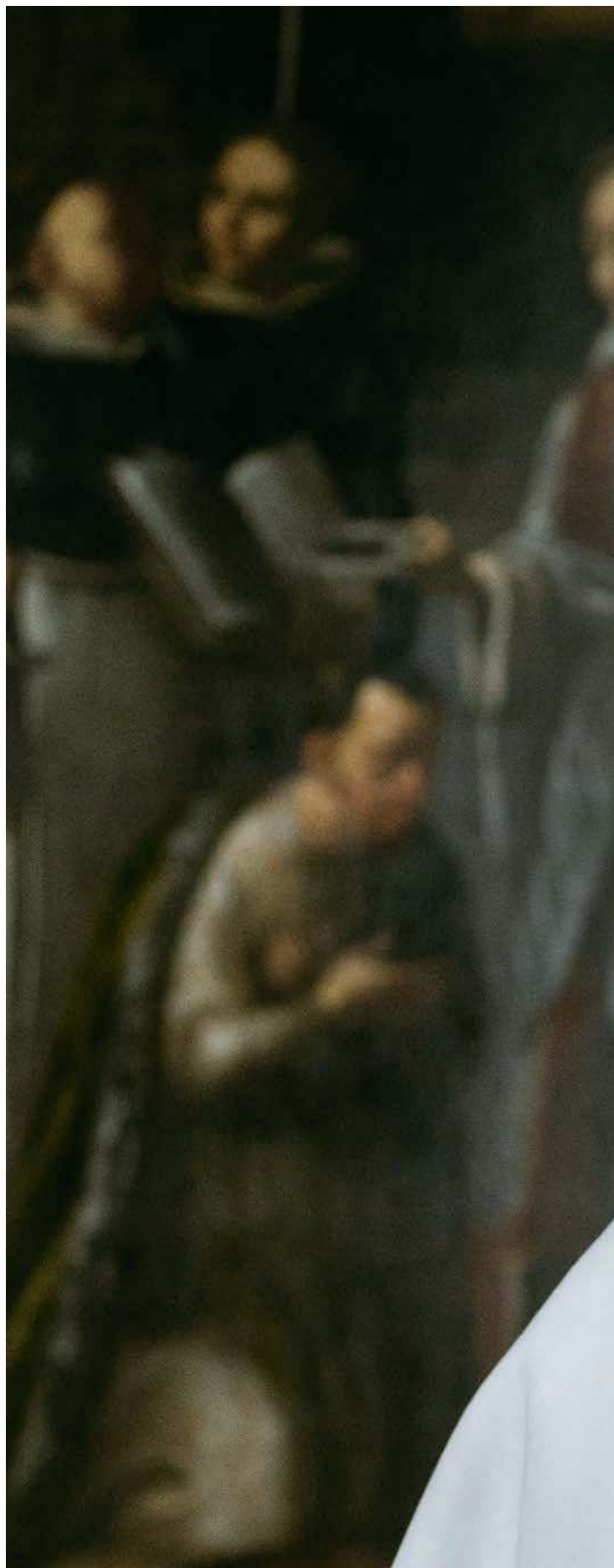
To nie jest wcale łatwe, by w imię odpowiedzialności reagować publicznie. Czasem musimy jednak z siebie wydobywać słowa, zmagać się z nimi, z sobą i światem, na którym nam zależy. Czuję, że nasza sytuacja wciąż wymaga reakcji. Nie daję mi to spokoju. Wierzę, iż to Pan Bóg sprawia, że człowiek musi ostrzegać.

Wyjaśnienie

W ostatnich dniach zostałem poproszony przez grono osób, aby porozmawiać o sytuacji w ojczyźnie po gdańskiej tragedii. Przekonywano mnie, że słowa przeciw nienawiści, które wygłosiłem podczas pogrzebu w bazylice Mariackiej, były atakiem na obecnie rządzących. To nieprawda. I jeszcze raz chcę to podkreślić: były one skierowane do wszystkich stron sceny politycznej! Ponadto zarzucono mi, że przyczyniam się do jeszcze większego podziału. „Gdzie ojciec był, kiedy po śmierci Lecha Kaczyńskiego atakowano PiS?” – pytano.

Padło też najbardziej zdumiewające oskarżenie: że nie mówię w swoim imieniu i mówię głosem jednej strony. Tak jakby dzisiaj w Polsce nie można było myśleć i mówić samodzielnie, ponad podziałem na dwa obozy.

Po moim wystąpieniu na mszy pogrzebowej dziennikarze mówili z kolei, że wielu z tych, którzy byli w kościele, poczuło się niewinnych. Grzegorz Schetyna od razu wskazał winnych: strona piśowska. Miałem już okazję w kilku miejscach to prostować, ale powtórzę także tutaj: w polskim sporze słowa nienawiści padały ze wszystkich stron. Nie ma wagi, która precyzyjnie odważyłaby winę.





GRAZYNA MAKARA

→ Przyszedł więc czas, żeby postawić kropkę w tym polsko-polskim nienawistnym sporze. Zaczniemy nowy rozdział! Przestańmy się oskarżać o zbrodnie, zdrady i niszczenie kraju! To rok wyborczy, kiedy najłatwiej puszczać hamulce – jeśli się nie opamiętamy, pozjadamy się wzajemnie.

Władysław Kosiniak-Kamysz pytał: co się jeszcze musi wydarzyć w Polsce, żebyśmy się wreszcie opamiętali – krew musi popłynąć ulicami? Jest to też moje pytanie, mój największy niepokój.

Mój apel

Chcę przypomnieć słowa wypowiedziane na mszy pogrzebowej. Mówiłem, że z Gdańska wielokrotnie wychodził głos, właściwie krzyk, który wielu ludziom przywracał moralną równowagę. Osiemdziesiąt lat temu z Gdańska, z Westerplatte, wyszedł rozpaczliwy krzyk wołający do całego świata, że wolność jest wartością bezcenną, że wolności trzeba bronić. Zawsze bronić.

Niemal 40 lat temu z Gdańska wyszedł też apel do świata, w którym dobitnie wołano, że należy porzucić stary świat – świat egoizmu, darwinowskiej walki klas. Że należy tworzyć świat nowy – świat solidarności, w którym jeden człowiek bierze na siebie brzemię drugiego człowieka. I w którym porzuca się już etos walki ze złem, a buduje się świat, w którym zło zwycięża się dobrem. Gdańsk słusznie się nazywa – i wielokrotnie powtarzało to tak dobrze mi znany Paweł Adamowicz – miastem wolności i solidarności.

Mówiłem, że przeżywamy tam, w Gdańsku, nowy dziejowy moment. Cała Polska – może nie tylko Polska – czeka, ażeby z tego miasta wyszło przesłanie, które dotrze do każdego Polaka, i które przywróci moralną równowagę w naszym kraju i w naszych sercach.

Zauważyłem, że w ostatnich dniach wielu ludzi próbowało formułować to przesłanie, które wynika ze śmierci Pawła. Byłem przekonany, iż Paweł, który jest już u Boga, chce, abym wypowiedział słowa: „Trzeba skończyć z nienawiścią! Trzeba skończyć z nienawistnym językiem! Trzeba skończyć z pogardą! Trzeba skończyć z bezpodstawnym oskarżaniem innych! Nie możemy być dłużej obojętni na panoszącą się truciznę nienawiści na ulicach, w mediach, w internecie, w szkołach, w parlamencie, a także w Kościele”.

I powiedziałem to zdanie, które odbiło się najszerzym echem, ale które też zostało najbardziej zmanipulowane: „Człowiek posługujący się językiem nienawiści, człowiek budujący swoją karierę na kłamstwie nie może pełnić wysokich funkcji w naszym kraju... i będziemy odtąd tego przestrzegać”.

Nie, nie mówiłem o jednym człowieku. Mówiłem o zasadzie.

Co trzeba zrobić

Pytano mnie: skąd w tej wypowiedzi pewność, że tak się stanie? Kto będzie tego przestrzegać?

Ja po prostu w to wierzę. Wierzę, że śmierć Pawła Adamowicza nie pójdzie na marne. Że ten dzwon już nas obudził. I że nie spadniemy z powrotem w błoto.

Decydujący będzie ten rok – rok wyborczy. Czy potrafimy zdobyć się na inny język? Język zachowujący elementarny szacunek do drugiego człowieka: inny polityk jest moim przeciwnikiem, ale on także chce dobra Polski. Mój apel dotyczył też mediów. I nas wszystkich. Jeżeli Polaków, którzy staną się wrażliwi na język debaty politycznej, będzie dużo i będą reagować na nienawistną mowę, politycy będą musieli się z nimi zacząć liczyć.

Próbowałem powiedzieć: zaczniemy od nowa i pilnujemy tego! Ale to łatwo można zmarnować. Od kiedy jestem księdzem (już prawie 60 lat), ciągle słyszę, gdy pojawiają się trudne pytania i trudne sprawy do rozwiązania: zaczniemy od siebie! A tak w ogóle to się trzeba modlić. Oczywiście: modlić się trzeba zawsze, ale nie można na tym poprzestać.

Widzę to inaczej. Jeżeli przed drzwiami leży kupa gnoju, trzeba wziąć łopatę i gnój wyrzucić. Samo odmawianie „Zdrowaś Mario” nie wystarcza.

Mój współbrat i były prowincjał o. Maciej Zięba niedawno zauważył, że „wkroczyliśmy w etap walki z nienawiścią”. Na łamach „Rzeczpospolitej” w artykule „Zaczniemy od siebie” przekonywał: „Przez cały tydzień prawie wszyscy politycy, prawie wszystkie media i prawie wszyscy celebryci ofiarnie walczyli z nienawiścią. Nienawistnicy – głównie w mediach społecznościowych, acz nie tylko – deklarowali wręcz nienawiść do nienawiści. Nawet w dniu pogrzebu Pawła Adamowicza mówiło się głównie o walce z nienawiścią”.

Odbieram te słowa jako skierowane także do mnie i jako rozmywanie nie tylko siły mojego wołania na pogrzebie, ale też jako rozmywanie siły tego tragicznego wydarzenia.

Marzy mi się powołanie nieformalnego gremium autorytetów, które przed wyborami i w ich trakcie z uwagą wsłuchiwałoby się w debatę publiczną, rozstrzygałoby, co jest mową pogardy, i piętnowałoby ją ku zawstydzeniu ludzi, którzy chcą się nią posługiwać. Do tego grona mogliby należeć ludzie o nieposzlakowanych życiorysach, reprezentujący różne strony naszej, tak zróżnicowanej, ojczyzny.

Służba dla innych

Pewne kręgi zarzucają mi, że wygłosiłem polityczne kazanie. Nigdy nie mówiłem i nie mówię politycznych kazań. Jasno odróżniam politykę od metapolityki. Polityka jest sztuką zdobywania władzy i rządzenia. Metapolityka jest obroną wartości, na których powinno się budować państwo.

W soborowej konstytucji o Kościele czytamy: „Kościół jest w Chrystusie jakby sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jednością całego rodzaju ludzkiego” („Lumen gentium”). Wyraźnie jest tu określony podwójny cel Kościoła: ma prowadzić ludzi do Pana Boga, ale ma też łączyć ludzi. Ma stać na straży jedności rodzaju ludzkiego, a to znaczy, że ma się też przeciwstawiać nienawiści.

Jeśli chcemy zrozumieć, na czym polega służba publiczna, musimy przyjąć za swoje kilka wartości. Najpierw bezinteresowność – polityka nie może być sferą załatwiania prywatnych czy grupowych interesów.

Potem szacunek dla innych. Jeśli ktoś uważa, że na prawdziwe pojednanie jest jeszcze za wcześnie, to jednak nie jest za wcześnie na wyzbycie się pogardy do drugiego człowieka i nienawiści. A wyzbyć się nienawiści oznacza: zrezygnować z chęci odwetu, zrezygnować z agresji słownej, pomodlić się – jeśli jest się wierzącym w Pana Boga – za człowieka, z którym jeszcze nie potrafię się pojednać.

Wreszcie niezbędna jest sama zdolność do kompromisu. Joseph Ratzinger jeszcze jako kardynał napisał, że duszą polityki jest kompromis. Muszą być brane pod uwagę różne propozycje rozwiązania problemów. Dopiero poprzez starcie się tych propozycji można dojść do rozwiązań, które budują dobro wspólne. Siły polityczne, które nie są zdolne do kompromisu, niszczą państwo.

Wspomnienie Pawła

Paweł Adamowicz był wzorem samorządowca. Nie pamiętam naszego pierwszego spotkania. Był za młody, by znaleźć się w duszpasterstwie, które prowadziłem w Gdańsku w latach 60. i na początku lat 70. Ale tak jakoś było, że kiedy już się spotkaliśmy, od początku złapaliśmy porozumienie – właściwie rozumieliśmy się bez słów. On szukał kontaktu ze mną. Przed wyborami samorządowymi byłem w Gdańsku na jakiejś debacie. Poprosił o rozmowę. Siedliśmy w kącie, niewiele sobie wówczas powiedzieliśmy, ale czułem, że jemu potrzeba tej rozmowy.

Widziałem też, jak przygotowywał swoich wiceprezydentów: Olę Dulciewicza i Piotra Grzelaka. Nazywam ich swoimi wnukami, gdyż ich rodzice byli w moim duszpasterstwie. Oli życzą teraz dużo siły.

Wielu świadków i komentatorów życia Pawła podkreśla, że za czasów jego prezydentury Gdańsk stał się metropolią i urosł do rangi serca Europy. To prawda. Paweł był niezwykle dobrym gospodarzem miasta i niezwykle dobrym prezydentem. Dbał, by miasto było po prostu piękne, było centrum kultury i zachowało wszystko to, co dla Polaków jest najważniejsze. Chciał, aby Gdańsk był niejako „wizytówką Polski”. I do tego doprowadził. Miał ambitną wizję rozwoju miasta, czego już – niestety – nie będzie mógł zrealizować.

Ale Paweł dbał nie tylko o ulice, place, mosty, osiedla – nade wszystko dbał o konkretnego człowieka, zwłaszcza skrzywdzonego, wykluczonego i bez dachu nad głową. Trzeba zebrać liczne świadectwa świadczące o wielkim umyśle, ale też o wielkim i czułym sercu prezydenta Pawła.

Tak – tak, nie – nie

Był taki moment, kiedy wydawało się, że dzięki stanowczości kilku prezydentów miast, w tym Pawła Adamowicza, uda się przełamać niezrozumiałe opory polskich władz i będzie możliwość przyjmowania na leczenie dzieci z krajów, gdzie szerzy się wojna. Paweł z innymi prezydentami zgłosił władzom gotowość wzięcia na siebie pełnej odpowiedzialności za to dzieło i opracował szczegółowy plan pobytu w Polsce chorych dzieci. Nie udało się tej akcji przeprowadzić. Pozostał tylko żal i wstyd za polski kraj... „Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie” – mówił Chrystus. My, Polacy, nie przyjęliśmy Go.

W Gdańsku nie mówiłem o konkretnym człowieku – mówiłem o zasadzie. Trzeba zacząć od nowa, w służbie publicznej stawiając na bezinteresowność, szacunek dla innych, zdolność do kompromisu.

Już jakoś tak jest na tym naszym ziemskim padole, że człowiek bezinteresownie służący innym ludziom jest nie tylko nierozumiany, ale często oskarżany. Nie chcę szczegółowo przypominać, o co Paweł był oskarżany. Najbardziej zdumiewającym zarzutem był ten o brak patriotyzmu.

Prezydent Paweł Adamowicz nie był urzędnikiem siedzącym za biurkiem. To był człowiek dostrzegający drugiego człowieka, to był człowiek służby.

Św. Paweł w liście do Rzymian pisał: „Nikt z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie; jeżeli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana, jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana”. Żyjemy i umieramy dla Pana, a to oznacza, że żyjemy i umieramy także dla innych ludzi. Prezydent Paweł Adamowicz żył dla swojej rodziny, ale także dla miasta Gdańska, i umarł dla nas wszystkich. Był przejrzysty – nie udawał, nie kręcił, nie kłamał. Będzie Gdańskowi go brakowało. Jego wizji rozwoju Gdańska i jego stanowczości. Jego „tak – tak, nie – nie”, przy jednoczesnym poszukiwaniu kompromisu z każdym przeciwnikiem politycznym.

Kalwaria

Dobrze wiem, co przeżywa rodzina Pawła Adamowicza. Pragnąłbym ukoić ich ból, ale jestem bezradny. Mogę jedynie razem z nimi patrzeć na krzyż Chrystusa – krzyż okrutny, ale zwycięski. I płakać.

Paweł zginął, kiedy uczestniczył w zbiórce Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – tego wspaniałego, niezwykłego dzieła Jerzego Owsiaaka. Zginął, kiedy ludzie, przede wszystkim młodzi ludzie w całej Polsce, wpatrzni byli w niebo, wysyłając do nieba światełko, a razem ze światełkiem to, co w człowieku najpiękniejsze: dobroć i miłość. Dzień Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zawsze kończy się jakby pukaniem do nieba o rozlanie dobroci i miłości wśród nas. I wtedy to się stało. Niesamowite! Zwały się ze sobą i splotły nienawiść z miłością. Jak na Kalwarii. To jest dramatyczna, niesamowita, ale wielka lekcja dla nas wszystkich. Bob Dylan śpiewał w piosence „Blowin’ in the Wind” („Odpowie ci wiatr”): „Jak blisko śmierć musi przejść obok nas / By człowiek zrozumiał swój los”. Więc pochyliliśmy się nad tą śmiercią, która ma nas wszystkich nauczyć, jak żyć.

Nasz Mistrz, nasz Pan powiedział kiedyś, że na Sądzie Bożym Syn Człowieczy do tych, którzy szli przez życie uczciwie, powie: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźcie w posiadanie Królestwo przygotowane wam od założenia świata, bo byłem głodny, a daliście mi jeść. Byłem spragniony, a daliście mi pić. Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie...” ©

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Sama widzę: upraszczałam

ALEKSANDRA DULKIEWICZ, P.O. PREZYDENTA GDAŃSKA:

Media publiczne zobojętniły nas na kłamstwo, a gdy przekroczyły pewną granicę, przestaliśmy się temu dziwić. W Gdańsku tego nie odpuścimy.

MARCIN ŻYŁA: Ktoś mi poradził: „Gdańsk to miasto marzycieli. Rozmawiaj z nią jak z kimś, kto ma ich teraz ochronić”.

ALEKSANDRA DULKIEWICZ: Hmm...

Przed tym, co się potem dzieje z marzeniami.

To jeden z powodów, dla których w tych dniach nie śpię. W Europejskim Centrum Solidarności przed trumną z ciałem prezydenta Pawła Adamowicza pokłoniło się 53 tys. ludzi. Stali w chłodzie, deszczu, śniegu, nikt nie narzekał. Podobnie było w kondukcie do bazyliki Mariackiej oraz podczas pogrzebu. W różnych miejscach Gdańska uroczystość oglądało ponad 40 tys. osób.

Wie pan, jak my, Polacy, potrafimy się „aferować”. A tu wszyscy zachowywali się godnie. To była jakby inna nasza dusza, inna strona człowieczeństwa.

Nie śpię, bo myślę: jak zagospodarować tę dobrą energię?

To jak?

Niech zło, które się stało, zostanie przekute w dobro. To już jest coś – że po tym wszystkim jesteśmy dla siebie odrobinę lepsi. Że pani Patrycja Krzywińska zorganizowała na Facebooku zbiórkę, która przyniosła Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy prawie 16 mln złotych.

Szef napisał niedawno książkę „Gdańsk jako wspólnota”. Nie mógł wiedzieć, że staniemy się nią tak szybko.

Po zabójstwie prezydenta Adamowicza wiceprezydent Gdańska Piotr Kowalczuk spotkał się z matką Stefana W.

Ja też, jeśli tylko będzie chciała się ze mną spotkać, zrobię to. Przecież przeżywa dramat osobisty i rodzinny. Dużo

o tym rozmawiam z żoną pana prezydenta, Magdaleną Adamowicz. Ona też twierdzi, że nie ma do sprawcy, do jego rodziny, żadnego żalu, żadnej złej emocji. Raczej współczucie. Niezależnie od tego, w jakiej sytuacji się jest, trzeba pozostać człowiekiem.

Boże, jakie te słowa są banalne.

A gniew? Co z nim robić?

Tyle że ja czuję, że gniew właśnie przekuwamy w coś dobrego. Nie ma go w słowach rodziny pana prezydenta, jego współpracowników, nie ma go wśród gdańszczyzan. Uczymy w szkołach na temat mowy nienawiści, zaczynamy się zastanawiać nad odpowiedzialnością za własny język.

Sama teraz widzę, że upraszczałam pewne rzeczy. Mam inną wrażliwość, inaczej myślę o podstawowych wartościach – wolności, demokracji, praworządności, konstytucji – niż obecnie rządzący. I nie raz z moich ust, może nie publicznie, ale w domu, padały pod ich adresem różne słowa.

Rozmawiała Pani o tym z córką?

Tak.

Jak?

Przyznałam mojej Zosi, że parę razy za mocno powiedziałam o tej czy innej osobie. I że od dziś postaram się już tak nie mówić. Dzieci przejmują taki język.

Myśli Pani, że podobne rozmowy odbywały się w rodzinach polityków PiS-u?

Mam nadzieję, że tak. Nie jestem naiwna. Nie wierzę w ogólnonarodowe pojednanie. Przeżywaliliśmy je już po śmierci Jana Pawła II i krótko po Smoleńsku, po czym ponownie powstał rów

między dwiema Polskami. Ale choćby kilka osób przemyślało teraz swoje zachowanie... Przecież ktoś podaje dalej złe słowa polityków: rodzice, wychowawcy, dziennikarze. Świat na lepsze zawsze zmienia się powoli. Ale, dzięki prawdzie, zmienia się.

Trzeba piętnować materiały i autorów, którzy kłamią?

Nie mam telewizora. Nie towarzyszy nam w życiu domowym, nie sączą się z niego bieżące pyskówki.

Media publiczne zobojętniły nas na kłamstwo, a gdy przekroczyły pewną gra-



nicę, przestaliśmy się temu dziwić. Kiedy słyszę Jacka Kurskiego, gdańszczanina, człowieka z piękną kartą historyczną, jak grozi pozwem Adamowi Bodnarowi, który prawdziwie mówi, że TVP manipuluje – to jeży mi się włos na głowie.

W Gdańsku tego nie odpuścimy. Mamy już jeden proces z TVP Info. Za materiał sprzed ponad dwóch lat o tym, że miasto będzie przyjmowało imigrantów. Pokazano w nim drastyczne sceny, wywołano poczucie zagrożenia. Pierwsza rozprawa odbyła się niedawno. Teraz, po śmierci szefa, który podpisywał pozew, proces odroczone.

Gdańsk to pierwsze miejsce w Polsce, które wyrwie się z nienawistnej, plebiennej narracji?

Nie wiem. Myślę, że nikt z nas nie ma prostej odpowiedzi.

Paweł Adamowicz proponował budowę nowej wspólnoty. Chciał uzupełnić demokrację o element debatu. Aby równi wobec siebie obywatele mieli jak i nauczyli się przedstawiać racje. A czasem: ustępować.

Organizujemy w mieście panele obywatelskie. Pieczę naukową sprawuje nad

nimi politolog dr Marcin Gerwin. Ludzi, którzy w nich biorą udział, dobieramy tak, aby reprezentowali całe społeczności i aby zachowywać warunek równości. A za pracę dostają dietę. Rozmawialiśmy w ten sposób m.in. o gospodarce wodnej i ochronie powietrza. Jeden z przykładów: mieszkańcy chcieli, aby na tablicach informacji przystankowej były dane o aktualnym skażeniu powietrza. I to już zostało wprowadzone.

Szef wrócił niedawno ze Stanów. Mówił, że w Kalifornii przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu każdy dostał pocztą do domu broszurę tłumaczącą ➔



ALEKSANDRA DULKIEWICZ była (od 2017 r.) zastępczynią prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Prawniczka, wcześniej pracowała m.in. w Europejskim Centrum Solidarności. Od 2010 r. radna miasta; w ostatnich wyborach startowała z ramienia komitetu Wszystko dla Gdańska. 17 stycznia premier mianował ją komisarzem (p.o. prezydenta miasta), którym będzie do wyborów w marcu.

Nad Motławą, 22 stycznia 2019 r.

→ zasady głosowania i przedstawiającą kandydatów – sfinansowaną przez państwo. Tak się pokazuje ludziom, że są współodpowiedzialni.

My takiej demokracji musimy się jeszcze nauczyć. Im dłużej jestem tu, gdzie jestem, tym wyraźniej widzę – i o tym mówił też pan prezydent – że gdzieś na etapie troski o najmłodsze pokolenie, na poziomie państwa, edukacji – pogubiliśmy się w tej wolnej, już niepodległej Polsce.

A Pani – jak się uczyła demokracji?

Mam szczęście do ludzi. Urodziłam się chyba pod dobrą gwiazdą. Uczyłam się w III Liceum Ogólnokształcącym w Gdańsku, miejscu ważnym dla historii opozycji demokratycznej. Były dwa takie licea: „Jedynka”, do której chodził pan prezydent, Donald Tusk, i nasza „Trójka”, gdzie chodził kwiat dziennikarstwa, od Wiesława Walendziaka, braci Kurskich, Piotra Semki, po przyszłych reżyserów filmowych. To byli ludzie wrażliwi.

Tam trafiłam na profesora, który robił więcej, niż musiał. Siedział z nami po godzinach, gdy rozmawialiśmy w politycznym klubie dyskusyjnym. Jego lekcje wiedzy o społeczeństwie były wyjątkowe.

**Tak się składa, że jesteśmy równo-
latkami. Liceum wtedy to był czas
konkursów o Europie, rozmów
o różnorodności. A wiedza o spo-
łeczeństwie – lekcji o konstytucji,
rozdziale władz. To była silna edu-
kacja obywatelska. Jeśli teraz, po latach,
okazuje się, że coś takiego nie wycho-
dzi – to co może wyjść?**

Chyba nie uważaliśmy, że to jest wystarczająco ważne. Przystanęliśmy na moment. Rozwój, inwestycje, ta przysłowiowa ciepła woda w kranie... Zabrakło ducha wartości.

**A może powinniśmy wrzucić na luz
między sobą? Niedawno jechałem po-
ciągami w tzw. strefie ciszy. Pewnej
pani zadzwonił telefon. Może zapo-
mniała wytęczyć dźwięk. Wstała inna
pasażerka i zaczęła krzyczeć: że ma
być cisza, że „jak pani może!”. Pomy-
ślałem: u nas nawet w strefie ciszy
musi być terror. Dlaczego nie dopusz-
czamy do siebie, że czasem można
czegoś zapomnieć, pomylić się,
czegoś nie pamiętać?**

To działa w dwie strony. Z jednej strony jest obojętność na zło albo, żeby nie uży-

ALEKSANDRA DULKIEWICZ:

Samorządowcy nie są tylko
od dziur w jezdni.
Będziemy zabiegać
o masowy udział
w tegorocznych wyborach.
I nie damy się
wyprowadzić
z Unii Europejskiej.

wać wielkich słów, na niedopełnianie reguł. Z drugiej – bardzo dużo agresji.

Pewnego dnia jesienią wyszłam już z urzędu i stałam na przejściu dla pieszych. Jeszcze na czerwonym zadzwonił telefon. Nie powinnam mówić przez telefon przechodząc przez przejście, ale odebrałam i zrobiło się zielone. Niechcący zaśłazłam drogę jakiejś pani. Wiecheć – bo to nie była wiązanka – wiecheć przekleństw, które od niej usłyszałam, był przerażający. Powiedziałam: „Nie zauważyłam pani”, przeprosiłam. To ją tylko podkreśliło. Inni ludzie, którzy przechodzili ulicę, stanęli po mojej stronie. Ucieszyła mnie ta reakcja. Widać, że jest w nas coraz więcej odwagi.

Ale kiedy moja przyjaciółka, psycholog dziecięca, zwróciła w autobusie uwagę matce, która szarpała swoje dziecko, to ludzie na nią nakrzyczeli, że się wtrąca w wychowanie dzieci. Więc gdzieś podskórnie toczy się w nas walka dobrych emocji ze złymi. I tej obywatelskości, stawania po stronie dobra będzie coraz więcej. Musimy się tylko na pewne rzeczy w społeczeństwie umówić: że nie ma zgody na agresję i nienawiść.

A na co jest?

Na prawdę. Na praworządność. Ale widzi pan, miasto to nie jest duża polityka. Ja po prostu wierzę, że polityka to roztropna troska o dobro wspólne. Oraz dialog. Dlatego bliskie mi są nadchodzące rocznice obrad Okrągłego Stołu i wyborów czerwcowych. I to, co wydarzyło się w Stoczni w sierpniu 1980 r., gdy dwie strony sporu umiały usiąść przy stole i porozmawiać. Jak w domu, w rodzinie.

Moi rodzice należeli do pierwszych sygnatariuszy Ruchu Młodej Polski. Nie byli działaczami pierwszego szeregu, ale żyli w trudnym czasie, kiedy za stanięcie po jednej ze stron groziło choćby zwolnienie z pracy. Gdy ktoś się wychowuje w takim domu w Gdańsku, musi za ważną uważać solidarność. Świadomie postanowiłam kiedyś, że będę pracować w Europejskim Centrum Solidarności – to było oddanie czegoś moim rodzicom. A dzisiaj, tak jak nigdy, potrzebujemy solidarności – w Polsce i Europie.

**Trudno u Pani wejść do urzędu i nie
zauważyć nowych mieszkańców.
Podczas pogrzebu prezydenta Ada-
mowicza wymieniła Pani jako jego
osiągnięcie gdański Model Integracji
Imigrantów.**

Rząd centralny może prowadzić w tej sprawie taką czy inną politykę, ale my nie możemy udawać, że imigrantów nie ma. U nas, w Gdańsku, po prostu spotkały się, bardzo świadomie, dwie siły. Z jednej strony różne organizacje pozarządowe, m.in. Centrum Integracji Imigrantów i Imigrantek. Z drugiej – filozofia pana prezydenta, wynikająca z jego wiary w solidarność, głębokiej wiary chrześcijańskiej i z szacunku do drugiego człowieka. Myślenie szefa było w tej sprawie jasne: kiedyś na radzie miasta powiedział: „Wy byście nawet Jezusa nowonarodzonego nie przyjęli, bo był imigrantem”. Tu trzeba mocno stawać po jasnej stronie mocy. I tyle.

A jak zagospodarowywać lęk?

To zadanie dla szkół i realizowanego u nas Modelu na rzecz Równego Traktowania. W tym i poprzednim roku szkolnym podwoiła się w mieście liczba uczniów, którzy nie są Polakami. Mamy ich teraz około tysiąca. Naszym gdańskim dzieciom przybyło nowych kolegów, z którymi kopią piłkę i jedzą obiady. Inny przestaje być Obcym.

**Gdyby miała Pani napisać deklarację
ruchu samorządowego A.D. 2019, co
by się w niej znalazło?**

Po pierwsze, że samorządowiec nie jest tylko od dziury w jezdni i światła w szkole. Ustawa o samorządzie gminnym nakłada na nas różne obowiązki, ale my bierzemy też odpowiedzialność za całe wspólnoty. Jej częścią jest stanięcie po stronie wartości. W sytuacji, jaką mamy, nikt za nas

tego nie robi. To rola radnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów.

Kiedy trumna z ciałem Pawła Adamowicza była wystawiona w ECS, obok, w Sali BHP Stoczni Gdańskiej, obradowali samorządowcy. Potem prezydenci miast wnieśli ją do bazyliki Mariackiej. Odczuwa Pani oczekiwanie ludzi, że samorząd będzie zalążkiem odnowy w kraju?

Reforma samorządowa premiera Jerzego Buzka z 1998 r. to najbardziej udana reforma w Polsce. Widać to jak kraj długi i szeroki. Oczywiście, niezależnie od tego, kto rządzi w Warszawie, zawsze będziemy się z rządem centralnym ścierać – o odpowiedzialność, zadania i dopłaty. Ale jeśli powiedzie się próba ograniczenia roli samorządu – a niestety różne ruchy obecnej władzy na taką próbę wskazują – to rozmowy o subwencjach nie będą już ważne, bo samorząd nie będzie odgrywał żadnej roli. I wrócimy do planów pięcioletnich, rozdawnictwa, planowania centralnego.

To było ostatnie zadanie, jakie mi wyznaczył pan prezydent: poprosił, abym pojechała na wręczenie Paszportów „Polityki”, i na śniadanie, na które naczelny tygodnika zaprosił prezydentów największych miast. W rozmowach z prezydentami Łodzi, Lublina, Warszawy, Szczecina czy Rzeszowa stawialiśmy sprawę jasno: dziś musimy stanąć w obronie samorządu. Zabiegać o masowy udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego i parlamentarnych jesienią. Bronić zasady subsydiarno-

ści, na której opiera się Unia Europejska, z której nikomu nie powinniśmy się dać wyprowadzić.

Czy duże miasta mogą postawić tamę populizmowi? Właśnie przez pokazywanie imigrantów na ulicach, obronę wartości europejskich, przypomnienie o podziale władz.

W tym momencie musimy wrócić do tzw. politycznych aktów zgonu, wystawionych przez Młodzież Wszechpolską. Od tego się zaczęło. Podczas jednego ze spotkań Unii Metropolii Polskich prezydenci 11 miast podpisali list z apelem o integrację imigrantów. I to było przyczyną wystawienia politycznych aktów zgonu na prezydentów tych miast, w tym prezydenta Adamowicza.

Ludzie z korporacji samorządowych są członkami uniijnego Komitetu Regionów. Pan prezydent też był tam reprezentantem. My widzimy z bliska, co dzieje się w Europie. Jeśli mówimy o pracy na wartościach, to ona tak wygląda: współpracujemy, trwa wymiana wiedzy, sieciowanie. To się dzieje, wolno, stopniowo – ale się dzieje. Przecież potrzebujemy imigrantów. Dane z Pomorza wskazują, że bez nich za jakieś trzy do pięciu lat zabraknie nam rąk do pracy.

A nie boi się Pani? Tej presji – że będą Pani zarzucać, że jest idealistką, albo przeciągać na swoją polityczną stronę. Dostanie Pani dużo dobrego od ludzi, póki ta fala solidarności

z Gdańskiem płynie. Ale ona kiedyś się skończy.

Tak, skończy się.

I zostanie Pani sama.

(*długie milczenie*) Nie, myślę, że my już nie będziemy tu sami. Tu jest drużyna, którą w Gdańsku stworzył pan prezydent, sieć różnych organizacji. Na pewno nie będziemy sami.

Trochę nieuczestne te moje myśli, za co przepraszam. Ale jest też tak, że nie mam gotowych odpowiedzi, bo ja po prostu wielu rzeczy nie wiem. Niektórych rzeczy w tych dniach nikt z nas, tak myślę, nie wie. Wczoraj mieliśmy bardzo ciekawe spotkanie z Bartłojem Sienkiewiczem i prof. Rafałem Wnukiem. Było to podsumowanie debat, które organizowaliśmy – to osobista inicjatywa szefa – na stulecie odzyskania niepodległości. Raz w miesiącu, we wtorek, przyjeżdżał jakiś znany myśliciel i były rozmowy o Polsce. Ale nawet wczoraj nie padły proste odpowiedzi.

Wiem, że drogowskazem jest dla mnie ten 4 czerwca. Wokół tego trzeba budować, wokół tego, to widać, rośnie jakaś siła. Bo to jest symbol Polski, która jest mi bliska – bezkrwawej rewolucji.

Na szczęście mam tu z kim pracować. Nasi współpracownicy i urzędnicy wykonali gigantyczną pracę, dzięki której podczas uroczystości pogrzebowych pana prezydenta nikomu nic się nie stało, choć wiedzieliśmy, że przyjedzie dużo ludzi spoza Gdańska. A tylko jedno dziecko się zgubiło.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TP

8100 zł dla WOŚP za klucz do Miasta Krakowa

LICYTACJA ZAKOŃCZONA!

Klucz do Miasta Krakowa, który otrzymaliśmy z okazji 70-lecia „Tygodnika”, został sprzedany za 8100 zł, które zasilą Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

Serdecznie gratulujemy zwycięzcy!
Klucz trafił na aukcję dzięki uprzejmości
Pani ALEKSANDRY CHMIELEWSKIEJ Z GDAŃSKA,
która wylicytowała go dwa lata temu.

PAWEŁ

Śpiewak: Jak Żydzi czytają Torę (2)



PISAŁEM TYDZIEŃ TEMU, ŻE DLA ŻYDÓW ISTNIEJĄ dwie Tory. Jedna dana na górze Synaj, spisana w języku hebrajskim i po raz pierwszy przetłumaczona na inny język w połowie III wieku przed wspólną erą. Dokonali tego dzieła żydowscy mędrcy w Aleksandrii i grecki ten tekst był

szeroko znany nie tylko egipskim Żydom, ale też ewangelistom. Tora składa się z pięciu ksiąg i wierzymy, że powstała jako całość przed tysiącami lat i że jest dostępna wszystkim, którzy zechcą ją czytać. Jak czytamy w Księdze Powtórzonego Prawa, nie jest to zbiór Ksiąg odległych ludzkiemu poznaniu. Jest tutaj. I stałym nakazem jest chronić ją i studiować.

Nie ma nic pilniejszego niż jej poznawanie. To długa droga i dlatego niektórzy mędrcy uczą, że nie wolno niczego poza nią poważnie studiować. Bo w niej jest zawarta prawda ludzkiego życia i prawa dotyczące Żydów. Jasne jest, że to wielki przywilej czytać ją po hebrajsku. Wnikać w kształty liter, sposoby jej kantylacji. Rzecz cudowną jest rozmawiać o niej z przyjaciółmi i współstudentami. W tradycji żydowskiej mowa jest o *pilpul*, szczególnym rodzaju badań głównie tekstów talmudycznych. Nie tyle jest ważne dzisiaj wnikanie we wszystkie subtelności myśli. Istotniejsze jest, że bada się i rozmawia z innymi i z nimi wymienia uwagi, komentarze. Stawia pytania. Być może ważniejsze niż odpowiedzi są pytania. Albo taką rozmowę można uznać za wartą przeprowadzenia, gdy zaczyna się od jednego pytania i kończy następnym. Nie ma ostatecznych odpowiedzi. Nie ma w judaizmie autorytetów tak wielkich, by nie przyglądać się z ostrożnością czy krytycznie ich zdaniom. Judaizm bez względu na czasy oparty jest na sporach, wątpliwościach i na tym, co dzisiaj nazywamy swobodą myślenia i wolnością słowa.

Torę należy czytać po hebrajsku albo z hebrajskim oryginałem, by nie traktować najlepszych nawet tłumaczeń za wyrocznie praw i prawd religijnych. Pozwolę sobie dać tylko jeden przykład. Tora zaczyna się w naszych przekładach: „Na początku Bóg stworzył...”. Tymczasem w oryginale nie ma słowa „Bóg”. Torze to słowo nie jest znane. Wiemy natomiast, że to nie Bóg pojęty abstrakcyjnie, po grecku, ale Elohim był Tym, kto powołał świat dziesięcioma powiedzeniami. Wiemy też, że pierwszą literą Tory jest bet, które oznacza „dom” (Tora jako dom?) i które posiada wartość liczbową dwa. A dwa wskazuje na podział czegoś, podział jedni preegzystującej poza czasem. Cyfra dwa odnosi nas do tajemnicy stworzenia, a więc oddzielania różnych sfer uniwersum. Piękna i wymagająca jest tajemnica tekstu, którą tyle osób odkrywało dla siebie i nią podążało. Lubię nie tylko, jak te słowa się przelewają, ale też jak wyglądają. Bet przypomina rzeczywiście dom zamknięty z trzech stron. Litera szin każe myśleć o wiecznym płomieniu, a jud przypomina swoim kształtem przecinek zawieszony na niebie. Tak można medytować nad tymi literami bez końca, a ja tu jeszcze nie dotarłem do tego, czym jest Tora ustna. Niech mi arcybiskup Ryś wybaczy, że tak powoli zdążam do odpowiedzi na jego pytanie, jak Żydzi czytają Torę. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Nieświęta gorliwość



PROROK JEREMIASZ MÓWIŁ: „PAN PRZEMÓWIŁ DO MNIE NASTĘPUJĄCYMI SŁOWAMI (...) Czynię cię dziś umocnionym miastem, żelazną kolumną, murem ze spiżu przeciw całemu krajowi, królom Judy, jego książętom, kapłanom i ludowi ziemi. Będą walczyć z tobą, ale cię nie pokonają, gdyż Ja jestem z Tobą – wyrocznia Pana – żeby cię bronić”. Bywa jednak tak, że ci, którym prorok się sprzeciwia i których napomina, też powołują się na tego samego Boga, w imię którego prorok występuje. Doświadczył czegoś takiego Jezus: „A przechodzący [obok Ukrzyżowanego] szydzili z Niego. Potrząsali głowami i mówili: »Ty, co burzysz świątynię i w trzy dni ją odbudowujesz, wybaw sam siebie! Jeśli jesteś Synem Bożym, zejź z krzyża!«. Podobnie szydzili wyżsi kapłani, nauczyciele Pisma i starsi. Mówili: „Innych wybawiał, a sam siebie nie może wybawić! Jest królem Izraela. Niech zejdzie teraz z krzyża, to Mu uwierzmy! Zaufał Bogu, niech Go teraz wybawi, jeśli Go kocha! Powiedział przecież: »Jestem Synem Bożym«”. Między pierwszymi i drugimi zachodzi jednak różnica. Prawdziwy prorok czy wyznawca za wierność swemu Bogu gotów jest płacić własnym życiem. Fałszywy wyznawca zrobi wszystko, żeby tę zapłatę uiścił kto inny. Czasami jeden człowiek, czasami miliony ludzi. Coś podobnego przydarzyło się rodakom Jezusa.

Początek wizyty Jezusa w rodzinnym mieście dobrze rokował. Zebrani w synagodze z zachwytem słuchali jego komentarza. Wszystko się odmieniło, kiedy słuchaczom Jezusowa interpretacja Biblii wydała się heretycka: wystarczający powód, aby głoszącego tak zdrożne nauki chcieć, zgodnie z Pismem, unicestwić. „Wszyscy w synagodze (...) zawrżeli gniewem. Zerwali się, wyrzucili [Jezusa] z miasta i chcąc Go strącić w przepaść, wyprowadzili na szczyt góry, na której ich miasto było zbudowane. Lecz On przeszedł pomiędzy nimi i oddalił się”. Jak widać, stając do walki w obronie wiary i tradycji, godności i honoru, ojczyzny, Boga i Kościoła, w tym walecznym zapale łatwo przychodzi niszczyć właśnie to, co chce się ocalić.

Wynika stąd, że same deklaracje nie wystarczą: nie wystarczy np. wymalowanie na transparentach czy ubraniach Chrystusa z papieską tiarą na głowie albo ostantacyjne przebijanie paciorków różańca, żeby nasze działania nabrały chrześcijańskiego charakteru – stały się czynami Boga. Oczywiście nie wystarczy również wymazanie imienia Bożego z tychże transparentów albo sporządzenie nowych ze wzniosłymi hasłami humanistycznymi, by przez samo to działania stały się wyrazem humanizmu. Paweł Apostoł mówi: „Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość”. Miłość, czyli co? A może nie co, tylko kto? Bóg, owszem, ale nigdy sam jeden, zawsze z ludźmi, z całym stworzeniem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Słowo – Kapłan

*Kto widzi królestwo Boże,
ten wchodzi,
a kto wchodzi, ten widzi.
Widzenie bowiem
jest wchodzeniem,
a wchodzenie widzeniem.*

JAN SZKOT ERIUGENA



*Wyjmij watę nieuwagi
z ucha świadomości.*

SUFİ SADI Z SZIRAZU



Wybrał PIOTR SIKORA



CZYTAMY OSTATNIO w liturgii „List do Hebrajczyków”. To dobrze, że liturgia każe nam na nowo posłuchać tekstów, które znamy niemal na pamięć – uwalnia je w ten sposób ze skamieniałych już i zniechęconych w nas ram dawnych interpretacji.

Pierwszy z brzegu przykład słowa znającego niemal na pamięć: „Żywe jest słowo Boże i skuteczne... przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca” (Hbr 4, 12–13). Recytujemy ten tekst na zawołanie. Tekst o Słowie, które jest ostrzejsze, a więc i przenikliwsze od miecza. Wszystko przed nim jest odkryte i otwarte.

Werset 13. nie zamyka jednak rozdziału, nie stanowi puenty. Następuje po nim werset 14., i to zaczynający się niemal od „więc”: „Mając więc arcykapłana wielkiego, który przeszedł przez niebiosy, Jezusa, Syna Bożego, trwajmy mocno w wyznawaniu wiary” (Hbr 4, 14). Owo „więc” ma za zadanie łączyć – przestrzega przed odrębnym potraktowaniem obu fragmentów: „żywe jest Słowo – więc mając Kapłana wielkiego – trwajmy mocno w wierze”.

Żywe Słowo jest wielkim Kapłanem!

W swoim tłumaczeniu na łacinę św. Hieronim przypisuje „żywemu Słowu” i „wielkiemu Kapłanowi” tę samą umiejętność – umiejętność „przenikania”. Słowa „przenikliwiej niż miecz” (Włg.: „*penetrabilior omni gladio*”) rozdzielają w naszym wnętrzu duszę i ducha; Kapłan „przenika niebiosy” („*penetravit coelos*”),

by wnieść przed Oblicze Ojca żywą ofiarę z samego siebie.

Inaczej rzecz ujmując: ten, który przenika nasze serca ostrym słowem swego nauczania, z równą determinacją przenika niebiosy, by się za nami wstawiać swoim ofiarniczym czynem. Równie stanowczo dobija się do naszych wnętrz ze swym pouczeniem, co do wnętrza niebios z ofiarą z samego siebie. Nie wystarcza Mu penetrujące słowo; konieczna Mu jest penetrująca miłość.

Czy miałby „odwagę” – albo lepiej: czy przyznałby sobie prawo – rozcinać nas (nasze pragnienia i myśli) słowem niosącym osąd – gdyby równocześnie nie przedzierał się przed Tron Boży z ofiarą z siebie niosącą nam odpuszczenie grzechów?

Słowo Boga jest „żywe” – Jego życiem jest ofiara z siebie za nas. Żyje ofiarniczym aktem, nie tylko wpisana w siebie treścią. Jest miłością – nie tylko mądrością.

Trzeba się nam bardzo uczyć od Boga. Tym bardziej, im chętniej odważamy się innych pouczać. Oceniać. Osądzać.

Chętnie podejmujemy się rozdzielenia w człowieku czynów i pragnień, myśli i zamierzeń – mamy odwagę pchać się z butami w cudze sumienie, podpowiadać i dyktować. Ile nas to kosztuje? Jaką ofiarę w swym życiu podejmujemy? Ofiarę dla tych ludzi, których z taką pewnością pouczamy. Z jaką determinacją szturmowaliśmy w ich imieniu niebiosy? Z jaką miłością?

Jezus staje przed nami z klarownym przekazem: nie wystarczy kogoś uczyć. Trzeba jeszcze dać za niego życie.

Właśnie wtedy Słowo staje się żywe i skuteczne. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 II)

4. niedziela zwykła: Jr 1, 4-5. 17-19;
Ps 71; 1 Kor 12, 31 – 13, 13; Łk 4, 21-30;
Poniedziałek: Hbr 11, 32-40; Ps 31; Mk 5, 1-20;
Wtorek: Hbr 12, 1-4; Ps 22; Mk 5, 21-43;
Środa: Hbr 12, 4-7. 11-15; Ps 103; Mk 6, 1-6;

Czwartek: Hbr 12, 18-19. 21-24; Ps 48; Mk 6, 7-13;
Piątek: Hbr 13, 1-8; Ps 27; Mk 6, 14-29;
Sobota: Hbr 13, 15-17. 20-21; Ps 23; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Iz 6, 1-2a. 3-8;
Ps 138; 1 Kor 15, 1-11; Łk 5, 1-11.

SPOKÓJ PONAD SIŁY

PiS nigdy nie będzie partią umiaru, bo nie potrafi go zachować jej prezes. Donald Tusk właściwie już wrócił i znów jest liderem środowiska Platformy.

Po zabójstwie Pawła Adamowicza
ich brutalne starcie to tylko kwestia czasu.

ANDRZEJ STANKIEWICZ



TA SCENA MÓWI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM więcej niż tysiące słów. Dwa dni po śmierci Pawła Adamowicza, w Sejmie Grzegorz Schetyna wspomina prezydenta Gdańska, jest minuta ciszy i modlitwa. Kaczyński przychodzi po uroczystości – to spóźnienie zaplanowane. Wchodząc na salę, przepuszcza w drzwiach rzeczniczkę PiS Beatę Mazurek, także z rozmysłem spóźnioną. W ten sposób pokazuje jednocześnie dwa sprzeczne kulturowo oblicza: że jest tradycyjnie szarmancki wobec kobiet i całkowicie bezlitosny wobec zmarłego. Cudzego zmarłego.

Kto jest ofiarą

Żaden polski polityk nie uczestniczył w ostatniej dekadzie w tylu pogrzebach co Jarosław Kaczyński. Od Smoleńska żyje celebracją śmierci – miesięcznice, pomniki brata, poświęcone mu ronda i ulice.

Temu bolesnemu bilansowi Kaczyński nadał polityczny wymiar, obwiniając Donalda Tuska i Platformę za śmierć brata. Nawet upamiętnianie Lecha Kaczyńskiego monumentami forsuje wbrew Platformie – także wówczas, gdy niewielkim kosztem udałoby się dogadać.

Do tej pory mógł przedstawiać siebie i swoją partię jako głównych poszkodowanych w wojnie polsko-polskiej. W Smoleńsku zginęli wprawdzie przedstawiciele wszystkich politycznych rodzin, jednak to delegacja PiS była rzeczywiście największa i najwyższej rangi. No i zginął prezydent-bliźniak, co nadało Smoleńskowi nade wszystko wymiar osobistej tragedii Jarosława Kaczyńskiego.

Po brutalnym, dokonanym na oczach całej Polski zabójstwie Pawła Adamowicza sytuacja uległa jednak zmianie. Bo choć Adamowicz miał z Platformą Grzegorza Schetyny relacje co najmniej szorstkie, to oczywiste jest, iż był człowiekiem twardego, gdańskiego jądra PO, blisko związanym z Donaldem Tuskiem.

W tym sensie jego śmierć jest wydarzeniem przełomowym na scenie politycznej. Jak każda sytuacja ekstremalna, obnażyło prawdziwą sytuację. Maski opadły.

Koniec kalkulacji

Tusk czuje się zobowiązany wobec własnego środowiska, by wrócić i wziąć rewanż na PiS.

– Jeszcze niedawno Donald kalkulował, czy wracać. Uzależniał decyzję od sondaży i opinii rodziny. Teraz sytuacja jest zupełnie inna. Myślę, że wróci. Po śmierci Pawła trudno byłoby mu znaleźć wymówkę. Jest duża presja. Rozmowy trwają – opowiada wieloletni znajomy Tuska i Adamowicza.

Paweł Adamowicz zmarł w poniedziałek o 14.03. A pierwsze spotkanie polityczne zorganizowane przez Tuska w Gdańsku odbyło się już we wtorek przed południem. To wówczas nieformalnie Tusk namaścił na następczynię Adamowicza w Gdańsku jego zastępczynię Aleksandrę Dulkiwicz i oznajmił to w telefonicznej rozmowie liderowi PO Schetynie. To także on na Twitterze ogłosił jej start i swe poparcie.

W dodatku wystąpienie Tuska w dniu śmierci Adamowicza było najostrzejszym występow politycznym, niemal otwartą polityczną groźbą pod adresem PiS. „Chcę

ci dzisiaj, kochany Pawle, obiecać, że dla ciebie i dla nas wszystkich obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą” – mówił.

Nawet zdając sobie sprawę ze wszystkich braków Grzegorza Schetyny – wątpliej charyzmy, braków krasomówczych, umiarkowanej prezencji – zaskakujące jest, jak łatwo Tusk pokazał, że to jednak on wciąż ma w Platformie pakiet kontrolny.

Maski w PiS też opadły. Próba budowania łagodnego wizerunku, rozpoczęta pod koniec roku serią działań zmierzających do złagodzenia konfliktu z Brukselą, wzięła w łeb.

Okazało się, że Kaczyński jest niewolnikiem własnych uprzedzeń, co stanowi kłopot dla młodszego pokolenia polityków PiS, takich jak Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda, którzy starali się na pogrzebie Adamowicza robić dobre miny do złej gry. Nie ma miękkiego PiS, bo Kaczyński nie potrafi być umiarkowany. Jego prawdziwą naturą jest wojna.

Twarze na różną pogodę

Jest 1 października 2014 r. Tusk ustępuje ze stanowiska premiera. Po siedmiu latach rządów hegemonia, podczas których pobili Kaczyńskiego w wyborach wiele razy, oddaje władzę swej namiestniczce Ewie Kopacz. Ta wykonuje zręczny chwyt: zwraca się bezpośrednio do lidera PiS. „Nad polskim życiem publicznym od lat ciąży osobista niechęć Jarosława Kaczyńskiego do Donalda Tuska. Nie chcę tego oceniać, wiem tylko, że Tusk nie będzie już uczestniczył w krajowej polityce. Może to jest czas, powiem więcej, to jest najwyższy czas, żeby przełamać tę osobistą zapiekłość. Apeluję do Jarosława Kaczyńskiego: panie prezesie, zdejmijmy z Polski tę klątwę nienawiści”.

Tuż po tym wystąpieniu Kaczyński – ku zaskoczeniu posłów PO i swej własnej partii – podchodzi do Tuska i ściska mu rękę. „Powiedziałem mu, żeby nie wierzył, że go nienawidzę. Powiedziałem, że życzę mu powodzenia” – relacjonował.

Szybko okazuje się, że to była tylko gra na użytek ruszającej kampanii przed wyborami w 2015 r. Gdy już wygra, powie mi w wywiadzie: „Bądźmy poważni. W 2014 r. uściśnąłem rękę Tuskowi, bo Ewa Kopacz zaapelowała o »zdjęcie z Polski klątwy nienawiści«. Gołym okiem było widać, że zaczyna się wielka kampania pod tytułem: »nienawistny Kaczyński, 

→ wielki Tusk». Wyciągnięcie ręki to było posunięcie polityczne, które zneutralizowało tę operację”.

Od półtorej dekady Kaczyński neutralizuje się regularnie. Dokładnie wtedy, gdy zbliżają się wybory. Ma dwie twarze dostosowane do politycznej pogody.

Prezes zrzuca beżowy sweter

Ci, którzy jechali 10 kwietnia 2010 r. z Jarosławem Kaczyńskim na miejsce katastrofy smoleńskiej, uważają, że najbrutalniejsza faza wojny między liderem PiS a Tuskiem zaczęła się właśnie wtedy, na marnych, posowieckich drogach. Symboliczny był moment, kiedy Rosjanie spawalniali kondukt PiS, by jadący także do Smoleńska Tusk mógł go wyprzedzić. Paweł Kowal opowiada, że alarmował otoczenie premiera, iż będą z tego problemy. Bez rezultatu.

Kaczyński zagryzł zęby. Hurtowo pochował brata, bratową i najważniejszych ludzi w partii, a potem wystartował w wyborach prezydenckich, pozując na miłego, ciepłego starszego pana. Pomagał sobie lekami uspokajającymi, które podawali mu sztabowcy.

Przegrał, a owa porażka stała się dla niego punktem zwrotnym. Nie tylko pozbył się z PiS twórców gładkiej kampanii, ale przede wszystkim obrał kurs na starcie z Tuskiem. Obarczył go odpowiedzialnością za śmierć brata.

Zaczął kilka tygodni po przegranej, udzielając poruszającego wywiadu „Gazecie Polskiej”. Opowiadał w nim z drastycznymi szczegółami o wyjeździe na miejsce katastrofy i identyfikacji ciała Lecha. „Dla mnie rola premiera Tuska i premiera Putina była w tym wypadku niejasna. W mojej ocenie obaj nie potraktowali wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego z należytym szacunkiem i starannością” – kreślił nową linię podziału i wskazał elektoratowi kierunek na następne lata.

W otoczeniu Kaczyńskiego pierwsze skrzypce zaczął odgrywać Antoni Macierewicz, lansujący tezy o przeprowadzonym przez Rosjan zamachu, do którego rękę miał przyłożyć Tusk.

Zadałem wówczas Kaczyńskiemu pytanie o tę wolę. „Kiedy w kampanii udzielał pan wywiadu plotkarskiemu tygodnikowi dla pań, czemu towarzyszyła ciepła sesja fotograficzna w beżowym sweterku, nie opowiadał pan o tym, co mówi po wyborach, choćby o makabrycznych przeżyciach w Smoleńsku. Jak mogą być dwa

tak różne wizerunki Jarosława Kaczyńskiego?”

Odparł: „To jest sposób myślenia, który często można spotkać. Jeśli wygłoszę jakieś przemówienie i o czymś nie wspomnę, to zaraz słyszę, że przestaję się tym zajmować. Otóż nie. Kiedy dziennikarka pyta mnie o życie osobiste, to opowiadam, choć nie ujawniam swych przeżyć zbyt głęboko, bo nie jestem celebrytą. Kiedy zaś panowie mnie pytają o politykę, to rozmawiamy o polityce. A jeśli chodzi o Smoleńsk, to nigdy z niego nie rezygnowałem i nie zrezygnuję. Nie uległem terrorowi tych sił, które chcą, aby ta sprawa zniknęła, bo jest ich kompromitacją”.

Wkrótce po tej tragedii przyszła kolejna, również polityczna. Jesienią 2010 r. do biura PiS w Łodzi wdarł się dawny członek PO Ryszard Cyba i zaatakował działaczy. Zamordował Marka Rosiaka i ranił Pawła Kowalskiego. Krzyczał, że chce zamordować Kaczyńskiego.

Lider PiS już godzinę po ataku mówił, że to mord polityczny i obwiniał Platformę. A potem w kolejnych miesiącach powtarzał: „To była skrajna reakcja na kampanię nienawiści, która była prowadzona przeciwko PiS”.

Tym razem wytrzymał

Jednak już niedługo potem, przed wyborami w 2011 r., Kaczyński na nowo złagodził, a kontrowersyjni politycy, tacy jak Macierewicz, zostali schowani. Wytrzymał prawie do końca. W finale udzielił wywiadu mi i Piotrowi Śmiłowiczowi (pracowaliśmy wówczas w „Newsweeku”). Zasugerował w nim, że kanclerz Niemiec Angela Merkel zawdzięcza karierę wsparciu Stasi, dawnej bezpieki NRD. Wybuchła burza, nie tylko w Polsce. Sondaże polecały w dół.

Sam Kaczyński potem uznał, że to był kluczowy błąd. Elektorat nie był jeszcze wówczas zaszczerpiony niechęcią do Niemców tak jak dziś.

Po przegranej znów wrócił do ostrej retoryki. Znalazł winnych – Zbigniewa Ziobrę i jego ludzi – usuwając ich z partii. Twarzą PiS na nowo stał się Macierewicz, który zaczął brnąć w coraz bardziej absurdalne spiski smoleńskie. Wspomagała go dzielnie nowa gwiazda PiS Krystyna Pawłowicz, która z kolei wyspecjalizowała się w atakach na UE, środowiska prawnicze i koście. Wydawało się, że następstwo przemian Kaczyńskiego i PiS jest jak obroty Ziemi wokół Słońca – cykliczne i przewi-

dywalne, a zatem i bez istotnego politycznego rezultatu.

A jednak. Najpóźniej w 2014 r. Kaczyński zrozumiał, że wyborcza kumulacja w 2015 r. to jego ostatnia szansa na odzyskanie władzy i zaprowadzenie swoich porządków. Od wiosny 2014 r. realizował konsekwentny plan. Oczywiście, beżowe sweterki miały być znów jego elementem. Ale tylko jednym z wielu – i to była zasadnicza różnica.

Na początku musiał spacyfikować małe partyjki prawicowe, które odbierały mu głosy – ugrupowanie Ziobry i partię Jarosława Gowina. Najpierw poprzez zakulisowe intrygi i przecieki do mediów zablokował współpracę Ziobry i Gowina w europejskich wyborach wiosną 2014 r. Gdy przegrały, Kaczyński złożył im propozycję nie do odrzucenia: wspólny start w 2015 r., po paru ludzi na listach i ani grosza dotacji państwowych po wyborach.

Dopiero po spacyfikowaniu drobnych konkurentów zaczął się największy w historii PiS plan łagodzenia wizerunku. Jesienią 2014 r. Kaczyński wskazał jako kandydata na prezydenta mało znanego europosła PiS Andrzeja Dudę, ledwie 43-letniego i dobrze wypadającego w mediach. Szefową jego kampanii zrobił równie nieznaną Beatę Szydło, która awansowała w partyjnych szeregach po katastrofie smoleńskiej, gdy w czołówce PiS zrobiło się pusto. Po zwycięskiej kampanii Dudy, Szydło została kandydatem na premiera. Wydawało się, że Kaczyńskiego już praktycznie nie ma w PiS. Był, cały czas wytrzymał z tyłu. Kontrolował główne decyzje i podpisywał rachunki.

Dlatego po wyborach szybko okazało się, że to była największa maskarada w dziejach PiS. Nie dość, że Kaczyński wziął władzę twardą ręką, nie dość, że wsadził do rządu – wbrew kampanijnym przysięgom – Macierewicza, to o mało co Szydło w ogóle nie została premierem. Zgodził się ostatecznie dać jej szansę, ale irytowała go na tyle, że pozbył się jej pod koniec 2017 r.

Kontrzałoba

Rządy PiS okazały się całkowitym zaprzeczeniem „beżowej” retoryki z kampanii. Przejmowanie wszystkich instytucji w atmosferze wojny, do tego podporządkowanie Trybunału Konstytucyjnego, prokuratury czy mediów publicznych twardej linii partii. Wiara w łagodny PiS okazała się ułudą – bo Kaczyński ma charakter re-

wolucjonisty, który uwielbia burzyć, porządkowywać i kontrolować.

Choć ta lekcja była wyjątkowo widowiskowa, to PiS nie zrezygnował z tradycyjnej przemiany przed tegorocznymi wyborami. Po nieprzekonującym zwycięstwie w wyborach samorządowych partia zamówiła duże badania, żeby sprawdzić przyczyny słabszego wyniku.

Okazało się przede wszystkim, że elektorat PiS wcale nie chce wojny z UE, ważna jest dla niego praworządność, jest też dużo bardziej liberalny w poglądach na wiarę i sprawy obyczajowe, niż sądzili liderzy. Powoli rodził się kolejny plan na nowy, łagodniejszy wizerunek.

Tyle że wtedy zamachowiec zabił Pawła Adamowicza, a Kaczyński zachował się tak, jakby go to nie obeszło.

Co więcej: równolegle do smutku tysięcy Polaków po Adamowiczu Kaczyński urządził dla swego elektoratu osobisty festiwal żałoby nieskorelowanej z żadną okragłą rocznicą. Chodzi nie tylko o to, że w piątek, przed pogrzebem Adamowicza, zabrał wierchuszkę PiS na grób brata na Wawel – bo to robi co miesiąc regularnie (tym razem była z nim silna reprezentacja, m.in. premier, wicepremier Szydło, ministrowie Brudziński, Błaszczak i Adamczyk, przewodniczący klubu PiS Ryszard Terlecki, poza tym Michał Dworczyk i Jacek Sasin). Przede wszystkim zaczął wyjątkową celebrację nieokrągłej, szóstej rocznicy śmierci matki. Wizyta w jej rodzinnych Starachowicach, osobisty wywiad okładkowy w „Gazecie Polskiej”, transmisja z mszy za matkę w TVP Info. Mogło się wydawać, że to znów on jest głównym żałobnikiem – choć przecież tak nie było. Jednak żałoba została zrównoważona.

Kaczyński nie wypowiedział publicznie ani słowa na temat zabójstwa Adamowicza. Wydał jedynie oświadczenie i zamówił nekrologi w trzech gazetach.

Coś nie zadziało

Widać wyraźnie, że śmierć Adamowicza jest dla PiS niewygodna. Poza całym kontekstem politycznym są jeszcze fakty. Przecież za rządów partii, która obiecywała bezpieczeństwo i surowe ściganie przestępców, doszło do pierwszego w powojennej Polsce mordu na polityku. Zamachowiec wyszedł z więzienia mimo ostrzeżenia od matki, które dostała policja i Służba Więzienna – obie służby podległe wyrazistym politykom obozu władzy (Brudzińskiemu i Ziobrze). Widać, że

Nikt w PiS nie ma instrumentów, by nakłonić prezesa do okazania empatii, nawet niezbyt szczerej, ale politycznie potrzebnej. W tym sensie **zachowanie Kaczyńskiego szkodzi PiS.**

w przypadku Stefana W. coś w państwie PiS nie zadziało. No i te hasła. Zamachowiec wykrzykiwał ze sceny hasła wymierzone w Platformę, a przed wyjściem – co ujawnił portal tvn24.pl – mówił wzięciennemu wychowawcy, że jest zwolennikiem PiS, a Kaczyński powinien zostać dyktatorem. Analogii do zabójstwa Marka Rosiaka – które sam PiS uznał za mord polityczny – jest sporo.

Działania instytucji państwa PiS po śmierci także pozostawiają wiele do życzenia. Choćby przecieki z prokuratury sugerujące, że zabójca wcześniej przymierzał się do zamachu na prezydenta, na co nie ma żadnych dowodów.

Do tego niezawodna TVP Jacka Kurskiego w materiałach po śmierci Adamowicza i relacjach z jego pogrzebu pobiła nowe rekordy manipulacji, obwiniając o mowę nienawiści tylko Platformę i tak dobierając obrazy z pogrzebu, by wyciąć Tuska lub pokazywać go podczas krytycznych słów księży na temat polityków. Wdowa po Pawle Adamowiczu powiedziała mi kilka dni po pogrzebie, że za śmierć męża obwinia TVP, prezydent Gdańska był bowiem obiektem dziesiątek negatywnych materiałów telewizji publicznej w ostatnich miesiącach. To pogląd często spotykany w gdańskiej PO.

Po pogrzebie Andrzej Duda przez swego rzecznika skrytykował TVP, a Morawiecki próbował doprowadzić do wyrzucenia Kurskiego. Bezskutecznie – na początku wyborczego serialu Kaczyński chce mieć na czele TVP człowieka dyspozycyjnego 24 godziny na dobę.

Śmierć niczego nie kończy

Równie wyraźnie widać, że premier i prezydent mają swoją receptę – grę na pojednanie.

Mimo niechęci ze strony wdowy obaj pojawili się na pogrzebie. Usiedli w dal-

szych rzędach, godnie znieśli ciężkie słowa i spojrzenia. Obaj także wygłosili po uroczystościach parę ładnych słów, potępiających temperaturę konfliktu politycznego w Polsce – zapewne pustych, ale oczekiwanych przez społeczeństwo w takich chwilach.

Czy coś z tego będzie? Mało realne. Duda i Morawiecki prowadzą grę z opinią publiczną, swym twardym elektoratem i własnym obozem. A do tego konkurują między sobą – co wynika z informacji dotyczących organizacji pogrzebu.

Obaj mają też zasługi w podsycaniu atmosfery wojny. Morawiecki to ekspert w rzucaniu supozycjami (o opozycji mówił „nie kochają aż tak mocno Polski jak my”), a Dudzie zdarzało się wypalić, że „Tusk nie jest polskim politykiem, polskich interesów nie reprezentuje”.

Uderzenie w piersi? Możliwe. Duda na razie wytrzymuje. Morawiecki już zdążył publicznie odmówić komentarza na temat działań TVP, za to porównał prywatne media do aparatu propagandy z czasów Jerzego Urbana.

Ale poza wszystkim, nawet gdyby naprawdę chcieli złagodzenia, to przecież są pod butem patrona, który ma inne kalkulacje i oceny społecznych pragnień. Duda już dostał po łapach, gdy podczas rocznicy smoleńskiej w 2016 r. mówił o wzajemnym wybaczeniu. A prezes na to, że najpierw trzeba ukarać winnych.

Nikt w PiS nie ma instrumentów, by nakłonić prezesa do okazania empatii, nawet niezbyt szczerej, ale politycznie potrzebnej. W tym sensie zachowanie Kaczyńskiego szkodzi PiS. Minuta ciszy i modlitwa za Adamowicza to niewielki koszt za ładne obrazki w telewizji, skrojone pod oczekiwania wielu wyborców. Tyle że dla Kaczyńskiego śmierć niczego nie kończy. Nie, jeśli chodzi o przeciwników politycznych.

Po trzech latach wysiłków prokuratury i spektakli Macierewicza sprawa Smoleńska stoi w miejscu. Jedyny udokumentowany zamach na polityka w III RP to śmierć Adamowicza za rządów PiS, a nie Lecha Kaczyńskiego za rządów PO. Dziś, gdy Polacy słyszą „śmierć prezydenta”, myślą raczej o Adamowiczu, a nie o Kaczyńskim. A przecież w podwójnym roku wyborczym myśli o śmierci mają polityczny wymiar. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”

Bunt umiarkowanych

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Kolejne wybory wygra ta strona, która wykaże się większą empatią wobec strony przeciwnej. Widać to w statystykach.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Oto kilka cytatów z Facebooka: „Obrzydliwy, smutny babsztylu... życzę ci żeby odmówiono ci pomocy (...) kiedy będziesz w samotności leżała na oddziale geriatrycznym, zapomniana przez świat...”, „Stara szmata!”... Do kogo to?

JAROSŁAW FLIS: Strach pomyśleć.

Do Barbary Piel, autorki skądinąd skandalicznych „Plastusiów” w TVP Info. Centrum Badań nad Uprzedzeniami opublikowało właśnie badania Pauliny Górskiej nad polaryzacją polityczną. Wprawiły przeciwników partii rządzącej w konsternację: okazało się, że to oni mają bardziej negatywny stosunek do zwolenników władzy i bardziej ich dehumanizują, niż to się dzieje z przeciwnej strony. Co więcej – sądzą, że sami są przez zwolenników PiS dehumanizowani bardziej niż w rzeczywistości. Co tu się dzieje?

Człowiek bardzo chętnie postrzega siebie jako będącego po jasnej stronie mocy i walczącego z ciemną. Szukając potwierdzeń, że tak jest w istocie, łatwo oderwać się i od rzeczywistości, i od człowieczeństwa. Dotyczy to tak samo wcześniejszego samopoczucia zwolenników opozycji, jak i reagujących na raport stronników PiS. Bo we wnioskach z badań jest pewna zasada. Otóż posługiwanie się średnią w dziedzinie podziałów społecznych jest mylące. W raporcie z badań Pauliny Górskiej podzielono respondentów na zwolenników i przeciwników PiS, a te grupy nie są przecież wewnętrznie jednolite. Chodzi przy tym o coś więcej niż to, że w kategorii opozycji mieszczą się wyborcy PO, PSL, Zjednoczonej Lewicy, Nowoczesnej i Razem (niegłoszących, odmawiających odpowiedzi i wyborców Kukiza czy Korwina nie brano pod uwagę). Autorka badań udostępniła mi dane źródłowe, za

co bardzo jej dziękuję – w których te szczegółowe podziały już widać.

W całym badaniu najistotniejszy, bo najbardziej niepokojący, jest problem dehumanizacji przeciwników politycznych. Badacze pokazywali respondentom skalę ze stadiami ewolucji: od małpy przez małpóluda po człowieka – i prosili o określenie, na jakim stadium umieściliby swoich politycznych oponentów.

Co Pan sądzi o samej tej metodzie badania?

Owszem, jest praktykowana w badaniach społecznych, choć żywię względem niej nieco sceptycyzmu. Ale trzeba też przyznać, że respondenci, niezależnie od poglądów, nie mieli problemu z odpowiedzią. Więc ta miara istotnie coś pokazuje.

Przyjrzał się Pan liczbom z tych badań bardziej szczegółowo. Jak ten problem wygląda?

Okazało się, że nie tylko podziały polityczne przesądzają o tym, czy odczłowieczamy przeciwników.

Otóż 44 proc. głoszących wcale tego nie robi. Dzielią się prawie po równo pomiędzy zwolenników PiS i partii opozycyjnych. Dla nich inny, także przeciwnik polityczny, to człowiek. 56 proc. dehumanizuje przeciwnika – z różnym natężeniem, ale liczby widzących w przeciwniku troglodytę albo kompletną małpę, są zbliżone. Owszem, podziały polityczne mają tu znaczenie, ale skłonność do odczłowieczania w znacznie większym stopniu różnicują podziały ideowe w obrębie każdej z grup.

Bo nie każdy zwolennik PiS jest zwolennikiem rządów twardej ręki, a nie każdy wyborca PO skrajnym liberałem?

Tak, każda z tych grup ma swoje centrum i skrajności zarówno w kwestiach

obyczajowych, jak i ekonomicznych. I tu okazało się, że skłonność do odczłowieczania w zasadzie nie zależy od poglądów obyczajowych.

Za to bardzo wyraźnie zależy od ekonomicznych: wśród zatwardziały ekonomicznych liberałów dehumanizuje aż ponad 70 proc., a wśród zwolenników państwa opiekuńczego czy solidaryzmu robi to mniej niż 40 proc. I działa to we wszystkich grupach elektoratów, choć w różnym natężeniu: najmniej dehumanizujących jest w elektoracie PiS, pośrodku lokuje się – nazwijmy to – Europejska Partia Ludowa (PO+PSL), najwięcej jest ich w Obozie Postępu (N+ZL+Razem). Zwolennicy solidaryzmu z PiS dehumanizują najmniej, postępowi liberałowie najbardziej. Z kolei liberalny zwolennik PiS dehumanizuje przeciwnika bardziej niż solidarny postępowiec. Uśrednienie tych grup jest krzywdzące dla olbrzymiej części ich członków.

Ważnym czynnikiem, szczególnie po stronie opozycji, jest religijność. Zupełnie wbrew antyklerykalnym stereotypom osoby deklarujące się jako wierzące dehumanizują znacznie rzadziej niż ci niezbyt wierzący.

Jak to jest, że postępowi liberałowie, od których można by wymagać największego otwarcia, najbardziej dyskryminują przeciwników?

Widać tu wyraźnie, iż społeczny darwinizm może przyjmować nie tylko formy skrajnie nacjonalistyczne, ale też odnajdywać się świetnie w myśleniu postępowym: oznacza wtedy, że jednostki niepostępowe, czy to obyczajowo, czy ekonomicznie, są po prostu gorsze.

W Polsce widać takie myślenie wśród tych, którzy – mówiąc najprościej – uważają, że są lepsi. Żyją lepiej, zarabiają, więc widocznie na to zasługują. A więc jeśli ktoś ma gorzej, to widocznie też zasłużył. Postęp to dziedzictwo oświecenia, które nietrudno obrócić we własną karykaturę: człowiek postępowy rozumie oczywiście potrzebę wolności ekonomicznej i obyczajowej. Rozumie, bo jest oświecony. A człowiek, który tego nie rozumie, chce innym mówić, jak mają żyć, i każe się ze sobą dzielić owocami pracy innych, to człowiek zacofany. Czyli?

Troglodyta?

I tak go na skali dehumanizacji człowiek postępowy umieści.

**A jak to działa w drugą stronę,
z punktu widzenia mniej dehumanizu-
jących zwolenników partii rządzącej?**

Istnieją dwa podstawowe uzasadnienia tego, dlaczego życie społeczne nie wygląda tak, jak byśmy chcieli: pierwsze, reprezentowane przez „ciemniakofobów”, opisałem przed chwilą – tu winni są ci ciemni, nasza kula u nogi, których Hillary Clinton nazwała „koszykiem żałośników”. Drugie reprezentują „oszustozercy” – ich zdaniem winni są oszuści, którzy kradną. A najwięcej kradną ci, którzy mają takie możliwości, bo umieli się ustawić. Ale w tej perspektywie nie pojawi się dehumanizacja.

**Bo wiadomo, że małopołud się tak
dobrze nie ustawi, do tego trzeba być
człowiekiem?**

Chyba tak. Tak czy owak, wiemy już, że zupełnie inna jest złość od góry do dołu, a inna od dołu do góry. Ale nigdy dość przypominania, że ten opis nie dotyczy wszystkich.

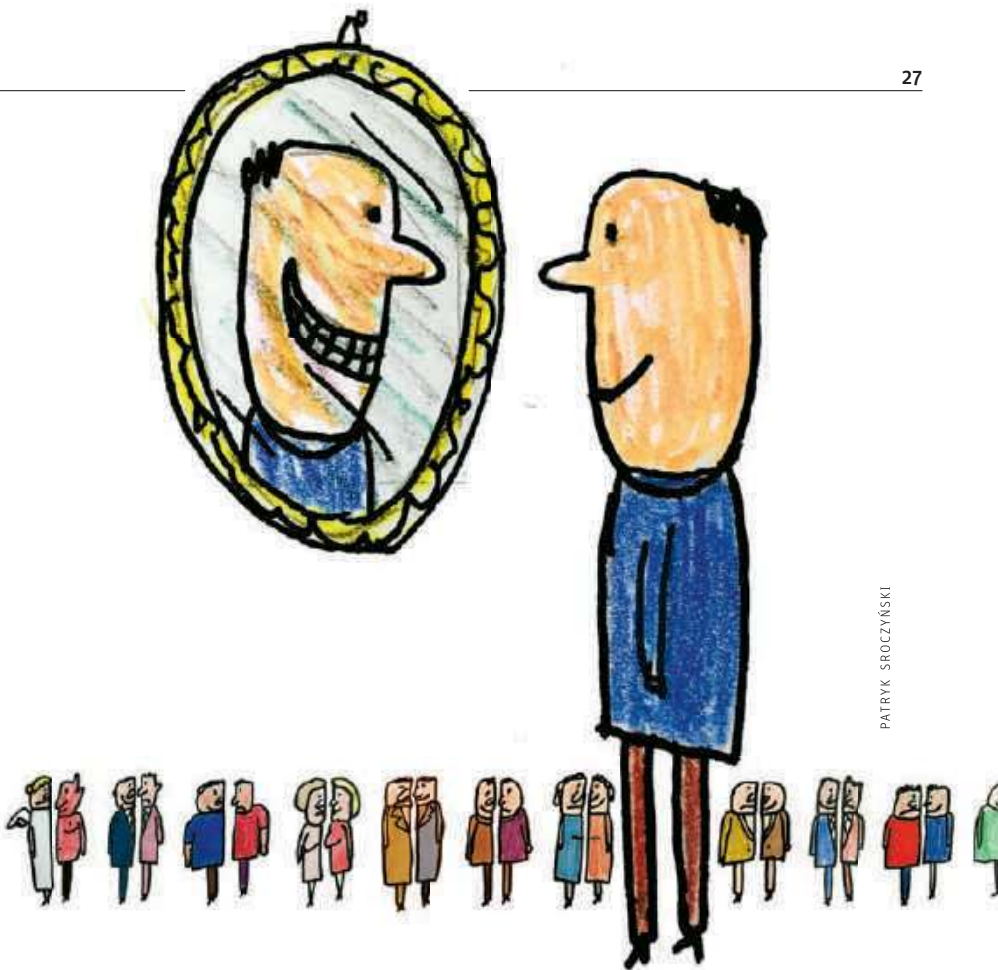
Podstawowy dramat polskiej polityki polega na tym, że w każdej partii są tacy i tacy. To też policzyłem – jeśli badanych wyborców każdej z trzech grup partii – PiS, EPL i Postępowych – podzielić według tego, czy dehumanizują, czy nie, okaże się, że w każdej z nich rządziej odczłowieczają przeciwnika ludzie o nieco mniej liberalnych ekonomicznie poglądach. Wśród wyborców PiS-u niedehumanizujący są nie tylko bardziej socjalni, ale też mniej konserwatywni obyczajowo.

**Albo inaczej: bardziej lewicowi, choć
prawicowi.**

Nie ma co szukać dla lewicy sztucznej pociechy: mniej zagorzali. Widać tu dobrze, jak krzywdzące dla niedehumanizujących, którzy są olbrzymią częścią każdego z obozów, jest ich uśrednianie.

**Jak duże są grupy tych, którzy widzą
w oponentie człowieka?**

Wśród badanych wyborców PiS i PSL to połowa, wśród zwolenników partii postępu i PO – jedna trzecia. Ciekawie jest też popatrzeć, jak wyglądają te grupy w podziale na wiek. W PiS dehumanizacja jest ujemnie skorelowana z wiekiem: wśród młodych (do 38 lat) zwolenników PiS aż 64 proc. widzi w oponentach istoty ludzkie, wśród najstarszych mniej. A w partiach postępu jest dokładnie na odwrót: około połowa starszych nie dehumanizuje, ale już wśród młodszych wyborców



PATRYK SROCZYŃSKI

aż 70 proc. dehumanizuje „tych strasznych pisiorów”.

To ci „młodzi, wykształceni, z wielkich miast”?

Urbanizacja nie działa tak prosto. Raczej miejscy wyborcy PiS są radykalniejsi od wiejskich. W opozycji jest na odwrót. Podobnie działa też wykształcenie. Bardziej wykształceni wyborcy PiS częściej widzą w przeciwnikach ludzi: to 58 proc. Za to w obozie postępu im ktoś bardziej wykształcony, tym bardziej dehumanizuje.

**Od kogo, jak od kogo, ale od lepiej
wykształconych chciałoby się
wymagać szlachetniejszych postaw.**

Wynika z tego ostrzeżenie, że dobre samopoczucie jest złym doradcą w polityce. Pytanie, czy nie odradza się tu też klasizm – choć należałoby tu powiedzieć „stanizm”, ponieważ postawy różnicuje tu nie sposób zarabiania, lecz styl konsumpcji. Bo jakie jest jedno z bardziej obraźliwych słów wśród ludzi mających się za elity? „Wieśniak”.

Takie kategorie, jak wykształcenie, bardzo ułatwiają budowanie stereotypów na temat przeciwnika. Sprawdźmy tymczasem, co mówią liczby. Jakie wykształcenie ma największa grupa w elektoracie PiS?

Średnie. W elektoracie PO-PSL? Średnie. A w elektoracie postępowym?

Czyżby średnie?

Tak, bo to jest największa grupa wśród wyborców w ogóle.

**To tyle w kwestii przekonania, że
„wieśniak głosuje na PiS, a inteligent
na postępowców”?**

Wyborców z wyższym wykształceniem w PiS jest 17 proc., w EPL – 23 proc., w partii postępu – 26 proc. Podstawowe i zawodowe wykształcenie ma 38 proc. zwolenników PiS, w EPL – 27 proc., wśród postępowców – 28 proc. Media skoncentrują się na tej dziesięciopunktowej różnicy, ale nie na tym, że połowa elektoratów wszystkich partii ma wykształcenie średnie. I tak wzmacnia się stereotyp.

**Wielu przeciwników władzy żyją-
cych w poczuciu, że walczą o słuszną
sprawę, delikatnie mówiąc, nie
poczuło się dobrze z tym, jak wypadło
w tych badaniach. A może da się ich
jakoś usprawiedliwić?**

Nie ma co usprawiedliwiać tych, którzy dehumanizują przeciwnika. Lecz żeby to ograniczać, trzeba próbować zrozumieć: mamy dziś do czynienia z odwróceniem →

→ – ci, którzy w odbiorze społecznym są górą, politycznie znaleźli się w opozycji. A złość zwolenników władzy to coś zupełnie innego niż złość jej oponentów. Ci drudzy zawsze będą radykalniejsi, bo występują ze słabszej pozycji.

Zwróćmy też uwagę na przekazy medialne obu stron: obie bardzo mocno atakują tę drugą, co najwyżej strona oświecona czyni to w bardziej wyrafinowany sposób. Ale równocześnie zwolennicy PiS wydają się mieć mniej zaufania do swoich mediów – są dla nich mniej wiarygodne, zapewne dlatego, że adresowane są tylko do tej „twardej” połowy elektoratu. Z kolei przeciwnicy partii rządzącej ewidentnie przyjmują przekazy swoich mediów bardziej bezkrytycznie.

Stereotypowy obraz wyborcy PiS komplikują też niedawno upublicznione przez Piotra Zarembę w „Plusie Minusie” wyniki nieujawnianych przez PiS badań opinii, w świetle których aż 70 proc. wyborców tej partii pragnie „stabilizacji państwa i spokoju w debacie publicznej”.

Potwierdzają to także głośne badania zespołu Macieja Gduli z końca 2017 r. – przy najmniej połowa elektoratu PiS, a jedna trzecia po stronie opozycji, to elektorat warunkowy, który wiąże swoje poparcie z realizacją swojej wizji świata.

To wyborca konserwatywny, który z trudem przyjmuje spór polityczny, bo uważa, że naród jest organizmem, który powinien współdziałać, a nie walczyć, tak jak prawa ręka nie spiera się z lewą. Albo wyborca technokratyczny, czyli przekonany, że działanie państwa przypomina mechanizm i zawsze znajdzie się sposób na wyregulowanie go, ale spór temu nie służy. Jedni i drudzy to nie są zaangażowani zwolennicy partii i być może bombardowanie skrajnym przekazem po jednej i drugiej stronie zaczyna być dla nich męczące.

I wycofają swoje poparcie, gdy się okaże, że zamiast spokoju dostają wieczną wojnę?

Gdy zobaczą, że koszty sporu są zbyt duże. Umiarkowani wyborcy nie lubią konfliktu i bynajmniej nie zawsze uważają, że za konflikt jest odpowiedzialna druga strona. Uważają spókoj społeczny za autentyczną wartość. Inaczej niż media tożsamościowe albo hejterzy z Facebooka

i ich odbiorcy, którzy w warunkach pokoju nie mogliby się spełniać. Partie są dziś niewolnikami swoich radykałów. A być może nadchodzi bunt umiarkowanych – którzy jeśli nawet nie są większością, to stanowią olbrzymią grupę skłoną zmieniać zdanie. Swobodny przepływ tej grupy między biegunami politycznymi przesądza o wyniku wyborów.

Wzięliśmy przekaz medialny i facebookowy za rzeczywistość?

Gdy do debaty społecznej trafiają tematy angażujące, zawsze argumenty są ostrzejsze niż propozycje. Tymczasem w debacie polemizujemy z argumentami, a nie z propozycjami.

Po drugie zapominamy o czymś, co świetnie ilustruje anegdota mojej dentystki, której gabinet jest obwieszony dziecięcymi rysunkami. Odwiedzająca ją kiedyś urzędniczka skarbowki zauważyła: „O, specjalizuje się pani w dzieciach?”. Na co ona: „Nie, dorośli nie zostawiają rysunków”. Przytłaczająca większość z nas wyrabia sobie zdanie o drugiej stronie na podstawie niepełnego obrazu.

Gdy patrzymy na radykalne skrzydła, które się nawzajem karmią swoją niechęcią, pomijamy środek po obu stronach, który „nie zostawia obraźliwych”. Ani nie żywi uczuć negatywnych, ani nie posądza o nie drugiej strony. To bardzo silny sygnał dla obydwu frontów sporu politycznego, które mają ewidentny problem: co powiedzieć swoim radykałom?

Co wizja buntu umiarkowanych oznacza dla partii?

Potrzebują w tej sytuacji pomysłu, którego na razie nie widać. Żeby zaangażować i swoich radykałów, i umiarkowanych, mogłyby np. zastosować strategię dobrego i złego gliny.

Alte to karta już po wielokroć zgrana: nie wyciągnie się kolejnego Andrzeja Dudy czy Beaty Szydło, bo nikt w to nie uwierzy, ani kolejnego duetu Gowin-Palikot, spinanego przez Tuska, bo to i trudne, i nietrwałe. Ponadto, jak rozpisnąć na głosy przekaz PiS z jego solowym liderem Jarosławem Kaczyńskim? Gra w dobrego i złego glinę nie może przecież być monodramem.

Z kolei po stronie opozycji problem polega na tym, że jeśli wśród wyborców większość, bo nawet dwie trzecie, to radykałowie, to wśród elit partyjnych jest z pewnością jeszcze gorzej. Owszem, być

może ich strategia zdobywania umiarkowanych wyborców polega na tym, żeby tak rozdrażnić przeciwnika, by sam ich do siebie zraził. Tylko jeśli się chce być w kontraście do kogoś rozjuszonego, nie można samemu wpadać w histerię.

Pewne jest to, że nic tak dobrze nie działa na polityków, jak ostre lekcje pokory. Wiadro zimnej wody jest znacznie skuteczniejsze niż wiadro pomyj.

Dostaliśmy do ręki wyniki badań twardo pokazujących, ile warte są stereotypy o przeciwnikach, i że każdy po własnej stronie znajdzie wiele winy. Zobaczymy teraz wreszcie ludzi po drugiej stronie barykad i zaczniemy się lepiej dogadywać? Czy wszystko wróci na stare miejsce prawem sprężyny?

Najważniejsze, żeby się na podstawie tego typu badań nie dać nakręcić bardziej. Bo ryzyko jest takie, że radykałowie po obu stronach będą przekonywać swoich umiarkowanych, że to druga strona nienawidzi. Ale powiedzmy też, że odpowiedzialność za łagodzenie sporów leży po stronie rządzących. I że jeżeli przez trzy lata nie udało się przekonać połowy swojego elektoratu, że przeciwnik jest nieludzki, to nie uda się w parę miesięcy dzielących nas od wyborów. Daje to nadzieję na zmianę. Szczególnie na ucieszenie twierdzących, że w obliczu nienawiści nie ma miejsca dla „symetrystów”. Tymczasem te badania pokazują, jak to miejsce jest ważne.

Twierdząc, że kolejne wybory wygra ta strona, która wykaże się większą empatią wobec strony przeciwnej. Wytykanie drugiej stronie nienawiści i podłości nigdy nie prowadzi do jej załagodzenia.

Dajemy się ogłupić nakręconej mniejszości, a może się okazać, że – jak napisał „Tygodnik” na okładce poprzedniego numeru – ludzi dobrej woli jest więcej, a przynajmniej bardzo dużo. Możemy to wręcz sprawdzić.

Wróćmy do Excela i uwzględnijmy tym razem nie tylko badanych głosujących na wspomniane trzy grupy partii, ale też pozostałych i niegłosujących – i sprawdźmy, ilu spośród nich nie jest nakręconych tak, że przestaje widzieć w przeciwniku człowieka.

I co, ilu jest ludzi dobrej woli? Więcej. Ponad dwie trzecie.

© © Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI



Maciej Pesta w spektaklu „Rewolucja, której nie było”, Warszawa, grudzień 2018 r.

Kilka scen z rewolucji

KRZYSZTOF STORY

Wiele razy słyszałam: to nieetyczne, że wmawiasz osobom z zespołem Downa, że mogą być aktorami. A ja wiedziałam, że mogą – mówi Justyna Sobczyk, założycielka warszawskiego Teatru 21.

REPREZENTUJEMY PROTESTUJĄCYCH! Mamy autentyczne transparenty z Sejmu!” – głos Martyny niesie się po całej sali.

Na scenie dziesięciu aktorów. Parami trzymają wielkie białe płachty, które jeszcze kilka miesięcy temu wisiały w sejmowych korytarzach. „Niepełnosprawni w Polsce mają prawo godnie żyć”. „Niepełnosprawni w Polsce otrzymują dramatycz-

nie niskie zasiłki”. „Weź mój zasiłek – weź moją niepełnosprawność”. „Transparenty w górę! Jesteśmy tu, żeby protestować! – skanduje Martyna. – Protest w Sejmie trwał 40 dni. Nasza scena to tylko kilka minut, damy radę! Mocne nogi! Mocne ręce!”

W parze z Martyną transparent trzyma Beata. Poza tym jest jeszcze Teresa, Olek, Maja, Basia, Daniel, Ola, Magda, Piotr. Siedem kobiet, trzech mężczyzn. Cztery osoby mają białe buty. Pięć ma długie włosy. Osiem ma zespół Downa.

To aktorzy Teatru 21, który od 14 lat działa w Warszawie. Scena z transparentami to kluczowy punkt ich może najważniejszego spektaklu. „Rewolucja, której nie było” miała premierę 7 grudnia 2018 r. To pierwsza próba artystycznej reakcji na protest niepełnosprawnych w Sejmie. I pierwsza, w której w imieniu niepełnosprawnych wypowiadają się oni sami.

– A ZACZEŁO SIĘ OD SZKOLNEGO TEATRU – wspomina Justyna Sobczyk, która do dziś prowadzi Teatr 21. – Od jasełek, spektakli okolicznościowych.

O tym, że chce się zająć teatrem, Justyna wie od dziecka. W liceum trafia do Fundacji Brata Alberta w Toruniu, która zajmuje się pracą artystyczną z osobami niepełnosprawnymi. Stopniowo porzuca myśl

o własnej karierze aktorskiej. Wybiera pedagogikę specjalną. Zaocznie studiuje teatrologię. Później wyjeżdża do Niemiec, gdzie kończy pedagogikę teatru. Praktyki robi w berlińskim teatrze Rambazamba, w którym większość zespołu stanowią ludzie z zespołem Downa.

– W Berlinie zobaczyłam, że to jest możliwe – mówi Sobczyk. – Że z takimi osobami można kreatywnie pracować, razem robić dobry teatr. Wiele razy potem słyszałam, że to nieetyczne, że wmawiam osobom z zespołem Downa, że mogą być aktorami. A ja wiedziałam, że mogą.

Po powrocie z Niemiec Justyna Sobczyk zaczyna projekt podobny do Rambazamby. W 2005 r. powstaje Teatr 21. Nazwa nie jest przypadkowa. Przyczyną zespołu Downa jest obecność dodatkowego chromosomu, dwudziestego pierwszego.

– Na początku teatr działał w szkole specjalnej „Dać Szansę” – wspomina reżyserka. – Próby zaczynaliśmy w świetlicy, potem dostaliśmy salę gimnastyczną.

– Szkolne czasy były... ciasne – mówi Aleksandra Skotarek, jedna z aktorek.

11 stycznia 2009 r. ich „Alicja” na podstawie powieści Lewisa Carrolla łąduje na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie. Po tym spektaklu już nikt z zespołu nie będzie chciał wracać do ➔

→ szkolnej sali. Teatr 21 nawiąże współpracę z instytucjami kultury, będzie grał na wielu scenach w całym kraju. Na próby najczęściej będą spotykać się w Instytucie Teatralnym. Przez 14 lat działania Teatr 21 nie znajdzie jednak sceny, którą mógłby nazwać swoją.

„REWOLUCJA, KTÓREJ NIE BYŁO” wystawiana jest w warszawskim Teatrze Soho. Na scenie poza zespołem Teatru 21 pojawia się trójka aktorów zawodowych z Biennale Warszawa: Beata Bandurska, Martyna Pieszko i Maciej Pesta.

– Nie każdy aktor zdecydował się na taki projekt – mówi Beata Bandurska. Zazwyczaj podczas prób dążymy do najlepszego efektu, a tutaj trzeba się przestawić, bo zupełnie nie o to chodzi.

Poprawia krótkie, jasne włosy i zaraz dodaje: – Dla mnie praca jest przedłużeniem poglądów, elementem mojej wrażliwości społecznej. I jeszcze ważny temat rewolucji, protestu. To, że osoby z zespołem Downa mogą wypowiadać się w kwestii praw osób niepełnosprawnych, w ich (ale również w swoim) imieniu, daje temu przekazowi ogromną siłę.

Jak wygląda praca Teatru 21? Mówi o tym Justyna Lipko-Konieczna, dramaturżka i współautorka scenariusza do „Rewolucji”: – Podstawowa różnica to rezygnacja z tradycyjnej hierarchii między osobami, które tworzą spektakl. Praca twórcza ma u nas zdecydowanie bardziej demokratyczny charakter, by spektakl był wyrazem wielu wrażliwości i punktów widzenia. Większość tekstu powstaje na próbach, jest zapisem naszych spotkań wokół tematu, którym się zajmujemy.

Justyna Sobczyk: – Mamy też zupełnie inny rytm pracy. Próby odbywają się od 15.30 do 17.00. Wtedy aktorzy kończą warsztaty terapii zajęciowej. Bardzo ważna, ważniejsza niż w zwykłym teatrze, jest regularność, systematyczna praca z aktorami. Dlatego tak wielkim problemem jest brak sceny. Grać możemy rzadko, jedynym treningiem aktorskim są próby. Prace trwały codziennie przez dwa miesiące.

Justyna Lipko-Konieczna: – Nasze spektakle oparte są na spotkaniu, w którym równie ważny jest głos każdego członka zespołu. Cała druga część „Rewolucji” jest zapisem improwizacji, w której aktorzy wyrażają niezgodę na sposób, w jaki są traktowani. Jest to zdecydowana reakcja na nierówność, na dyskryminację.

Nowy spektakl Teatru 21, według zespołu, nie jest tylko opowieścią o 40 dniach spędzonych przez niepełnosprawnych na sejmowych korytarzach. Jest opowieścią o rewolucji w podejściu do osób niepełnosprawnych, w mówieniu o potrzebach ich i ich rodzin. Rewolucji, która w Polsce nigdy się nie odbyła.

Z ZESPOŁEM TEATRU 21 spotykam się parę godzin przed spektaklem. Oprócz Sobczyk i Lipko-Koniecznej są dwie aktorki – Aleksandra Skotarek i Barbara Lityńska.

Barbara pracę w teatrze traktuje czysto zarobkowo (wszyscy aktorzy Teatru 21 otrzymują normalne wynagrodzenie), posiadanie pracy jest dla niej dużą wartością. Prywatnie jest córką Jana Lityńskiego, znanego opozycjonisty, byłego posła. O sobie mówi, że ludzie często jej nie lubią, bo jest szczerą, otwarcie mówi to, co myśli. W wywiadzie dla WP potrafi powiedzieć: „Ty mi nic nie przysyłaj do autoryzacji, dorosła jestem, wiem, co mówię. (...) Tylko napisz wszystko. Także to, że mam zespół Downa, ale to nie znaczy, że jestem niekumata”.

Barbara pisze wiersze, które pokazują, że Teatr 21 nie chce być areną do litowania się nad niepełnosprawnymi, tylko ciekawą inicjatywą artystyczną. Np. taki:

*jestem jak ryba w morzu
porzucona i samotna
nie wiem, co mam robić
szukam brzegu
gdzie mogę odpocząć
i pomarzyć o życiu zawodowym
to moje szczęście
że zarabiam pieniądze.*

Teatr 21 to także dobra lekcja tego, jak powinniśmy traktować osoby niepełnosprawne w codziennym życiu. – To są odrębne, dorosłe osoby – mówi Justyna Sobczyk. – Nie można ich traktować jak dzieci, którymi nie są. Nie można zmniejszać tonu głosu, infantylizować.

Osoby z Downem często wyglądają na dużo młodszych niż są w rzeczywistości. Jak wieczne dzieci. Tymczasem Barbara Lityńska ma 45 lat. Większość aktorów Teatru jest w okolicach trzydziestki.

– Jest wiele pięknych momentów w tej pracy – dodaje Sobczyk. – Wyobraź sobie, że lecimy na festiwal za granicą i ludzie orientują się, że w samolocie z nimi będzie leciała grupa downów. Lubie obserwować ten strach w oczach. A wiesz, co oni robią? Pilot wznosi się ponad chmury, a ktoś krzyczy: „Jesteśmy w niebie!”. Uwielbiam ich.

JESTEŚMY JUŻ W TEATRZE, do rozpoczęcia spektaklu godzina. Magda Świątkowska pokazuje swój pierścionek. Niedawno założyła się z innym aktorem Teatru 21. Reszcie powiedzieli o tym w Poznaniu. W hotelu wyciągnęli butelki, zrobili imprezę. Magda często tłumaczy ludziom, że osoby z Downem mogą być szczęśliwe. Gdy tylko słyszy „osoba cierpiąca na zespół Downa”, odpowiada: „cierpię to ja na cukrzycę, a Downa po prostu mam”.

– Czuję się osobą całkiem zdrową, nie odnajduję się w teatrze chorym – potwierdza Barbara Lityńska.

Ze spektaklu, rozmów z aktorami, protestu w Sejmie płynie jeden komunikat: osoby niepełnosprawne nie mają specjalnych potrzeb. Mają potrzeby podstawowe, właściwe każdemu człowiekowi. Aleksandra Skotarek, aktorka Teatru, wypisała je na kartce i przyniosła na wywiad ze mną. Może bała się, że przez jej zaburzenie nie usłyszę tego, co ma do powiedzenia. Czerwonym markerem podkreśliła pytania.

„Pytanie: Czym dziś jest rewolucja? Odpowiedź: Ważnym tematem. Ważnym celem życiowym. Żeby nas, niepełnosprawnych, traktowano jak normalnych ludzi. Pytanie: Czego osoby z niepełnosprawnością potrzebują? Odpowiedź: Wsparcia, opieki, relacji. Ciepła, miłości, serca, zaufania, kreatywności. Bycia kimś w czyimś sercu”.

8 STYCZNIA, GODZINA 19.00, zaraz rozpocznie się spektakl. Wśród widzów Iwona Hartwich z synem Kubą. Spędzili w Sejmie 40 dni.

Światło gaśnie, widownia jest prawie pełna. Przez następne godziny ze sceny padnie wiele ważnych słów. Będą czytane pocztówki, które protestujący w Sejmie dostawali z całej Polski. Będą odgrywane monologi polityków. Będą też recytowane wiersze Barbary Lityńskiej. Takie jak ten:

*ja mam chorobę
która nazywa się zespół Downa
z tą chorobą można wiele osiągnąć
wiele się nauczyć
jestem w stanie być osobą
zupełnie zdrową
jeśli nauczę się matematyki.*

Po spektaklu Iwona Hartwich powie mi: – Ten spektakl powinniśmy wystawić w Sejmie, w Sali Kolumnowej. I 460 osób powinno go obejrzeć.

© KRZYSZTOF STORY

ANNA

Dziewit-Meller: Kozetka



20 STYCZNIA W SIECI ZNALAZŁAM WZMIANĘ o wybuchu samochodu pułapki przed budynkiem sądu w Londonderry (albo, jak kto woli, Derry), drugim co do wielkości mieście Irlandii Północnej. Policja podejrzewa zamach. Nikt na szczęście nie ucierpiał, bo udało się na czas ewakuować mieszkańców okolicy. Akt potępiili irlandzcy politycy od prawa do lewa, także ci z partii Sinn Féin.

W irlandzkich gazetach pojawiły się jednak głosy związane z ugrupowaniem Saoradh, negującym zasadność porozumień wielkopiątkowych z 1998 r., tych, które położyły kres trwającemu ponad 30 lat konfliktowi w Irlandii Północnej. Przedstawiciele Saoradh nie potępiili zamachu, wspomnieli zaś o tym, że wybuch może mieć związek z setną rocznicą wydarzenia zwanego zasadzką z Soloheadbag – które dało początek wojnie o niepodległość Irlandii. Wśród głosów w mediach północnoirlandzkich pojawiają się także takie, które odpowiedzialność za zamach przypisują tzw. Nowej IRA. Aktywność tej grupy paramilitarnej w sieci przykuwa od jakiegoś czasu uwagę irlandzkich mediów (na powiązanie Nowej IRA z zamachem wskazała np. redakcja irlandzkiej edycji „The Sunday Times”). Niezależnie od ostatecznych rozstrzygnięć śledztwa staje się coraz bardziej jasne, że widmo brexitu niweczy lata pracy na rzecz porozumienia między zwaśnionymi stronami i ukazuje niedoskonałość procesu pokojowego.

Piszę o tym wszystkim chwilę po tragicznych wydarzeniach gdańskich, gdy powoli opadają różne maski przybrane na czas żałoby i klaruje się nam obraz sytuacji w kraju. W dniu pogrzebu prezydenta Adamowicza w „Gazecie Wyborczej” ukazał się wywiad z prof. Bogdanem de Barbaro, który wzywał nasz pobijany naród do poddania się psychoterapii – Pan Polski i Pani Polska powinni udać się na kozetkę, nim wściekłość wzajemna ich pozabija.

Na terapię przymusową w pewnym sensie została wysłana niegdyś Irlandia Północna. Straumatyzowane dziesiątkami lat konfliktu społeczeństwo (przypomnijmy – zginęło tam w owym czasie ponad 3500 osób) objęte zostało programem psychoterapii. Syndrom stresu pourazowego, na który cierpieli tysiące ludzi, a także przekazywana z pokolenia na pokolenie trauma okazały się destrukcyjne dla funkcjonowania społeczeństwa. W badaniach opinii publicznej prowadzonych po zakończeniu konfliktu ponad połowa respondentów знаła kogoś, kto został zabity w związku z konfliktem, jedna trzecia z nich zaś straciła w ten sposób kogoś bliskiego – członka rodziny lub przyjaciela.

O północnoirlandzkich metodach zażegnania potężnych sporów czytamy w polskim kontekście od dawna. Teraz, rzecz jasna – gdy szukamy na gwałt jakichś punktów podparcia po morderstwie prezydenta Adamowicza – owych analiz, które przywołują ulsterski przykład porozumienia, widać jeszcze więcej. Udało się tam przecież, mimo sporu znacznie bardziej krwawego i głębszego niż nasz, wytworzyć swego rodzaju masę krytyczną sprzyjającą porozumieniu po obu stronach zwaśnionego społeczeństwa. Wreszcie – przypieczętowano owo dążenie do porozumienia rękami katolickiego polityka Johna Hume’a i jego protestanckiego adwersarza Davida Trimble’a (za co przyznano im obu Pokojowego Nobla), i tak oto świat otrzymał porozumienie wielkopiątkowe i odetchnął z ulgą.

Czytając rozmowę z profesorem de Barbaro krótko po tym, jak zobaczyłam notkę o zamachu w Derry, czułam głęboki smutek. Irlandzka terapia okazuje się przecież mieć poważne braki, co w obliczu brexitu zaczyna być widoczne coraz wyraźniej. Wydawało się, że napięcia zostały zniwelowane leczniczym masażem, złogi oczyszczone ozdrowieńczą rozmową, zło rozeszło się po kościach. Bynajmniej! Widocznie cięciwa tego łuku zawsze była w pogotowiu, a dziś jej napięcie w związku z zamieszaniem okołobrexitowym niepokojąco rośnie. Jak więc szukać nadziei w słowach terapeuty, gdy obie strony dalej widzą porażkę tego myślenia? Zresztą nasi polscy pacjenci nawet nie wyrazili woli pokazania się na terapii.

W ubiegłym tygodniu poprosiłam redakcję o to, by dała mi urlop od pisanja felietonu. Doprawdy nie znajdowałam sama dla siebie stosownych słów, chcąc uniknąć przedwczesnych ocen, pochopnych komentarzy i chóru głosów brzęących coraz większym dysonansem.

Dziś krzepnie we mnie – z każdym dniem mocniejsze – przekonanie o tym, że nie nadajemy się już nawet na terapię. ©

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, pod sygn. akt I Ns 660/18, toczy się postępowanie z wniosku Bogusława Kurkarewicz o stwierdzenie nabycia przez Zofię Kurkarewicz, c. Tomasza i Anieli, zasiedzenia własności działek o numerach ewidencyjnych 959 i 960/2, położonych w Sanoku, dla których w tut. Sądzie prowadzone są zamknięte księgi wieczyste: LWH 490 i 720, dot. gminy katastralnej Sanok II.

Sąd wzywa współwłaściciela Jana Borczyka, s. Tomasza i Anieli, bądź jego następców prawnych oraz osoby zainteresowane, aby zgłosili się i ujawnili swoje prawo do nieruchomości w terminie 3 miesięcy, gdyż po upływie tego terminu Sąd może stwierdzić nabycie własności na rzecz osoby podanej we wniosku o zasiedzenie.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 464/18 postępowanie z wniosku Marioli Szymańskiej-Kmieć o stwierdzenie nabycia przez Joannę Szymańską prawa własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Noskowie, oznaczonej geodezyjnie jako działki gruntu nr 453/16, nr 454/17, nr 16, nr 17, 18, stanowiących część większej nieruchomości, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00001413/2.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

OGŁOSZENIA

ZWIĄZKI PARTNERSKIE

Temat „prawdziwego rozdziału” Kościoła od państwa
powraca coraz silniej.
Czy czeka nas laickość podobna do tej we Francji?

SEBASTIAN DUDA

GDY NIEDAWNO ZAPYTANO OLGĘ TOKARCZUK o jej stosunek do religii, pisarka odpowiedziała: „Tam, gdzie religia miesza się do życia ludzi, tam rodzi najwięcej bólu i cierpienia”. Zaznaczyła przy tym, że „potrzeby religijne są zakorzenione w psychice ludzkiej, odpowiadają na lęk oraz na potrzebę porządku”. Jej zdaniem jednak „żadna z religii na świecie nie radzi sobie z nowym porządkiem, żadna nie może być traktowana jako rodzaj recepty na przyszłość”. Wedle Tokarczuk w tej sytuacji wyjście wydaje się tylko jedno: „sprywatyzować religię, sprawić, aby stała się intymnym przeżyciem bliskości z czymś, co każdy musi sobie zdefiniować na nowo. Musimy mówić o religijności tak, jak mówimy o seksie”.

Tęsknoty do prywatyzacji religii nie są w Polsce czymś odosobnionym. Inaczej w debacie politycznej nie wracałby nieustannie temat przeprowadzenia „prawdziwego rozdziału Kościoła od państwa”. Zdaniem jego zwolenników zarówno obecne rozwiązania prawne (z konkordatem na czele), jak i dominacja rzymskiego katolicyzmu w polskim życiu społecznym i kulturowym uniemożliwiają wprowadzenie u nas jeśli nie ideału, to przynajmniej optymalnej wersji demokracji liberalnej. Prymat jednej z religijnych wspólnot (przed którą hołdy składa – z odpowiednią

finansową bonifikatą – duża część rodziwej klasy politycznej) powoduje, że w Polsce pełnią należnych im praw nie cieszą się osoby niereligijne, społeczność LGBTQ, zwolennicy zmiany aktualnie obowiązującej ustawy antyaborcyjnej.

Z tego powodu Barbara Nowacka (aktualnie w aliansie z Platformą Obywatelską) zaproponowała niedawno odcięcie dotacji państwowych dla Kościoła rzymskokatolickiego. Chodziło jej nie tylko o zamknięcie osławionego Funduszu Kościelnego, ale przede wszystkim o zaprzestanie finansowania lekcji religii. Posłanka Joanna Scheuring-Wielgus (dawniej Nowoczesna, obecnie partia Teraz!) wystąpiła z jeszcze dalej idącym rozwiązaniem tej kwestii. Wedle niej religijna edukacja w szkołach przyczyniła się do rozwoju i wzmocnienia nastrojów faszystowskich w Polsce. Lekcje religii powinny zatem natychmiast zostać zastąpione przez lekcje wychowania obywatelskiego, na których promowana byłaby równość i tolerancja (inna rzecz, że nie bardzo wiadomo, jacy ludzie mogliby w całym kraju od razu podjąć się rzetelnego prowadzenia takich zajęć), a także przez obowiązkową edukację seksualną.

Obie polityczki są przy tym przekonane, że proponowane przez nie zmiany nie zagrożą wcale gwarantowanej przez konstytucję wolności religijnej. Przyczynią się natomiast do tego, że religia – zgodnie

z przytoczoną wyżej opinią Olgi Tokarczuk – mniej będzie „mieszała się” do życia ludzi. Mniej zatem będzie w społeczeństwie bólu i cierpienia.

Nie wiem, czy ta ostatnia teza jest prawdziwa. Przypuszczam jednak, że mniej czy bardziej stanowcze wezwania do prywatyzacji religii będą się pojawiały w Polsce coraz częściej.

Tęsknota za Zapatero

W polskiej debacie publicznej po stronie lewicowo-liberalnej wobec „prawdziwego” rozdziału Kościoła od państwa od

BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES





Na Marszu Świeckości w Krakowie, wrzesień 2017 r.

długiego czasu widać zniecierpliwienie. Towarzyszy mu zwykle szczególnego typu mesjańska nadzieja. Swego czasu dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Orliński na swym blogu umieścił następujący wpis na temat urzeczywistniającego się „końca klerykalizmu w Polsce”:

„Pozwolę sobie podkreślić, że w tej sprawie od lat jestem umiarkowanym optymistą, czego dowodzą moje stare notki na blogu – jeszcze z okresu, w którym biskupi mieli swoich ludzi na wszystkich ważnych stanowiskach w tym państwie. *To se ne vrati*. Przegrali wybory. I dru-

gie, i trzecie. I przegrają piąte, i przegrają szóste. Głosować zaczyna nowe pokolenie, któremu Kościół nie kojarzy się już z miejscem schronienia przed prześladowaniami, jak w stanie wojennym. Kojarzy mu się z ponurą instytucją, która cieszy się nieuzasadnionymi przywilejami podatkowymi, która za sprawiedliwą karę za seksualne molestowanie dzieci uważa przenosiny do innej parafii, która prawem kądka wywalczyła sobie umowę międzynarodową chroniącą jej interesy. W nowym pokoleniu wyborców szkolna katecheza wyrobiła miłość do Kościoła równie sku-

tecznie, jak w moim pokoleniu szkolne zajęcia wyrabiały miłość do Związku Radzieckiego”.

Orliński napisał te słowa latem 2010 r., gdy wojna o krzyż na Krakowskim Przedmieściu toczyła się w pełni. Niebawem na scenie politycznej pojawił się Ruch Palkota, któremu w 2011 r. udało się odnieść znaczący sukces w wyborach parlamentarnych. Zwolennikom świeckości państwa zdawało się, że nad Polską zaczęło właśnie krążyć widmo upragnionej „zapateryzacji”. Wierzyli, że na wzór premiera Hiszpanii z lat 2004-11 pojawi się wreszcie ➔

→ w Polsce jakiś świecki mesjasz, który przeprowadzi u nas skuteczną laicyzację.

Co się od tamtego czasu stało, wszyscy wiemy. Nie znaczy to, że lewicowo-liberalne nadzieje zgasły. Mają chyba, jak się zdaje, nawet mocniejsze ugruntowanie niż przed laty. Nie bardzo wiadomo jeszcze, jak na stosunek do (nie tylko hierarchicznego) Kościoła przełoży się olbrzymia frekwencja na pokazach filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego. Faktem jest jednak, że seksualne przestępstwa i grzechy duchownych budzą w Polsce większe zgorszenie niż dawniej. Pisowsko-kościelne związki tronu i ołtarza nie cieszą się też przychylnością licznych katolików. Tym bardziej, że zza politycznych i podatkowych apanaży wyziera często duszpasterska bezradność. Wedle coraz powszechniejszej opinii Kościół nie ma już wystarczająco przekonującego orędzia, wokół którego mogłoby się jednoczyć społeczeństwo. Szczególnie w momentach dla nas traumatycznych.

Ukazał to ostatnio czas żałoby po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska. Krzysztof Mazur, prezes Klubu Jagiellońskiego, zauważył: „Przynajmniej od II wojny światowej to Kościół katolicki proponował język oraz ramy interpretacyjne dla kolejnych tragedii narodowych. W przypadku zabójstwa Pawła Adamowicza po raz pierwszy tak mocno wybrzmiewa upadek jego autorytetu w tym względzie. Kościół przestał być zwornikiem dla całej wspólnoty, nie tworzy sensu, który wyraża stan świadomości większości społeczeństwa”.

Na poparcie tego twierdzenia Mazur przytoczył wpisy, które ukazały się pod zapraszającym na mszę żałobną tweetem ks. Przemysława Śliwińskiego, rzecznika prasowego Archidiecezji Warszawskiej. Wśród negatywnych względem Kościoła wypowiedzi znalazł się też cytat z wiersza Tuwima „Pogrzeb prezydenta Narutowicza”: „Krzyż mieliście na piersi, a brau-

ning w kieszeni / Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie”. Dla Mazura wniosek płynący z takich reakcji jest oczywisty: „Kościół na naszych oczach przestaje być instytucją dysponującą niezbędnym autorytetem społecznym do pełnienia roli zwornika wspólnoty, przez co jeszcze trudniej będzie nam mówić tym samym językiem”.

Nie jestem pewien, czy zauważalny spadek autorytetu rzymskokatolickiej kościelnej instytucji już gotuje drogę zwycięstwa dla tak wyczekiwanego przez niektórych „polskiego Zapatero”. Na pewno jednak uwalnia potencjał antyklerykalnej i antyreligijnej retoryki. Od postępow tego antyreligijnego dyskursu będzie zależał – być może w bardzo niedługim już czasie – kształt demokracji w Polsce.

Krasnoludki? – wolne żarty!

Wzmoczenie antyreligijnej retoryki zauważył niedawno w swym – opublikowanym na portalu „Więzi” i w „Gazecie Wyborczej” – tekście „Przyjaciołom ateistom (ostatnio dość irytującym)” pisarz Jerzy Sosnowski. Napisał bowiem, co następuje: „Jeśli nie jestem ateistą, jestem przygłupem – takim oto przesłaniem częstują mnie moi przyjaciele ateści. (...) muszę przyznać z zakłopotaniem, że takiego natężenia nienawiści do chrześcijaństwa, jakie widzę u wielu znajomych (których poza tym lubię), nie pamiętam nawet z »Trybuny Ludu« (w każdym razie z późnych lat 70.). Słyszało się, że »religia to opium dla mas«, ale jednak nie, że religie są przyczynami wszystkich (!) wojen i zbrodni (jakby Stalin, Hitler i Pol Pot byli ludźmi wierzącymi...)”.

Porównanie z funkcjonariuszami komunistycznego reżimu oraz odniesienie do niewierzących dyktatorów-morderców wywołało nie tylko konsternację, ale i furję. Niektórzy z polemistów Sosnowskiego (aktywni głównie w mediach społeczno-

ściowych) deklarowali, że nic ich nie obchodzi jego chrześcijańska wiara, bo problemem jest, będący standardem w cywilizowanych krajach, rzeczywisty (a nie „iluzoryczny jak w Polsce”) rozdział Kościoła od państwa. W swej krytyce nie poprzestawali jednak na zestawie dobrze znanych historycznych przykładów zbrodni i nieprawości, popełnianych przez chrześcijan (od walk z poganami, przez krucjaty i inkwizycję, po „Syllabus” Piusa IX). Niektórzy żądali, by „wiarę w bóstwa i gusła” odstawić na bok. W ich mniemaniu chrześcijaństwo to irracjonalna bzdura, podobna w swej treści do opowieści o krasnoludkach. I to miałyby być powód główny, dla którego walczyć trzeba o likwidację nie tylko politycznych przywilejów Kościoła, ale i jego społeczno-kulturowych wpływów. Wiara w Boga-człowieka, który złożył siebie w ofierze za ludzi, zrównana z pocziwymi bajeczkami w imię walki o „prawdziwy” rozdział państwa i Kościoła? Cóż, można i tak. Nasuwa się tylko pytanie: czy w ten sposób uda się naprawdę zbudować w Polsce sprawiedliwszą demokrację?

Widmo sekularyzacji

Ian Buruma, holenderski pisarz i historyk (w latach 2017-18 redaktor naczelny „The New York Review of Books”), przytacza w kontekście podobnej polemice argument następujący: „Jeżeli naprawdę wierzymy w konieczność rozdziału Kościoła i państwa, a powinni w nią wierzyć wszyscy demokraci, to wskazana byłaby pewna dyskrekcja w stosunku do wierzeń religijnych innych osób. Nie ma bowiem sensu wysuwanie argumentów racjonalistycznych przeciwko wierze w Boga, ponieważ jest to wiara, a nie opinia”.

Buruma zakłada (a jako historyk dobrze orientujący się w poreformacyjnych wojnach religijnych w Europie ma do tego bez wątpienia wystarczającą wiedzę), że

TP

Kluby „TP” zapraszają

BIELSKO-BIAŁA

■ wtorek, 5 lutego, godz. 17.30
Spotkanie „Czyńcie sobie ziemię...”.
Gośćmi będą dr Marek Ugłorz i Wojciech Owczar. Miejsce: LO Towarzystwa Szkolnego (ul. Frycza-Modrzewskiego 12).

BYDGOSZCZ

■ czwartek, 31 stycznia, godz. 18.00
Spotkanie „Mea Culpa – mowa nienawiści w publicznym dyskursie”. Gośćmi będą prof. Bassam Aouil i prof. Paweł Stachowiak. Miejsce: Biblioteka

Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego
(ul. K. Szymanowskiego 3).

KRAKÓW

■ niedziela, 3 lutego, godz. 18.00
Spotkanie „Anioły też kochają zwierzęta”.
Gościem będzie Jacek Bożek. Miejsce: sala konferencyjna Herbewo (ul. Lubelska 29).

w przypadku wierzących religia bywa najistotniejszym elementem ich tożsamości. Można atakować ich wiarę, ale trzeba mieć świadomość, że atak taki w ich rozumieniu to nie tylko raniąca obraza takich czy innych przekonań bądź opinii, ale i zamach na ich godność. Jeśli założenie Burumy jest zasadne, należy dokładnie zastanowić się nad relacją wolności słowa i wolności religii w warunkach współczesnej, funkcjonującej w globalizującym się świecie demokracji liberalnej.

Spróbował to zrobić w wydanym w zeszłym roku w Polsce pomnikowym dziele „Wolne słowo. Dziesięć zasad” Timothy Garton Ash. Zauważył, że współcześnie wolność religijna pojmowana jest na trzy sposoby: „wolność w religii”, „wolność od religii” oraz „wolność do religii”. Różnicę między nimi przedstawił Ash w sposób następujący: „Większość religii twierdzi, że prawdziwą wolność można znaleźć wyłącznie w samej religii. (»Ku wolności wyswobodził nas Chrystus« – mówi św. Paweł). Ateista przekonuje za wolnością od religii. Liberalny pluralista proponuje wolność do religii – uwzględniając również tych, którzy opowiadają się przeciwko wszelkiej. Każde z tych podejść może się przełożyć na pewien idealny rodzaj sfery publicznej. W pierwszym przypadku na forum publicznym jest tylko jeden bóg (lub wielopokoleniowa boża rodzina). W drugim przypadku nie ma wstępu żaden bóg. W trzecim przypadku wszyscy bogowie są na nim równie mile widziani. Niektóre kraje muzułmańskie zbliżone są do tego pierwszego ideału, Korea Północna realizuje ten drugi, Stany Zjednoczone zbliżają się do trzeciego.

Powinno być oczywiste, że jedynym modelem kompatybilnym ze swobodą wypowiedzi jest ten ostatni: sfera publiczna zorganizowana na zasadzie wolności do religii. Jednostki nie tylko muszą mieć ustawową wolność praktykowania i propagowania konkurencyjnych wizji wolności w religii i wolności od religii, ale także muszą czuć, że wolno im to robić. Takie poczucie wolności nie wynika jedynie z prawa stanowionego i polityki państwa, ale także z praktyki społecznej, kulturowej i medialnej – poczynając od kwestii wolności od strachu przed brutalnym zastraszaniem. Większość krajów na świecie wciąż daleka jest od tego ideału”.

Występujący przeciw „polityczno-społeczno-kulturowej” dominacji Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce uznają

Wedle coraz powszechniejszej opinii **Kościół nie ma już wystarczająco przekonującego orędzia,** wokół którego mogłoby się jednoczyć społeczeństwo.

Także w momentach szczególnie traumatycznych.

francuski model laickości za „cywilizacyjny standard” realizacji wolności religijnej w warunkach liberalnej demokracji. Zapominają, że na liberalnym Zachodzie jest to model skrajny (nie bez powodu wybitna amerykańska filozofka i etyczka Martha Nussbaum zgryźliwie nazywa *laïcité* „niereligiją państwową”).

W wielu zachodnich krajach lekcje religii finansowane są z państwowego budżetu (podobnie jak wydziały teologiczne na świeckich uczelniach czy nawet czasem uczelnie wyznaniowe), a kapłani dostają od państwa pensje. W Belgii, Wielkiej Brytanii czy Danii nie budzi to zwykle tak wielkich emocji jak w Polsce. Pewnie dlatego, że sekularyzacja poczyniła w nich znaczne postępy: wiara religijna stała się tam nadzwyczaj „letnia”, a większość społeczeństwa pocziwie stare chrześcijaństwo zdaje się w ogóle nie obchodzić.

Być może właśnie osiągnięcie takiej „letniości” jest główną stawką w toczonych ostatnio u nas sporach o miejsce i znaczenie religii (bo na pewno nie tylko rzymskokatolickiej kościelnej instytucji) w życiu i umysłach Polaków. Kościelne statystyki z ostatnich lat zdają się potwierdzać, że mamy już do czynienia z pełzającą sekularyzacją. Z drugiej jednak strony w kraju, gdzie 82 proc. mieszkańców w wieku 16-29 lat identyfikuje się z katolicyzmem (połowa badanych w tej grupie deklaruje, że modli się co najmniej raz w tygodniu, a 38 proc. raz w tygodniu uczestniczy we mszy św.), trudno oczekiwać, że pożądana przez antyreligijnie nastawionych radykałów „letniość” pojawi się z dnia na dzień.

Co nie znaczy, że ewentualny „polski Zapatero” nie mógłby już przeprowadzić w Polsce laicyzującą rewolucji. Ujawienie skandali seksualnych wywołało przecież ostrą antykościelną reakcję w Irlandii.

Pytania otwarte

Coraz bardziej agresywne antyreligijne filipiki niewiele mają wspólnego z dążeniem do stworzenia społeczeństwa, które byłoby lepszym zarówno dla wierzących, jak i niewierzących obywateli.

W odpowiedzi na artykuł Sosnowskiego historyk i publicysta Adam Leszczyński opublikował na stronie „Krytyki Politycznej” teks, w którym twierdzi: „Nie ma żadnego »Kościola otwartego«. Wystarczy odrobinę poskrobać, żeby z kulturalnego i pełnego oglądu katolickiego intelektualisty zeszła politura. I klerykał, i »otwartysta« chcą tego samego. Ci pierwsi są tylko bardziej szczerzy od drugich. (...) Bardzo mi przykro, ale przyjaźnię się tylko z ludźmi, którzy nie próbują mnie oszukiwać. Najpierw, kochani katolicy, porozmawiajmy uczciwie. Nad przyjaźnią potem się zastanowimy”.

Czy naprawdę jest nieuczciwością, że nie chcę, by w Polsce urzeczywistniona została w pełni kopia francuskiej *laïcité*? Czy w imię rzekomego „cywilizacyjnego standardu” mam się godzić, że religia musi zostać sprywatyzowana, bo inaczej w demokratycznym społeczeństwie nie zaistnieje ani sprawiedliwość, ani tolerancja?

Ateistyczni antyklerykałowie mają prawo głosić wszem i wobec (choć często ich słowa są dla mnie bolesne), że moja wiara religijna to stek bzdur, a tego typu określenia nikogo nie powinny denerwować czy zasmucać. W demokracji prawo do obrażania nie implikuje jednak obowiązku obrażania, chyba że demokrację pojmujemy jako pole starcia z inwektywami jako głównym orężem. Wtedy rzeczywiście jest w niej miejsce tylko dla religijnych i niereligijnych fundamentalistów. Obu tym stronom Kościół jest potrzebny do określania ich własnych politycznych tożsamości.

Dla mnie funkcjonujący w demokratycznej sferze publicznej Kościół jest czymś innym. Wierzę (nie tylko prywatnie), że mimo wszystkich swych grzechów może być on traktowany jako recepta na przyszłość. Także jako słyszalny głos w demokratycznej debacie.

© SEBASTIAN DUDA

Autor jest filozofem, teologiem i publicystą. Redaktor kwartalnika „Więź”, członek Zespołu Laboratorium Więzi. Ostatnio opublikował zbiór esejów „Przesilona wątpliwość”.



Franciszek zapala Świecę Pokoju na spotkaniu z przedstawicielami różnych religii. Bazylika św. Franciszka, Asyż, wrzesień 2016 r.

Dawniej domena diabła, dziś Ducha Świętego

JÓZEF MAJEWSKI

Nauczanie Kościoła o innych religiach przechodziło przez różne meandry. Ostatnio zrobiło kolejny zwrot.

GDYBY TAKIE RZECZY O INNYCH RELIGIACH głosił zwykły teolog, a nie papież Franciszek, to bez wątpienia miałby poważne problemy z Kongregacją Nauki Wiary – uważa ks. Peter C. Phan, amerykański teolog o wietnamskich korzeniach. I ma rację. W sprawie religii niechrześcijańskich żaden biskup Rzymu nie poszedł tak daleko jak Franciszek.

Poza Kościołem

Przez długie wieki w Kościele królowało przekonanie, że inne religie to dzieło Szatana, a ich wyznawcy, jeśli się nie nawrócą na katolicyzm, po śmierci idą na wieczne męki. „*Extra Ecclesiam nulla salus est*” („poza Kościołem nie ma zbawienia”) – na tym świecie tylko Kościół jest kanałem zbawczej łaski płynącej od Boga do ludzi. Stanowisko to w XV w. na kolejnych kilku stuleci przypieczętował sobór we Florencji: „Nikt z tych, co są poza Kościołem katolickim, nie tylko poganie, ale i żydzi,

heretycy i schizmatycy, nie mogą stać się uczestnikami życia wiecznego, ale pójdą »w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom«, jeśli przed końcem życia nie będą do niego włączeni (...), gdyż nikt – jakichkolwiek by jałmużn nie udzielał, nawet gdyby dla imienia Chrystusa przełwał swą krew – nie może być zbawiony, jeśli nie pozostaje w łonie Kościoła katolickiego i w jedności z nim”.

Z czasem do Magisterium zaczęło docierać, że na świecie żyją rzesze ludzi, którzy bez własnej winy nigdy nie słyszeli i nie usłyszeli o Kościele i Jezusie Chrystusie. Bezwarunkowe zamykanie przed nimi bram do zbawienia byłoby zatem pogwałceniem zasady sprawiedliwości, a tym bardziej miłosierdzia. Dlatego zaczęto wynajdywać dla nich różne poboczne ścieżki, którymi miałyby szansę trafić do nieba.

W połowie XX w. doszło nawet do kuriozalnej sytuacji: oto Kongregacja św. Oficjum, poprzedniczka Kongregacji Nauki

Wiary (dalej: KNW), zagroziła wiecznym ogniem tym katolikom, którzy... pozostali wierni nauczaniu Soboru Florenckiego. Według św. Oficjum Kościoł, owszem, pozostaje jedynym na świecie kanałem zbawienia, to nie podlega dyskusji, lecz można należeć do niego w różny sposób, przez chrzest, ale i na mocy jego pragnienia, nawet nieuświadomianego. Członkowie innych religii, żyjąc zgodnie z własnym sumieniem, mają zatem szansę na zbawienie, ale nie dzięki swoim religiom, lecz pomimo przynależności do nich – te na zawsze pozostają przeszkodą do zbawienia. To pogląd niewątpliwie w jakiejś części dzisiejszych biskupów, tych bardziej tradycyjno-nalistycznych.

Sobór Watykański II (1962-65) dał początek teologiczno-doktrynalnemu zwrotowi, nad którym Magisterium Kościoła w pocie czoła pracuje do dziś, i to nie bez napięć, sprzeczności i sporów. Sobór przede wszystkim dostrzegł w innych religiach – jak to ujęli biskupi – „elementy prawdy i łaski” Bożej, rzeczy „prawdziwe i święte”, „nasiona Słowa” i zasady „niezwykle odbijające promień Prawdy”, które jednak mają w tych religiach taką postać, że Kościół pragnie je oczyścić i wynieść na wyższy poziom, właściwy wyłącznie jemu samemu (Dekret o działalności misyjnej Kościoła, nr 9). Oznacza to, że dalej obowiązuje zasada, iż Kościół jest jedynym kanałem zbawczej łaski, ale łaska ta w ukryty sposób – wciąż jednak za tajemniczym pośrednictwem Kościoła – może działać w innych religiach. Stanowisko

to – jak się zdaje – prezentuje dziś także pewna część biskupów.

Nauczanie Soboru powtórzy, ale i rozwinię KNW w słynnej deklaracji „Dominus Iesus” z 2000 r. Dokument ten, podpisany przez kard. Josepha Ratzingera, ówczesnego jej prefekta, spotkał się z krytyką wielu teologów, a nawet części biskupów, głównie tych z Azji, gdzie chrześcijaństwo ilościowo przypomina kroplę w morzu religii niechrześcijańskich. Watykańska strażniczka ortodoksji ogłosiła, że innych religii – w przeciwieństwie do chrześcijaństwa – nie można nazywać „wiarą” (łac. *fides*), lecz jedynie „wierzeniem” (*credulitas*), bo nie są one odpowiedzią na objawienie Boże. Religie niechrześcijańskie, oczywiście z wyjątkiem judaizmu, to twory czysto ludzkie, naturalne, niezdolne do tego, by być kanałami zbawczej łaski. Owszem, „niektóre modlitwy i niektóre obrzędy innych religii mogą przygotowywać na przyjęcie Ewangelii (...). Nie można im jednak przypisywać pochodzenia Bożego oraz zbawczej skuteczności *ex opere operato*, właściwej chrześcijańskim sakramentom. (...) inne obrzędy, jako związane z przesadami lub innymi błędami (por. 1 Kor 10, 20-21), stanowią raczej przeszkodę na drodze do zbawienia” (nr 21).

Wydaje się, że spora część biskupów podziela dziś stanowisko „Dominus Iesus”. Dodajmy, że teologiczno-sakramentalna formuła *ex opere operato* (na podstawie dokonanej czynności) oznacza, że w sakramentach Kościoła prawdziwie działa sam łaskawy Bóg i dlatego są one skuteczne bez względu na postawę szafarza czy przyjmującego.

Spór o Asyż

Deklarację „Dominus Iesus” zaakceptował Jan Paweł II, tymczasem ci teologowie i – co ważniejsze – biskupi, którzy stanowisko KNW poddali krytyce, powoływali się m.in. na nauczanie właśnie tego papieża. Przypominano, że dla sprawy dialogu międzyreligijnego na przełomie XX i XXI wieku zrobił on najwięcej spośród wszystkich przywódców religijnych świata. Jego encyklika „Redemptoris missio” (1990) była chyba pierwszą wypowiedzią papieską o obecności i działaniu Ducha Świętego w innych religiach jako takich: „Obecność i działanie Ducha nie dotyczą tylko jednostek, ale społeczeństwa i historii, narodów, kultur, religii. (...) Gdy Duch Święty działa w sercach ludzi i w dziejach narodów, w kulturach i w re-

ligiach, podejmuje On zadanie przygotowania do Ewangelii i nie może nie mieć odniesienia do Chrystusa” (nr 28-29).

Dziewięć lat później Jan Paweł II do tych słów doda formułę: „Na ogół »poprzez praktykowanie tego, co dobre w ich własnych tradycjach religijnych i postępując zgodnie z głosem sumienia, członkowie innych religii odpowiadają pozytywnie na Boże wezwanie i dostępują zbawienia w Jezusie Chrystusie, nawet jeżeli nie uznają Go za swego Zbawiciela«”. Formuła ta – jak w 2001 r. ujął to jezuita Jacques Dupuis – „przekracza wszystko, co wcześniej zostało powiedziane [o innych religiach] w dokumentach kościelnych”. Sugeruje ona możliwość, że religie niechrześcijańskie w jakimś sensie są odpowiedzią na Boże objawienie, a tym samym, że posiadają przynajmniej elementy autentycznej wiary (*fides*).

Najbardziej spektakularnym krokiem Jana Pawła II w dziedzinie międzyreligijnej była organizacja modlitewnego spotkania przywódców 13 religii w Asyżu w październiku 1986 r.: bahaizmu, buddyzmu, chrześcijaństwa, dżinizmu, hinduizmu, islamu, judaizmu, sikhizmu, zoroastryzmu oraz kilku tradycyjnych religii Ameryki (m.in. przybył uzdrowiciel z plemienia Wron w Montanie) i Afryki (animiści, w tym czciciele węży). W Kościele, a nawet w samym Watykanie, nie obyło się wówczas bez kontrowersji. Część środowisk katolickich oskarżyła papieża o sprzyjanie religijnemu synkretyzmowi i zacieranie istotnej różnicy między jedyną prawdziwą religią – chrześcijaństwem – a innymi religiami.

Niebezpieczeństwo takie widział nawet kard. Ratzinger, który ostatecznie nie pojechał do Asyżu. Obawiano się też, że dojdzie tam do wspólnej modlitwy przedstawicieli różnych religii, lecz Jan Paweł II szybko wykluczył taką możliwość. Tłumaczył: „dla Asyżu została wybrana następująca formuła: być razem, by się modlić. Na pewno nie można »modlić się razem«, tzn. wznosić wspólnej modlitwy, ale można być obecnym, kiedy inni się modlą”. W mieście św. Franciszka mieliśmy zatem do czynienia z modlitwą nie międzyreligijną, odmawianą wspólnie, ale z modlitwą wieloreligijną, odmawianą osobno!

Wielu katolików, w tym biskupów, odechnęło z ulgą, ale niewątpliwie nie wszyscy hierarchowie. Jeszcze na dobre kilka lat przed spotkaniem w Asyżu w Kościele

w Azji modlitwę międzyreligijną traktowano jako coś teologicznie usprawiedliwionego. Federacja Konferencji Biskupów tego kontynentu już w 1978 r., podczas swojego drugiego Zgromadzenia Ogólnego w Kalkucie, poświęconego tematowi modlitwy, poparła modlitwę międzyreligijną: „Trwały i rozważny dialog z innymi religiami w modlitwie (...) objawi nam to, co Duch Święty nauczył ich wyrażać na cudowną różnorodność sposobów. Te mogą różnić się od naszych, ale za ich pośrednictwem również możemy usłyszeć głos Ducha, wzywający nas do wzniesienia naszych serc do Ojca”.

20 lat później Konferencja Biskupów Katolickich Indii zdecydowała się na nauczanie, że modlitwa międzyreligijna to najgłębszy poziom dialogu międzyreligijnego, który jest powołaniem Kościoła: „Trzecia forma tego dialogu osiąga najgłębszych poziomów życia religijnego: polega na dzieleniu się modlitwą i kontemplacją. Głównym celem takiej wspólnej modlitwy jest kult Boga, który nas wszystkich stworzył, by uczynić z nas wielką rodzinę. Jesteśmy wezwani, by adorować Boga nie tylko indywidualnie, ale również jako wspólnota”.

Wątpliwości Ratzingera

Tymczasem w 2003 r. kard. Joseph Ratzinger opublikował po niemiecku studium „Wiara – prawda – tolerancja. Chrześcijaństwo a religie świata”. Przyszły papież zgodził się w niej na modlitwę wieloreligijną, byleby organizowaną wyjątkowo. A modlitwa międzyreligijna? Taka – podkreślił – musiałaby spełniać trzy warunki.

Po pierwsze – winna istnieć zgodność wyznawców różnych religii „co do tego, kim lub czym jest Bóg, a tym bardziej zasadnicza zgodność, czym jest modlitwa”, którą winno pojmować się jako rozmowę „z jedynym Bogiem”, ze Stwórcą nieba i ziemi, który „potrafi poznawać i kochać, (...) może słuchać i odpowiadać”. Po drugie – musiałaby istnieć także zgodność w tym, co uważa się za „godne modlitwy i co może stać się treścią modlitwy”. Ponadto – po trzecie – wspólna modlitwa przedstawicieli różnych religii nie może prowadzić do relatywistycznej interpretacji doktryny wiary i samej modlitwy.

Czy spełnienie tych trzech warunków jest możliwe? Sam kard. Ratzinger odpowiedział: „Osobiście w to wątpię”. Odpowiedzi tej – jak się zdaje – pozostał wierny jako urzędujący papież.

→

→ W Kościele na kontynencie azjatyckim w uzasadnieniu modlitwy międzyreligijnej akcentuje się inne sprawy. Dla Federacji Konferencji Biskupów Azji fundamentalne znaczenie ma przekonanie, że wielkie religie tego kontynentu są autentycznymi kanałami zbawczej łaski. Już w 1970 r. biskupi tego regionu świata ogłosili doktrynę: „Musimy rozpoznać duchowe wartości innych religii – ich zdolność do kształtowania umysłów, serc i życia. Od wieków starożytne religie Wschodu były światłem i mocą dla naszych przodków. Wyrażają najbardziej doniosłe pragnienia serc naszych ludów, nasze najgłębsze radości i smutki. Ich świątynie są domem kontemplacji i modlitwy. Kształtują one naszą historię i nasze drogi myślenia. Są częścią naszej kultury. Dla nas w Azji są bramami do Boga”.

Z kolei dla Konferencji Biskupów Katolickich Indii podstawą wspólnej modlitwy z innymi religiami jest jedność rodzaju ludzkiego: „Jako że w sensie prawdziwym i podstawowym jesteśmy jedno z całą ludzkością, adorowanie Boga razem z innymi [religiami] jest dla nas nie tylko prawem, ale i obowiązkiem”. Po międzyreligijnym spotkaniu w Asyżu Azjaci w tej materii mogli powoływać się także na przemówienie, jakie Jan Paweł II wygłosił do Kurii Rzymskiej 22 grudnia 1986 r. Papież powiedział: „Jest tylko jeden zamiar Boga dla każdego człowieka, który na ten świat przychodzi (por. J 1, 9) (...). Różnice są elementem mniej ważnym w porównaniu z jednością, która natomiast jest radykalna, podstawowa i decydująca”.

Jedność rodzaju ludzkiego – mówił dalej papież z Polski – wiąże się także z obecnością i działaniem Ducha Świętego we wszystkich religiach, szczególnie zaś w każdej szczerej modlitwie chrześcijan i niechrześcijan: „każda autentyczna modlitwa jest wzbudzana przez Ducha Świętego, który jest tajemniczo obecny w sercu każdego człowieka” (nr 11).

Zaproszenie Franciszka

Sporo wskazuje na to, że nauczanie Franciszka o innych religiach zbliża się do nauczania Federacji Konferencji Biskupów Azji. Kluczowe znaczenie w tym względzie – jak do tej pory – należy przypisać adhortacji „*Evangelii gaudium*” oraz encyklice „*Laudato si*”. W pierwszym z tych dokumentów papież pisze: „z powodu sakramentalnego wymiaru łaski uświęcającej działanie Boże w nich [wyznawcach

W XV w. Sobór Florencki ogłosił, że **wyznawcy innych religii pójda w ogień piekielny**, jeśli przed końcem życia nie zostaną włączeni do Kościoła katolickiego.

W połowie XX w. sytuacja się odwróciła:

Magisterium zagroziło wiecznym ogniem tym katolikom, którzy... pozostali wierni nauczaniu Soboru Florenckiego.

innych religii] zmierza do stworzenia znaków, obrzędów, świętych form wyrazu, które zbliżają niechrześcijan do wspólnotowego doświadczenia drogi prowadzącej do Boga. Nie mają one znaczenia i skuteczności sakramentów ustanowionych przez Chrystusa, ale mogą być kanałami (wł. *canali*), które sam Duch stwarza, aby wyzwolić niechrześcijan od ateistycznego immanentyzmu lub od czysto indywidualnych doświadczeń religijnych. Ten sam Duch budzi w każdym miejscu formy praktycznej mądrości, pomagające znosić trudy życia i żyć w większym pokoju i harmonii” (nr 254).

W słowach tych Franciszek – jak się zdaje – odchodzi od stanowiska „*Dominus Iesus*”, według którego – przypomnijmy – religie niechrześcijańskie nie są „wiarą”, ale tylko „wierzeniem”, a ich obrzędy nie mają „zbawczej skuteczności *ex opere operato*”. Tymczasem papież wyraźnie stwierdza, że obrzędy te i znaki są rezultatem „działania Boga”, łaski Bożej, a zatem są innym rodzajem *ex opere operato*! W konsekwencji można powiedzieć, że niechrześcijanie mają „wiarę”, a nie tylko „wierzenie”. Franciszek dalej uznaje, że „znaki, obrzędy, święte formy wyrazu” innych religii mogą być „kanałami, które sam Duch stwarza” – a zatem kanałami zbawczej łaski płynącej od Boga do ludzi.

Z kolei encyklika „*Laudato si*” jest pierwszą w historii Kościoła wypowiedzią pa-

pieską pozytywnie oceniającą modlitwę międzyreligijną, papież wręcz – rzecz bez precedensu – zaprasza do niej wyznawców innych religii, do tego proponując im modlitwę ułożoną przez samego siebie. W zakończeniu tego dokumentu przedkłada dwie modlitwy: „Jedną z nich możemy dzielić się ze wszystkimi wierzącymi w Boga wszechmocnego Stworzyciela, a drugą odmawiamy, aby chrześcijanie potrafili podjąć zobowiązania, jakie wobec stworzenia stawia nam Jezusowa Ewangelia”. Konkretnie papież zaprasza do wspólnej modlitwy wyznawców tych religii, które wierzą w Boga Stwórcę, czyli np. wyznawców judaizmu, islamu, hinduizmu, sikhizmu czy bahaizmu. „Wraz z tym zaproszeniem – stwierdza Peter C. Phan – za jednym zamachem Franciszek kładzie kres oficjalnej dezaprobaty dla modlitwy międzyreligijnej, która miałaby prowadzić do religijnego synkretyzmu czy promiskuityzmu”.

Dziesięć prawd

W 1992 r. dominikański teolog Augustine Di Noia, od 2009 r. biskup, a od 2013 r. sekretarz pomocniczy KNTW, doliczył się dziewięciu stanowisk, które w naszych czasach w głównej mierze reprezentują wyznawcy Jezusa Chrystusa w odniesieniu do innych religii: (1) chrześcijaństwo naucza pełnej prawdy zbawczej, a inne religie tylko częściowej; (2) wyznawcom innych religii może być dana „wiera *implicita*” („ukryta”); (3) członkowie innych tradycji religijnych mogą w „ukryty” sposób należeć do Kościoła; (4) w Bożym planie zbawienia ludzkości inne religie mogą odgrywać jakąś rolę; (5) chrześcijaństwo stoi ponad innymi religiami; (6) członkowie innych religii mogą pełnić dobre uczynki, mające dla nich znaczenie zbawcze; (7) chrześcijanie mają obowiązek nieść Ewangelię innym religiom; (8) wyznawcy Chrystusa winni współpracować z wyznawcami innych tradycji religijnych dla wspólnego dobra; (9) chrześcijanie winni prowadzić dialog z wyznawcami innych religii.

Do tych stanowisk wypada dodać jeszcze i to, według którego chrześcijanie z wyznawcami innych religii mogą wspólnie się modlić. Tak widzą to biskupi Indii i Federacji Konferencji Biskupów Azji. Tak widzi to również Franciszek. Czy właśnie taka jest przyszłość relacji między religiami na świecie?

Wizerunek człowieka

KAROL KLECZKA

Opublikowano wyniki kolejnych badań nad Całunem Turyńskim. Potwierdzają, że owinięty weń człowiek został ukrzyżowany.

TO LEDWIE 5 METRÓW KWADRATOWYCH ręcznie tkanego lnianego płótna, o wadze 2,5 kilograma, które jednak od 130 lat rozpała wyobraźnię badaczy i amatorów, wierzących i niewierzących. Ubiegły rok przyniósł okrągłą rocznicę naukowych badań nad tkaniną, w której Jezus miał zostać złożony do grobu. Nie powinien więc dziwić fakt, że przy takiej okazji dyskusja na temat pochodzenia płótna nabrała rumieńców. Jak podał w styczniu dziennik „La Stampa”, ostatnie badania przeprowadzone przez włoskich naukowców potwierdzają, że „człowiek, który został okryty Całunem Turyńskim, został wcześniej ukrzyżowany”.

Chodzi o wnioski z eksperymentu przeprowadzonego przez radiologa prof. Filippa Marchisia i prof. Pierluigiego Baime Bollonego z turyńskiego zakładu medycyny sądowej. Ten drugi naukowiec jest niekwestionowaną gwiazdą wśród syndonologów, czyli badaczy specjalizujących się w próbach wyjaśnienia zagadki tkaniny z Turynu, a obecnie pełni zaszczytną funkcję kierownika Międzynarodowego Centrum Syndonologicznego.

Naukowcy zwrócili uwagę na intrygującą zależność, która wcześniej ze względu na braki technologiczne była trudna do zauważenia – na wizerunku z Całunu prawe ramię mężczyzny jest nieco dłuższe od lewego. Ich zdaniem różnica wynika z deformacji ukrzyżowanego ciała ofiary owiniętej materiałem. Udało im się także zidentyfikować miejsce, w którym „jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok”. Broń miała dotrzeć i rozerwać opłucną w obu płucach, przez co z boku prósł krew wypłynęła druga ciecz – płyn surowiczy złożony w 90 proc. z wody. Co najważniejsze, potwierdzili autentyczność



Całun prezentowany w katedrze w Turynie, kwiecień 2010 r.

śladów krwi na Całunie. Dlaczego to takie istotne? Bo na pierwszy rzut oka nie wygląda ona jak krew człowieka, a co więcej – osoby, która miała zginąć na krzyżu.

Legenda

Krew to nie jedyna kontrowersja. Jeśli tkanina z Turynu faktycznie stanowi materiał, w którym złożono do grobu Jezusa Chrystusa, a zarazem jest jedynym rzeczowym świadectwem zmartwychwstania, to jej losy można roboczo podzielić na trzy etapy.

Pierwszy okres to czas legendy sięgającej aż do ewangelii apokryficznych i, co ciekawe, już wtedy pojawił się pierwszy spór o Całun. Należy do nich Ewangelia Hebrajczyków, gnostyckie pismo wczesnych radykałów z ruchu ebionitów. Wiadomo o istnieniu tekstu z cytowań zawartych u św. Hieronima, który pisze, że Jezus po zmartwychwstaniu oddał całun służce kapłana. Tu pojawia się pierwsza niejasność. Badacze twierdzą, że Hieronim mógł się pomylić, błędnie widząc w słowie *Petro*, czyli Piotr, *Puero* – a zatem sługę. Skąd ten trop? Z konkurencyjnego źródła, relacji św. Nino – apostołki żyjącej na przełomie III i IV w. Podaje ona, że płótno z grobu Jezusa w pierw wzięła żona Pilata, następnie przechowywał je Łukasz Ewangelista, a w końcu trafiły one do św. Piotra.

Kolejny ślad pojawia się dopiero kilkakaset lat później. Całun powraca pod koniec VI w. w Edessie, dzisiejszej Şanlıurfa na wschodzie Turcji, blisko granicy z Syrią. Przechowywano tam mandylion, cudowny wizerunek Jezusa, który miał uleczyć króla Abgara ze śmiertelnego trądu. Historia uzdrowienia faktycznie panującego władcy jest przedstawiana w kilku wersjach zawierających m.in. rzekomą korespondencję króla z Jezusem, a każda z nich stara się wytłumaczyć, jak to możliwe, że w VI w. Ewagriusz Scholastyk opisał mandylion z Edessy słowem *acheiropoietos*, czyli „nie ludzką ręką uczyniony”, zaś autor innej kroniki, znanej jako „Akta Tadeusza”, powie o nim *tetra-diplon* – „czterokrotnie złożony na dwa”. Ikoniczny wzór mandylionu przedstawia samą twarz Jezusa, lecz jeśli mamy do czynienia z tkaniną poczwórnie złożoną, to stąd już niedaleko do Całunu, który przez lata funkcjonował właśnie w takiej postaci.

Historia prowadzi dalej szlak wędrówki płótna przez Konstantynopol, Ateny, Bezançon („teoria grecka”) lub Akkę, Cypr i Paryż („teoria templariuszy”). Wizerunek widzimy nawet za kanałem La Manche w Templecombe, gdzie na dębowym panelu widnieje portret uderzająco podobny →

→ do człowieka z Całunu. Słyszymy o nim także w procesie templariuszy, gdy jeden z zeznających braci wyznaje, że w ramach inicjacji ukazano mu długie płótno z lnu, przedstawiające odbicie brodatego mężczyzny, które adorowali zakonnicy.

Historia

To nadal legendy, a drugi okres dziejów całunu, określany jako historia obiektywna, zaczyna się dopiero w połowie XIV w., kiedy trafiamy na kult całunu z Lirey w Szampanii. Jego losy są nie mniej burzliwe niż te przynależące do podań, lecz w odróżnieniu od pierwszych przynajmniej dysponujemy dokumentacją na temat losu tkaniny, która znalazła się w posiadaniu rodu de Charny. Co nie zaskakuje, szybko stała się ona przedmiotem sporu politycznego w związku z możliwością udzielania odpustów i oczywiście wzrostem majątku tego, kto otoczy Całun kuratelą. Spory trwały przez sto lat, aż tkanina znalazła się w rękach książąt Sabaudii, którzy choć nie uchronili jej od drugiego pożaru w 1532 r. (pierwszy miał mieć miejsce w połowie XIV w.), to jednak zadbali o to, by trafiła do Turynu, gdzie można ją do dziś podziwiać.

28 maja 1898 r. Secondo Pia, włoski prawnik i amator fotografii, wykonuje zdjęcie, które otwiera trzeci okres w dziejach Całunu – historię naukową. Jedno spojrzenie na odbity na kliszy negatyw wystarczyło, aby wyraźnie zobaczyć w nim twarz Jezusa. Takiego efektu optycznego nie dostrzegł nikt wcześniej, stąd podejrzewano Pię o fałszerstwo, lecz nie udało się go udowodnić. Dzięki temu przypadkowy adwokat z Turynu położył fundamenty pod badania syndologiczne, które trwają do dziś.

Przez nieco ponad sto lat zauważono podobieństwo wizerunku z Całunu do licznych historycznych przedstawień męki Chrystusa, poddano analizie tkaninę i pyłki roślin, które w niej odnaleziono (niemal wszystkie z nich można odnaleźć tylko w jednym miejscu na świecie – Judei), zbadano nawet materiał genetyczny zawarty w kurzu, który uzyskano z Całunu w 1977 i 1988 r. (tak, ktoś go zachował). Przeanalizowano układ plam krwi i jego podobieństwo do innych relikwii, na czele z chustami z Manoppello i Owiedo, czyli domniemanymi oryginałami chusty św. Weroniki. Oceniono zabarwienie, którego nie da się uzyskać żadną znaną techniką malarską prócz na-

Nad Całunem głowili się artyści, lekarze, fizycy, chemicy, archeologowie, a nawet numizmatycy.

Dzieje tkaniny toczą się nadal.

świećlania olbrzymią ilością energii idącą w miliardy watów.

Całun wprawdzie „oblał” datację radiowęglową, bo trzy niezależne zespoły ustaliły, że pochodzi z przełomu XIII i XIV w., ale szybko stwierdzono, że wszystkie pracowały nad próbkami pochodzącymi z miejsca, które okazało się być doszytą w procesie konserwacji łatą. Nad Całunem głowili się artyści, lekarze, fizycy, chemicy, archeologowie, a nawet numizmatycy, którzy niedawno potwierdzili, że na oczodolach „człowieka z Całunu” spoczywały monety. To leptony pochodzące z 29 roku n.e., z czasów panowania Tyberiusza, w którego imieniu namiestnikiem Judei był Poncjusz Piłat. Każde z badań wywołało dyskusję, ale chyba żadne nie równa się kontrowersji co do pochodzenia krwi.

Krew

Na początku lat 80. XX w. zidentyfikowano grupę krwi na Całunie jako AB, która choć rzadka dla populacji ludzkiej, to jednak statystycznie wyjątkowo często występuje u Żydów. Podano jej dokładną charakterystykę, ale jedna rzecz się nie zgadzała – krew była zbyt czerwona, by należeć do człowieka.

Na skutek koagulacji plamy powinny przybrać brązowy odcień. W 2015 r. badania Paola Di Lazzara wyjaśniły ten problem. Krew może uzyskać odcień obecny na Całunie, jeśli napromieniuje się ją ultrafioletem podobnym do promieni słonecznych. Aby do tego doszło, powinien być spełniony jeszcze jeden warunek – struktura krwi musi ulec modyfikacji, jaka zachodzi np. u pacjentów z żółtaczką, ale także u osób torturowanych.

Pod koniec zeszłego roku pojawiła się szczególnie kontrowersyjna analiza, która wywołała do tablicy licznych syndologów. Dr Matteo Borrini i jego asystent Luigi Garlaschelli przeprowadzili badania, które wykorzystywały zdobycze współczesnej kryminalistyki – tzw. „ana-

lizę śladów krwawych (BPA). Początkowo miały na celu sprawdzić, jaki był kształt krzyża, na którym przeprowadzono egzekucję ofiary owiniętej w Całun. „Ukrzyżowana czy wisząca osoba zostawiłaby szczególnie wzór na tkaninie, który jest cenną informacją” – mówił dziennikarzom Borrini. W siedmiu różnych testach użyli modeli odmiennych części ciała: dłoni, przedramienia, klatki piersiowej, dolnej części pleców oraz talii. Wykonali w nich rany obecne na Całunie, z których następnie spływała ciecz mająca oddać przepływ krwi. Jaki z nich wniosek? Przebieg plam sugeruje, że nie odcisnął ich leżący ani ukrzyżowany mężczyzna. Osoba, której krew znajduje się na Całunie, znajdowała się w pozycji stojącej.

Chociaż badania na jakiś czas wstrząsnęły opinią publiczną, to nie trzeba było długo czekać, by pojawiły się głosy polemiczne. Borriniemu i Garlaschellemu zarzucono znaczne i liczne uproszczenia, bo m.in. pracowali na manekinie z tworzywa, które nie przypominało funkcjonalnia ludzkiego ciała, a roztwór, którego użyli, nie posiadał odpowiedniej gęstości. Zresztą już sama metoda użyta w eksperymencie była wielokrotnie odrzucana jako narzędzie dochodzeniowe. Głównym krytykiem jest Baima Bollone, współautor najnowszych badań nad autentycznością Całunu.

Modlitwa

Dzieje tkaniny z Turynu toczą się nadal. Kim był człowiek z Całunu? „Całun jest ikoną nakreśloną krwią, krwią człowieka ubiczowanego, ukoronowanego cierniem, ukrzyżowanego, zranionego w prawy bok. Na Całunie odbity jest wizerunek zmarłego, ale krew opowiada o jego życiu. Każdy ślad krwi mówi o miłości i o życiu”. Tak mówił o nim Benedykt XVI. Jego następca ułożył o Całunie modlitwę: „Panie, pozwól mi zobaczyć Ciebie w oszpeconych twarzach, cierpiących ciałach każdego wieku; w tych wszystkich odrzuconych, zmarginalizowanych i zmiażdżonych ciężarem ich krzyży. Panie, pozwól nam kontemplować Twe Oblicze, które jest dane i ukryte w twarzach moich braci i sióstr. Uczyni mnie Twoim obrazem, Twym całunem. O Panie, daj mi świadczyc o uścisku Twej niemożliwej do wypowiedzenia miłości dla całego rodzaju ludzkiego!”.

To więcej niż wszystkie badania.

© KAROL KLECZKA

SZYMON

Hołownia:

Pamiętaj o śmierci



NAJPIERW, W UROCZYSTOŚĆ TRZECH KRÓLI, odeszła cioteczna siostra ojca, nestorka naszej nierozległej rodziny. Następna była kuzynka, sporo ode mnie młodsza, chorująca na raka. Pierwsza w tym roku wizyta w Afryce i trudne spotkanie z Mosesem, jednym z dzieciaków z naszego domu dziecka w Kasisi, który zamiast cieszyć się byciem nastolatkiem, nie może się wywikłać ze skutków udaru, jaki przytrafił mu się w przebiegu dręczącej go od lat strasznej choroby – anemii sierpowatej (a swoje dołożył też AIDS). Po powrocie – zabójstwo Pawła Adamowicza. Dziś czytam, że zmarła Brianna Rawlings, osiemnastolatka z Sydney, której razem z połową świata zdalnie kibicowałem w jej podwójnej walce: z białaczką i o życie synka, dla którego zdecydowała się opóźnić swoją chemię i który – urodzony w 26. tygodniu przez cesarskie cięcie – dodawał swojej mamie sił tylko przez 12 dni, zanim wyprzedził ją w drodze na tamten brzeg życia.

Jasne, codziennie – jak w słynnym wierszu Brodskiego – „giną ludzie”. Dokładnie jakieś 150-160 tys. dziennie, około dwóch na sekundę. Rodzi się dwa razy więcej, Bogu dzięki, ale gdy stoi się nad grobem kogoś, z kim – nawet wirtualnie – zawiązało się nić troski, statystyki z porodówek nie mają mocy poprawiania nastroju. Do wyliczonych już wcześniej zgonów dodajmy ciężkie choroby trójki znajomych dzieci, spiętrzenie innych obiektywnych trudności i nie da się po takich trzech tygodniach stycznia nie zapytać, czy ów *Annus horribilis* wreszcie się przełamie, czy statystyka okaże swą moc i po wyrobieniu normy rzeczy ciemnych od lutego do grudnia przyjdzie się już tylko kąpać w świetle, nadziei i życiu.

Nie za bardzo wierzę już chyba w takie rzeczy. Ten świat jest pęknięty i pęknięty aż do swego końca będzie, tocząc z niemożliwych do zbliznienia w doczesności ran jad *mysterium iniquitatis*, tajemnicę niegodziwości. Już w pierwszej sekundzie po wielkim wybuchu grzechu powstała przecież siła złej grawitacji, której pokonanie nie jest możliwe bez pomocy z zewnątrz, przychodzącej od Kogoś, kto był pierwszy niż ona. Był czas, że chciałem pisać książkę o tym, że na jakie dramatyczne czasy w historii ludzkości by nie spojrzeć, Bóg nie anihiluje rodzącego się w ludzkich głowach zła, ale natychmiast, działając przez tych, do których ma dostęp, zaczyna wokół tego zła rozsypywać dobro. XX wiek dał nam Lenina, Stalina, Hitlera, ale dał też siostrę Faustynę, Jana Pawła II, Matkę Teresę, Franciszka. Dał gangi i chore frakcje i dał Zupełnie na Plantach.

To, co działo się w Gdańsku po tym najczystszej próbie zła – morderstwie Pawła Adamowicza, ta nagła erupcja wspólnoty, te setki (a pewnie tysiące) ludzi, którzy nie tylko w Gdańsku deklarują dziś, że coś w nich w ten wieczór pękło, że jakby coś spadło im z oczu, dotarło do nich, że „*business as usual*” nie jest w tej sytuacji ani godny człowieka, ani etycznie możliwy. Nie wiem, czy naprawdę musiał zginąć człowiek, byśmy znów zaczęli myśleć nie pilotem do TV, lecz głową, ale naprawdę nie trzeba habilitacji z socjologii, by dostrzec, że obok niewątpliwego, koszmarnego wręcz zła ewidentnie wyrosło też na naszych oczach jakieś realne dobro.

I nie ma co teraz jęczeć, że to pewnie zaraz minie, że to nie na długo. Podarowany kwiat należy pielęgnować, podlewać, a nie urządzać nad nim jałowe konwersatoria, snuć jeremiady o nieuchronności roślinnego przemijania. Ciemność, brak światła stwarza pozór głębi, wciąga. Jako człowiek, który niejako z urzędu proszony jest o wygłaszanie mów na rodzinnych pogrzebach, doskonale wiem, jak trudno jest przejść granicę między rozpaczą a wdzięcznością, ale przecież tylko ta druga jest życiodajna. Klasycy powtarzali, że jednym z filarów zdrowego życia duchowego jest regularne, najlepiej codzienne prowadzenie *meditatio mortis*, refleksji nad swoją własną śmiercią, rzeczą pewniejszą od wszystkich rzeczy, które po drodze mylnie za pewne bierzemy. Tyle że im naprawdę nie chodziło o wypychanie się w cikliwy smutek, lecz o to, że świadomość istnienia mety motywuje do wysiłku, a nie odbiera siły.

Na wykładach w środowiskach biznesowych, które zdarza mi się prowadzić, prowokuję czasem audytorium, wyciągając – niczym kartuzi na dach swoich kościołów – retoryczną trumnę: pytam o cel naszej drogi, tworzenia firmy, działania banku czy organizacji. Więc co: mamy być najbogatsi na całym cmentarzu? Na całym cmentarzu mieć najwięcej wystukanych na lastryko tytułów książek, pełnionych w zarządach funkcji, dat wygranych wyborów, by można było imponować koleżankom i kolegom spoczywającym w sąsiednich alejkach? Czy nie jest tak, że przez całe życie tutaj idziemy w zasadzie tylko z dwoma słowami: imieniem i nazwiskiem, a po naszym odejściu dołączają do nich jeszcze dwa, najwyżej trzy, więcej ludzka pamięć nie zmieści, ale i w nich da się zawrzeć wszystko, co trzeba? To był kawał drania, Panie świeć nad jego duszą. To był po prostu dobry człowiek.

Dziękuję za życie mojej ciotki, kuzynki, za to, co zrobił – i za życia, i po śmierci – Paweł Adamowicz. Za lekcje siły, jaką daje mi teraz Moses. Za przypomnienie dane przez Brianę Rawlings (a przed nią przez tyle młodych, znanych mi osobiście matek, które stawały przed identycznymi dylematami), że choć życie musi na sekundę poddać się śmierci, miłość nie musi, bo jako jedyna jest od niej silniejsza. To jest teraz największe wyzwanie mojego życia. Nie to, czy ktoś kiedyś uzna je za ciekawe, może pożyteczne, może mądre (a może pełne idiotycznych, jego zdaniem, wyborów). Ale czy ktoś za moje życie będzie wdzięczny, czy dziś jestem taki, że kiedyś ktoś za mnie podziękuję. ©

PRALNIE REPUTACJI

ANAND GIRIDHARADAS, AUTOR KSIĄŻKI „ZWYCIĘZCY BIORĄ WSZYSTKO”:

Filantropia najbogatszych, zbierających się w Davos, ma zastąpić prawdziwą politykę społeczną. Osłabia też wiarę obywateli w państwo, które jawi się jako bezsilne i koniec końców bezużyteczne.



TOMASZ TARGAŃSKI: Zakończyło się Światowe Forum Ekonomiczne w Davos. Łatwo zgadnąć, że rozmowy koncentrowały się wokół zmiany klimatu, stabilności rynków i rozwoju, ale o wiele bardziej interesujące wydaje się pytanie: o czym z pewnością tam nie dyskutowano?

ANAND GIRIDHARADAS: Zaczniemy od tego, że cała koncepcja Davos i podobnych spotkań kręci się wokół pytania, które uwielbiają stawiać moiżni i wpływowi: „Co mogę zrobić, by uczynić świat lepszym?”. Według mnie byłoby o wiele ciekawiej, gdyby zapytali: „Co zrobiłem, że nasza rzeczywistość wygląda tak, a nie inaczej? Jaką rolę w sukcesach populistów oraz poczuciu niestabilności, której ponoć staramy się zaradzić, mają podatki, których uniknąłem, miejsca pracy, które wysłałem za siódme morze, czy wychwalana przeze mnie deregulacja rynku pracy?”.

Mówię o fundamentalnym poczuciu współodpowiedzialności za bieg rzeczy.

Światowe Forum Ekonomiczne jako trybunał?

Bardziej jako komisja prawdy i pojednania – w duchu tej, którą w RPA powołali Nelson Mandela i Desmond Tutu. Kiedy słyszę o Davos, czy innych głośnych konferencjach oraz forach, przychodzi mi na myśl rodzinne spotkanie ludzi odpowiedzialnych za doprowadzenie świata do obecnego stanu. Oto najbogatsi i najbardziej wpływowi. W ciągu ostatnich dwóch dekad zdołali zmonopolizować postęp tak, by ten pracował wyłącznie na ich korzyść. Z kolei wywołany groźbą utraty miejsc pracy i stagnacją płac antyglobalistyczny gniew opinii publicznej zamiast pójść w stronę elit, skupił się na najbardziej bezbronnych grupach społecznych, jak mniejszości lub imigranci. Z tego

i wielu innych powodów uważam, że Davos straciło wiarygodność i powinno być zostać odwołane.

Odwołane?

Tak. Jak można przejść do porządku nad faktem, że ktoś, kto wywołał pożar, teraz staje w pierwszym szeregu, by go gasić? Społeczne wzburzenie i jego skutki – brexit, prezydentura Donalda Trumpa, protesty „żółtych kamizelek” – to w jakimś stopniu efekt szeregu ustaleń oraz koncesji, poczynionych na rzecz wielonarodowych korporacji i stojących na ich czele miliarderów, słowem: zwycięzców, którzy biorą wszystko. To oni zarobili na globalizacji, nowych technologiach i liberalizacji rynku. Wzrost produktywności nie przełożył się na płace, ponieważ nadwyżki, w postaci ulg podatkowych, trafiły do ich kieszeni. Dlatego uważam, że przyszedł czas na Davos *à rebours*. Rodzaj światowego audytu nad skutkami lobbingu, lokowania pieniędzy w rajach podatkowych, zasad handlu międzynarodowego, prekaryzacji rynku pracy czy wpływie cyfrowych korporacji na demokratyczne instytucje.

W swojej książce „Winners Take All” (Zwycięzcy biorą wszystko) posługuje się Pan terminem „filantropia urynkowiona”. Co za nim stoi?

Opisuję w ten sposób ideologię promowaną przez ludzi, którzy wierzą, że można pomagać innym i jednocześnie zarobić. To apostołowie fałszywej zmiany, zawartej w modnym ostatnio pojęciu „win-win”, gdzie rzekomo nie ma przegranych; oświeceni ludzie biznesu udzielający się na konferencjach, inicjujących kolejny rynkowy „projekt” obliczony na wyrównanie szans lub zmniejszenie nierówności.

Wszyscy filantrokapitaliści mówią, że chcą zmienić świat, ale, i tego już nie mówią, tylko w sposób, który nie zagrozi ich biznesowi oraz pozycji. Podam przykład: rodzina Sacklerów słynie z działalności filantropijnej oraz aktywności w świecie sztuki. Jednocześnie jako właściciele koncernu farmaceutycznego Purdue Pharma są odpowiedzialni za agresywną kampanię na rzecz stosowania opioidowych leków przeciwbólowych. Według danych Centers for Disease Control [agencji podległej amerykańskiemu Departamentowi

Ceremonia otwarcia Forum Ekonomicznego w Davos, 22 stycznia 2019 r.



FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

→ Zdrowia – red.] tylko w 2017 r. kryzys opioidowy zabił ponad 70 tys. Amerykanów. Więcej niż broń palna czy wypadki samochodowe. Ale dzięki hojnym datkom Sacklerowie „to ta rodzina, która ufundowała muzeum” i nikt już nie pyta, ile pieniędzy wydała na lobbing, by ich produkty były ogólnodostępne. Niedawno Richard Sackler – wpisując się w filozofię „win-win” – ogłosił, że pracuje nad lekiem, który ma pomagać uzależnionym od opioidów!

Czy to oznacza, że cała idea dobroczynności, która nie jest wyłącznie dobroczynnością, ale czymś bardziej „praktycznym”, jest Pana zdaniem szkodliwa?

Często słyszę zarzut: jak możesz krytykować ludzi, którzy dobrowolnie oddają swoje pieniądze? Staram się wówczas wyjaśnić, że atakuję pewien szczególnie rodzaj filantropii, który służy finansowym elitom za sposób, by kupić sobie spokój sumienia, a przy okazji zamknąć usta krytykom. To coś zupełnie innego niż oddawanie części swoich pieniędzy na szczytny cel ze szlachetnych pobudek. Zjawisko, o którym mówię, jest zwyczajną pralnią reputacji. Tak rozumiana dobroczynność stała się też bardzo skutecznym sposobem, by zdobyć sympatię opinii publicznej lub uzyskać zwolnienia podatkowe. Ale to tylko jedna strona medalu, druga to działalność całej rzeszy tzw. liderów opinii, filozofów technologicznej rewolucji, mówców TED wzywających do zmiany świata, stypendystów prywatnych fundacji, instytutów i think tanków.

Pan również występował na TED.

Moje winy są dużo poważniejsze. W 2012 r. dostałem stypendium od Aspen Institute. Cztery razy w roku miałem przyjechać na tygodniowe seminarium do Aspen i dyskutować z przedsiębiorcami oraz wysoko postawionymi biznesmenami o ideach. Zajęcie prestiżowe i mało wymagające jednocześnie. Hotel opłacony, kolacja w drogiej restauracji też. Minęło trochę czasu, zanim w mojej głowie zaczęły pojawiać się pytania: dlaczego partnerem tej konferencji jest Pepsi albo Monsanto? Potem okazuje się, że Goldman Sachs sponsoruje nasz letni wyjazd, a na dokładkę budowę siedziby instytutu sfinansowali bracia Koch. To był powolny, ale nieodwracalny proces.

W końcu w 2015 r. wygłosiłem przemówienie podczas Aspen Action Forum.



MACKENZIE STROH

ANAND GIRIDHARADAS (ur. 1981) jest amerykańskim dziennikarzem i pisarzem. Studiował na University of Michigan, Oksfordzie i na Harvardzie. Autor książek „India Calling: An Intimate Portrait of a Nation's Remaking” (2011), „The True American: Murder and Mercy in Texas” (2014). Publikował w „International Herald Tribune” i „The New York Times”. Ostatnio wydał w Penguin Random House książkę „Winners Take All” (2018). Mieszka w Nowym Jorku.

Zapytałem obecnych na sali miliarderów i dyrektorów największych firm na świecie, czy przyszło im do głowy, że sprawcami problemów, które starają się rozwiązać, są oni sami? Że zamiast myśleć o tym, jak zrobić coś dobrego, powinni przede wszystkim wyrządzać mniej zła. Że hojność stała się synonimem sprawiedliwości, choć to przecież dwie różne rzeczy...

Jakie były reakcje?

Mieszane. Ostatecznie moje stypendium się skończyło i nikt mi już nie proponował, bym wrócił do Aspen. Zamiast tego wpadłem na pomysł napisania książki.

Doświadczenia, o których powiedziałem przed chwilą, doprowadziły mnie do wniosku, że walka z biedą i nierównościami prowadzona za pieniądze Goldman Sachs, sponsorowane przez Facebooka programy edukacyjne i wielomilionowe fundacje byłych prezydentów, wszystko to pełni rolę mechanizmu samousprawiedliwienia.

Usprawiedliwienia czego?

Utrzymywania przy życiu polityk gwarantujących, że owoce rozwoju trafiają w ręce jednego procenta najbogatszych. Zaraz wyjaśnię, co mam na myśli.

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że w ciągu kilku minionych dekad inno-

wacje zmieniły nasze życie. Pojawiły się komputery, smartfony, internet. Ale innowacyjność nie jest tożsama z postępem. Postęp oznacza bowiem podniesienie poziomu życia społeczeństwa, a tego ostatnimi czasy nie zazналиśmy, przynajmniej w Ameryce. Branża spożywcza wypuszcza na rynek tysiące innowacyjnych produktów, ale miliony Amerykanów wciąż nie jedzą pełnowartościowego posiłku. Google skanuje miliony książek, co w żaden sposób nie wpłynęło na poziom czytelnictwa, itd.

Co więc stało się z postępem?

Czynnikiem, który stanął na drodze rozdzielenia jego owoców wśród szerokich grup społeczeństwa, jest neoliberalna polityka nakierowana na deregulację rynku pracy, faworyzujący najbogatszych system podatkowy, a w dziedzinie edukacji system umacniający prywatne i płatne szkolnictwo. Prowadzona w tym duchu polityka zmienia zasady gry, przekierowując bogactwo w ręce nielicznych.

Piewcy internetowej rewolucji z Doliny Krzemowej przekonują, że powszechny dostęp do sieci wyciągnie z biedy miliony ludzi. Ale jeśli wspomniana rewolucja trafi na kraj ze słabym prawem pracy, to możemy być pewni, że tamtejszy rynek czeka prekaryzacja, a ludzie będą zarabiali jako kierowcy Ubera czy dostawcy jedzenia.

Jak to wpływa na sferę polityki społecznej i proces demokratyczny?

W USA ten wpływ zawsze był silny, a w ciągu ostatnich kilku lat stał się jeszcze bardziej widoczny. W dużej mierze jest to efekt kultury pieniądza i triumfu języka ekonomii nad wszystkimi innymi językami. W XXI w. ekonomia niepodzielnie rządzi w sferach życia dawniej uznawanych za nieekonomiczne, jak wykształcenie. Przyjęło się przecież mówić, że „opłaca się studiować zarządzanie albo prawo”.

W Ameryce już dawno wykształcenie biznesowe zastąpiło sztuki wyzwolone. Ten sam język służy nam do opisu wartości czy relacji międzyludzkich. Ofiarą tego dyskursu padła również polityka. W efekcie problemy społeczne postrzegamy jako problemy rynkowe. Stąd pomysł, że sama dobroczynność to za mało, że powinna być „praktyczna”, a najlepszym wyjściem jest sytuacja, w której obie strony – zarówno darczyńca, jak i beneficjent – odnoszą korzyści. Dlatego zamiast publicznego szkolnictwa na wysokim poziomie, mamy

inicjatywy w rodzaju platform edukacyjnych sponsorowanych przez Zuckerberga i jego fundację. Zamiast płatnych urlopów macierzyńskich czy ulg podatkowych dla rodzin z dziećmi, które kosztowałyby wielki biznes dużo pieniędzy, mamy promowaną przez Sheryl Sandberg, dyrektor operacyjną Facebooka, ideologię „Lean In” („Włącz się do gry”). Mówienie kobietom „włącz się do gry”, „bądź odważna”, „walcz o swoje” jest proste i przede wszystkim darmowe. To zaś oznacza, że strategiczni partnerzy platformy „Lean In”: Chevron i Walmart mogą spać spokojnie, bo *status quo* pozostanie nienaruszone.

Wszystkie te hasła, kampanie zastępują prawdziwą politykę społeczną. Osłabiają również wiarę obywateli w państwo, które jawi się jako bezsilne, ociężałe i koniec końców bezużyteczne.

Może w XXI wieku nie ma już miejsca na silne państwo, które interweniuje i wprowadza wielkie reformy? Może technologia jest bardziej efektywna?

Ten sposób myślenia jest charakterystyczny dla ludzi z Doliny Krzemowej. Inżynierowie i menadżerowie cyfrowych gigantów lubią wskazywać na technologiczne rozwiązania, jak algorytmy lub aplikacje, które są oczywiście szybsze i bardziej „efektywne”. Tyle że nie istnieje technologiczny sposób na biedę czy niedożywienie. Coraz częściej o tym zapominamy, myśląc o rządzeniu jak o zarządzaniu firmą. Kiedy mówię o stopniowym wchłanianiu państwa przez sektor prywatny, to zawsze myślę o Billu Clintonie.

Chciałem, aby moja książka była czymś więcej niż oskarżycielskim pamfletem. Musiałem podjąć próbę zrozumienia sposobu rozumowania „drugiej strony”. Spotykałem się więc z dyrektorami i menadżerami w Fundacji Forda albo Clinton Global Initiative.

Miałem też okazję rozmawiać z Billem Clintonem w cztery oczy. Poruszyłem temat otyłości wśród młodzieży szkolnej w USA, spowodowanej w dużej mierze przez dostępność wysokosłodzonych napojów gazowanych. Firmy, jak Pepsi, wyłożyły w ostatnich latach setki milionów dolarów na lobbing, by uciąć jakiegokolwiek próby wprowadzenia regulacji w tej dziedzinie. Zapytałem prezydenta, czy nie wydaje mu się, że rząd powinien coś z tym zrobić, ponieważ nikt go w tym nie wyręczy – dzieci nie mogą przecież głosować, nie mogą też nikogo pozwać. W odpowie-

W Ameryce już dawno
wyszktałenie biznesowe
zastąpiło sztuki wyzwolone.

W efekcie **problemy
społeczne postrzegamy
jako problemy rynkowe.**

dzi usłyszałem, że jeśli chcemy zminimalizować złe skutki tego zjawiska, potrzebujemy innowacji, ponieważ korporacje muszą zarabiać w ten czy inny sposób. Zamurowało mnie. Clinton z 2018 r. bardziej wierzy w rynek niż demokrację i zapominał, że 50 lat temu oblicze Ameryki zmienił aktywizm, rzeczywiste zaangażowanie obywateli na rzecz reformy społecznej oraz przegłosowywane w Kongresie ustawy, a nie „rynkowe rozwiązania” czy inwestycje „zaangażowane społecznie”.

Jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

Najskuteczniejszym, a zarazem najtrudniejszym jest bezpośrednio zaangażowanie w proces demokratyczny. Głosowanie, kandydowanie, organizowanie się, formułowanie programów. Wychodzenie na ulicę i protestowanie, jeśli z czymś się nie zgadzamy. Niezbędne jest obudzenie w sobie przekonania, że tylko rozwiązania polityczne, wynikające z woli społeczeństwa, pozwolą nam walczyć z problemami.

W książce pisze Pan, że biznesowi giganci zaprzeczają, jakoby mieli władzę. Dlaczego?

Doświadczenie historyczne uczy, że najwyższą formą wyrazu władzy jest wyparcie się jej. Ktoś, kto ma mało władzy, musi ją wyolbrzymiać – tylko najpotężniejsi próbują jej zaprzeczać. Faktyczna władza średniowiecznych królów często bywała słaba. Dlatego organizowali spektakularne pokazy siły: koronacje, egzekucje, kampanie wojenne. W XXI wieku prawdziwym wyzwaniem dla moźnych tego świata jest ukrywanie swoich wpływów. Odgrywanie roli „jednego z wielu” sprawia, że mogą myśleć o sobie jako o rebeliantach, biblijnych Dawidach, którzy powalili Goliata. Szeף Apple’a, Steve Jobs wierzył, że stanął do walki z IBM i wygrał. CEO Ubera, Travis Kalanick, uważa się za bojownika o wolność walczącego z kartelami taksówkowymi i związkami zawodowymi. Wszyscy marzyli o wdarcu się do „pałacu prezydenckiego”, ale kiedy to się udało, większość z nich uznała, że będą rządzić, pływając nadal pod piracką banderą. Swoją drogą Jobs naprawdę kazał kiedyś wywiesić piracką flagę przed siedzibą Apple’a. To romantyczne wyobrażenie na swój temat pozwala im nie brać odpowiedzialności za skutki działalności ich firm.

Dzięki swojej potędze Facebook mógł wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich, ale jeśli wierzyć Zuckerbergowi, Facebook to tylko „społeczność”, której celem jest „łączyć ludzi”. Pamiętajmy więc, że filantropia zawsze była formą manifestacji władzy. Dlatego bardziej niż naszej wdzięczności wymaga ona demokratycznego nadzoru.

© Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

Zawiadamy, że 15 stycznia 2019 r. zmarła

ś.†P.

Bernadette Ringenbach-Trybus

nasza Mama, Siostra, Babcia

Żyła pasją do słów, rysunków i wnuka.

Przez wiele lat uczyła języka francuskiego w Instytucie Francuskim w Krakowie.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się we wtorek 29 stycznia 2019 r. o godz. 10.00
w bazylice św. Floriana w Krakowie.

Odprawiliśmy ją do grobu na cmentarzu parafialnym w Tenczyńsku o godz. 14.00.

TADEUSZ, NATALIA, CHARLES/KAROL, RODZINA I PRZYJACIELE

BEZ JEDNEJ NOGI

Nakazywanie mi, bym przyjął wolę większości,
to jak nakazywanie kiedyś białemu w RPA,
aby zaakceptował apartheid, bo chcą tego inni biali
– mówi izraelski adwokat Palestyńczyków.

DARIUSZ ROSIAK Z TEL AWIWU

MICHAEL SFARD TO CZŁOWIEK PEWNY siebie.

– Chce pan zmienić świat? – pytam na początku spotkania.

– Nie tylko chcę. Ja go zmieniam.

– Na sali sądowej?

– Jestem przekonany, że tak się da. Dzięki walce podjętej w izraelskich sądach udało się wpłynąć na życie wielu ludzi.

Zajmuje się prawami człowieka. To weteran walki toczzonej najpierw przez garstkę, potem przez nieco liczniejszą grupę izraelskich prawników w obronie Palestyńczyków mieszkających na terenach, które po wojnie sześciodniowej (1967) znalazły się pod okupacją Izraela. W sądowym dramacie uczestniczy już ponad 20 lat.

Niektórzy Izraelczycy uważają go za zdrajcę. Kilka lat temu w mediach społecznościowych opublikowano wezwanie do zabójstwa Sfarda (sprawca trafił przed sąd), a pewna prawicowa organizacja wynajęła detektywa, który śledził go przez trzy lata, wyciągając śmieci z koszy w jego biurze. Ale dla liberalnej części społeczeństwa on i założona m.in. przez niego organizacja Yesh Din to sumienie narodu, bastion oporu przeciw agresywnym działaniom władz, armii i osadników żydowskich na terytoriach okupowanych.

Pytania zza kierownicy

Sfard jest synem polskich emigrantów. Jego ojciec Leon siedział w więzieniu po Marcu '68. Matkę Annę wyrzuciono

z Polski razem z rodzicami. Ojcem Anny – i dziadkiem Michaela – był socjolog Zygmunt Bauman.

Przyjmuje mnie w gabinecie w centrum Tel Awiwu, na czwartym piętrze szklanego biurowca, który lata świetności ma raczej za sobą – jeśli w ogóle kiedykolwiek je przeżył. Sfard tłumaczy, że prowadzi jedną z niewielu kancelarii prawniczych w Izraelu, która nie ma własnych miejsc parkingowych. Za to samochód przydał mu się do przemyslenia tematów książki, o której mamy rozmawiać.

„Ta książka została wymyślona na autostradzie między Tel Awiwem a Jerozolimą” – pisze we wstępie do „The Wall and the Gate” („Mur i furtka”), kroniki bojów prawnych, których jest jednym z głównych uczestników. To właśnie za kierownicą Sfard pytał samego siebie: „Czy (...) moja praca cokolwiek zmienia? Czy może w niektórych przypadkach powoduje więcej szkody niż pożytku? Czy w tym konkretnym kontekście możliwe jest osiągnięcie rzeczywistych i znaczących zmian dzięki działaniom prawniczym? Czy może system prawny ze swojej natury nie może być traktowany jako motor zmian w niektórych sytuacjach? A może do zmian prowadzą działania poza salą sądową? I co gorsza, czy przypadkiem nie stałem się pionkiem w największym szwindlu izraelskiej okupacji wspierając iluzję, według której ten reżim zawiera wbudowane w siebie mechanizmy



ISSAM RIMAWI / AFP / EAST NEWS



Protest przeciwko decyzji sądu izraelskiego, nakazującego wyburzenie wiosek Beduinów w pobliżu Jerozolimy, 14 września 2018 r.

→ i przepisy, które uniemożliwiają arbitralne działania, ograniczają przemoc i przeciwdziałają niesprawiedliwości?”.

W połowie drogi, w okolicach lotniska im. Bena Guriona, zwykle poddawał się, porzucając walkę z myślami. Ale pytania wracały. Ponad 500-stronicowa książka Sfarda, wydana równocześnie po hebrajsku i angielsku, jest próbą zmierzenia się z nimi. Prawnik opisuje historię konfrontacji toczonych przeciwko działaniom władz Izraela na terytoriach okupowanych.

Praktyki te są stosowane przez Izrael z różnym nasileniem w ostatnim półwieczu, a skutki działań prawników reprezentujących Palestyńczyków są w wielu wypadkach niejednoznaczne. Nawet jeśli wyrokiem sądu udaje się usunąć osadników z nielegalnych placówek, z pomocą państwa przenoszą się na nowe miejsca; nawet jeśli udaje się zmienić przebieg muru separacyjnego o kilkaset metrów na korzyść mieszkańców palestyńskiej wioski, to jeszcze większy kawałek zostaje po stronie przejętej przez Izraelczyków. Nawet jeśli uda się zmusić władze, by wybudowały furtkę w murze, tak, by palestyński rolnik mógł zebrać oliwki ze swojego pola, to jednak mur ciągle stoi.

Czy prawo służy wszystkim

Przypominam Michaelowi Sfardowi wywiad, w którym wspominał, jak podczas przejażdżki wzdłuż muru mówił do kolegi: „Jestem jednym z architektów tego muru”.

– To prawda. Kiedy kończyłem szkołę prawniczą, myślałem, że oto zaczynam wspaniałą karierę – przyznaje Sfar. – Może nie będę specjalnie bogaty, może przegram parę spraw w sądzie, ale przynajmniej mam jedną przewagę nad kolegami, którzy wybrali inne zawody: zawsze będę wiedział, co zrobić. Trzeba mianowicie walczyć ze złymi i pomagać dobrym, droga jest płaska i szeroka. Wszedłem na nią i odkryłem, że nie jest ani płaska, ani szeroka i co chwila czekają na mnie dylematy. Czasem szukając rozwiązania dla klienta, ofiary nadużyć władz, wzmacniasz system, który uważasz za niesprawiedliwy. Zadajesz sobie pytanie, jaki jest twój cel: czy chodzi o pomoc dla klientów, czy o zmianę polityki, walkę ze złą władzą?

Sfar dodaje: – Próba realizacji kilku celów naraz okazuje się niemożliwa, one są niekiedy wewnętrznie sprzeczne. Roz-



MICHAEL SFARD:

Jeśli ma decydować większość, to niech to będzie większość wszystkich mieszkańców kraju, nie tylko tych, którzy mają władzę.

wiązałem ten dylemat na swoje potrzeby. Moje zadanie polega na znalezieniu najlepszego rozwiązania dla klienta. Poświęcanie jednostki w celu ochrony większego dobra jest niedopuszczalne. Po pierwsze, byłaby to ofiara spekulatywna. Nie wiesz, czym okaże się to rzekome większe dobro. A po drugie, poświęcanie człowieka dla sprawy byłoby sprzeczne z fundamentalną zasadą humanizmu, która umieszcza w centrum właśnie człowieka, a nie ideę, społeczeństwo czy cokolwiek innego. Taki jest mój drogowy.

Prawnik sięga daleko wstecz, by wyjaśnić zawiłości, które służą osadnikom za uzasadnienie zaboru ziemi palestyńskiej, a władzom daje podstawy ich obrony – np. fakt, że dwie trzecie Palestyńczyków nie ma dokumentów własności ziemi, bo rejestrację wstrzymano jeszcze w czasach, gdy Zachodni Brzeg należał do Jordanii. Podaje argumenty władz, według których Sąd Najwyższy Izraela uważa, że zasiedlając Zachodni Brzeg nie łamie konwencji genewskiej, bo osiedla służą bezpieczeństwu, a status własności ziemi jest niejasny. Jednocześnie z jego książki przebiega przekonanie, że izraelski Sąd Najwyższy nie jest bezstronnym arbitrem.

– Sądy są największym kolaborantem władz okupacyjnych – mówi Michael Sfar. – Okupacja to stół oparty na trzech

nogach: karabinie, osiedlach i sądach. Usunąć jedną z tych nóg i stół się wali. Chce być dobrze zrozumiany: sąd nie jest kolaborantem w tym sensie, że stawia sobie za misję utrzymywanie okupacji. Jednak jego działania pomogły w ustabilizowaniu okupacji i utrzymaniu jej przez tak wiele lat.

Okupanci, okupowani

Pytam Sfarda dlaczego – skoro chce zmieniać świat – nie zostanie politykiem. Nie musiałby się zmagać z tak dramatycznymi dylematami.

– Nawiazuje pan do argumentów przeciwko mnie, których sens jest mniej więcej taki: przegrywacie w opinii publicznej, nie umiecie przekonać ludzi do waszych poglądów, więc idziecie do sądu. Ponoć żyjemy w demokracji i jako członek demokratycznej społeczności mam obowiązki poddać się woli większości. Moim zdaniem to argument fałszywy, przykład manipulacji. Między Jordanem a Morzem Śródziemnym żyje 11 mln ludzi. Tylko niektórzy uczestniczą w izraelskim procesie politycznym – to okupanci. Okupowani nie uczestniczą w demokracji. A zatem nakazywanie mi, bym się zamknął i przyjął wolę większości, to jak nakazywanie białemu w RPA w czasach apartheidu, by zaakceptował system – bo większość białych tak chce.

Sfar mówi: – Jeśli ma decydować większość, to niech to będzie większość wszystkich mieszkańców kraju, nie tylko tych, którzy mają władzę. Inaczej mamy do czynienia z demokracją fasadową, putinowską, w której co jakiś czas odbywają się wybory, a potem ich zwycięzca robi, co chce, do czasu następnych. Demokracja to nie tylko wybory, ale także konstytucyjne ograniczenia stawiane władzy większości. A główną instytucją, która ma ograniczać zapędy większości, tak by nie ustanowiła rządów autorytarnych czy dyktatorskich – jest właśnie sąd.

Pytam prawnika, czy uważa, że Sąd Najwyższy w Izraelu jest zagrożony przez polityków. Przytaczam argument polskich władz o suwerenność, którego nie może ograniczać „kasta” skorumpowanych, wspierających się nawzajem profesjonalistów, sabotujących demokratycznie wybrany parlament.

– To populistyczny argument, który odbija się w świecie coraz głośniejszym echem – brzmi odpowiedź. – Polska jest skrajnym przykładem. W Izraelu poli-

tacy są znacznie bardziej wstrzemięźliwi. Na pewno chcieliby wyrzucić dziesiątki sędziów i wstawić w ich miejsce swoich ludzi, ale u nas to jest niemożliwe. Mamy inną historię, u nas nie było komunizmu. Sąd Najwyższy nie jest zagrożony, choć znalazł się pod olbrzymią presją polityków, by oddzielić prawo od wartości, by orzeczenia były wyłącznie odniesieniem do litery prawa i zostały odłączone od moralności.

Izrael dla wszystkich

Pytam o Zygmunta Baumana: jaki wpływ miał na jego myślenie. Sfard, który był dla niego ukochanym wnukiem, odpowiada, że przejął od niego gotowość bycia dysydem, płynięcia pod prąd, podejście do kwestii odpowiedzialności. Przypomina sobie spotkania z dziadkiem, gdy mierzy się ze współczesnymi pytaniami. Np.: jak właściwie postępować, jeśli zależy ci na państwie Izrael? Czy właściwe jest podjęcie służby wojskowej na terenach okupowanych, czy odmowa tej służby? I pójście za to do więzienia, na co sam się zdecydował [w 1998 r. Sfard spędził 21 dni w więzieniu za odmowę służby wojskowej w Hebronie – DR]? Czy można krytykować władze, nawet jeśli grozi za to etykieta zdrajcy?

Bauman nie uważał się za syjonistę. Zaraz po wojnie krytykował swojego ojca za syjonizm – do tego stopnia, że dzielił się tą krytyką z władzami PRL. Co nie przeszkodziło władzom wyrzucić go z armii właśnie za rzekomy syjonizm.

Gdy mówię o tym, Sfard protestuje:

– Moim zdaniem dziadek był większym syjonistą niż ja. Zresztą określenie, czy jestem syjonistą, czy nie, zależy od tego, jak zdefiniujesz syjonizm.

– A jak pan go definiuje?

– Jeśli jest nim dążenie do stworzenia państwa Izrael jako ojczyzny dla narodu żydowskiego i nie jest to państwo wyłączające spod prawa inne narody, to jestem syjonistą. Moim zdaniem dziadek podpisałby się pod taką definicją, a może nawet dalej idącą.

– Czy on i pan podpisalibyście się pod ideą Izraela jako państwa żydowskiego?

– Nie. Nie wiem, co to miałoby znaczyć. Czy kawa, którą pijemy, jest żydowska? W jaki sposób nawracasz państwo na jedną wiarę? Pomysł powołania politycznej struktury mającej być żydowską w przeciwieństwie do nieżydowskiej wydaje mi się szaleństwem. Wierzę w to, że

biorąc pod uwagę historię, Żydzi – niektórzy, może większość ludzi uznających się za Żydów – chcą politycznego samostanowienia. I popieram pomysł, by to samostanowienie było realizowane przez państwo Izrael. Czy to ma oznaczać, że Izrael będzie ojczyzną wyłącznie Żydów? Nie. Izrael nie musi być państwem wyłączającym innych.

Gdy nie wszyscy to ofiary

Pytam, jak okupacja wpływa na Izraelczyków. Odpowiada, że są wychowywani w przeświadczeniu, że w każdej chwili grozi nam nowy Holokaust.

– Ponieważ takiego zagrożenia nie ma, władze go tworzą – mówi. – Wojsko wkracza na terytoria okupowane, osadnicy budują osiedla otoczone drutem kolczastym w obronie przed ludźmi, którzy żyją dookoła i którzy podobno chcą ich zabić. Każdy wróg staje się potencjalnym Hitlerem, zagrożenie egzystencjalne musi istnieć, a my musimy się przed nim bronić. To jest podstawa manipulacji stosowanej przez takich polityków jak Netanjahu.

Według niego już nie tylko okupacja, ale samo życie w zagrożeniu stało się doświadczeniem uznawanym przez wielu Izraelczyków za normalność. – Czują się bezpiecznie, kiedy znajdują się w sytuacji konfliktu, a perspektywa pokoju wywołuje w nich uczucie poirytowania, niepewności siebie, zagrożenia. Ta kolektywna patologia sprawia, że Izrael robi wszystko, by utrzymać kraj w stanie konfliktu – mówi Michael Sfard.

Zdaniem prawnika Holokaust to prawdopodobnie najbardziej wyeksploatowane i nadużywane narzędzie w izraelskiej polityce.

– Cały system edukacji w tym kraju jest podporządkowany idei Holokaustu jako narzędzia politycznego – mówi. – Właśnie dlatego wybrałem dla mojego 13-letniego syna szkołę, która nie organizuje wycieczek do Polski. Moim zdaniem te wycieczki to element prania mózgu w celu uczynienia z nas nacjonalistów, niemalże rasistów, i przekonania Izraelczyków, że istnieją tylko dwa sposoby funkcjonowania w tym świecie: albo jesteś ofiarą, albo z innych czynisz ofiary.

Nie wszyscy Palestyńczycy to ofiary. Pytam więc Sfard, czy są osoby, których obrony by się nie podjął – właśnie ze względów moralnych. Mówi, że takie osoby nie ma.

– I zgodzi się pan reprezentować aktywność Hamasu?

– Reprezentowałem więźniów Hamasu, to część mojej pracy jako prawnika, nie uważam tego za problem. Są natomiast ideologie, których nie będę reprezentował ani im służył.

– Co za różnica? Rozumiem, że nie akceptuje pan wysadzania ludzi przez Hamas ani ostrzeliwania szkół rakietami.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem obrońcą w sprawach kryminalnych. Podjąłbym się jednak reprezentowania bojownika Hamasu, jeśli linia jego obrony polegałaby na udowodnieniu, że zamachu nie dokonał. Nie broniłbym go, gdyby chciał przekonać sąd, że uzasadnione jest strzelanie do cywili. Nigdy.

Zły czas się skończy

Na koniec chcę się dowiedzieć od Michała Sfarda, czy okupacja się skończy.

– Wierzę, że tak. Sytuacja, w której gwałci się prawa milionów ludzi, jest z definicji niestabilna. Kiedy stanie się fizycznie nieznośna, okupacja się skończy.

Być może teoretycznie tak to właśnie wygląda. Jednak w rzeczywistości nic nie wskazuje na to, by oparty na trzech nogach stół miał się zachwiać. Benjamin Netanjahu wydaje się murowanym faworytem nadchodzących wyborów, amerykański plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu oznacza w praktyce zalegalizowanie osiedli i kolejne naruszenia praw Palestyńczyków. Mimo to Sfard nie traci nadziei. Kończy swoją książkę – i nasze spotkanie – wyznaniem wiary w koniec okupacji.

– Ilu ludzi na miesiąc przed upadkiem muru berlińskiego wierzyło, że taki rozwój wypadków jest możliwy? – pyta.

– Ilu wierzyło w koniec apartheidu na dwa miesiące przed wypuszczeniem Mandeli? Ilu przewidywało wiosny arabskie? Każdy Izraelczyk jest ekspertem od spraw arabskich, a nikt nie przewidywał wybuchu pierwszej i drugiej intifady. Niektóre rzeczy dzieją się poza naszym widokiem, podlegają niewidocznym prądom, których istnienie możemy ocenić dopiero po wybuchu. Dziś to siły wspierające okupację są górą – z Trumpem w Białym Domu, Europą zajęta brexitem i uchodźcami. Siły, które prą ku zakończeniu okupacji, wydają się słabe. Ale to się może zmienić i wierzę, że się zmieni.

© DARIUSZ ROSIAK



Zwolennicy Féliksa Tshisekediego pod kwaterą główną opozycji w Kinszasie po ogłoszeniu wyniku wyborów, 10 stycznia 2019 r.

Gorzkie święto

WOJCIECH JAGIELSKI

Kongijczycy czekali na ten dzień długo – jeszcze żaden z ich przywódców nie złożył władzy po dobroci. Ale kiedy w końcu to się stało, zamiast uniesienia odczuli co najwyżej ulgę.

W STYCZNIU, PO RAZ PIERWSZY W HISTORII, władza w Demokratycznej Republice Kongo (w latach 1971-97 zwanej Zairem) przeszła z rąk do rąk w sposób pokojowy i, z grubsza rzecz biorąc, demokratyczny. Przejął ją polityk z opozycji, a to w Afryce wciąż nie zdarza się często.

Co więcej, Félix Tshisekedi, ogłoszony zwycięzcą wyborów, jest synem Étienne'a, weterana i patriarchy kongijskiej polityki, charyzmatycznego trybuna, uwielbia-

nego przez Kongijczyków za niezłomną walkę z kolejnymi tyranami. Cieszył się on wśród rodaków wielkim posłuchem. Gdy dwa lata temu zmarł w Brukseli, prezydent Joseph Kabila nie zgodził się na jego pogrzeb w Kinszasie, stolicy kraju, w obawie, że przerodzi się w rewolucję. Félix zwiędził dzieło ojca – zdobył to, o co Étienne Tshisekedi tak długo walczył.

Zdawałoby się, że szczęśliwie, niemal wzruszające zakończenie tej rodzinnej

sagi powinno wywołać euforię, rozpocząć polityczny karnawał z triumfalnymi wieciami i korowodami. I że Tshisekedi junior zostanie uznany za bohatera, zbawcę i przewodnika, który poprowadzi Kongijczyków w świetlaną przyszłość. A jednak na wieść o jego wygranej w Kinszasie i całym kraju zapadła cisza. Ludzie winiszowali sobie z ulgą, że tym razem walka o władzę nie zakończyła się przelewem krwi, ale radość zepsuły im pogłoski, że Tshisekedi wygrał nieuczciwie. A nawet że otrzymał władzę w prezencie od ustępującego tyrana.

Przegrany leci do Hagi

Panujący od 18 lat Joseph Kabila ani myślał oddawać władzę, którą przejął po śmierci ojca, również prezydenta, zamordowanego w 2001 r. przez żołnierza ze straży przybocznej. Choć druga i ostatnia dozwolona prawem prezydencka kadencja skończyła się w grudniu 2016 r., Kabila zwlekał z nowymi wyborami. A to tłum-

czył, że brakuje na nie pieniędzy, a to, że nie ma warunków, bo w kraju toczy się wojna i trwa groźna epidemia eboli. Kluczył tak, wykręcał się – i rządził dalej, ponieważ konstytucja stwierdza, że dopóki nie uda się wybrać nowego przywódcy, władzę sprawuje stary. Do wyborów i ustąpienia zmusili go w końcu sąsiedzi, obawiający się, że jeśli w Demokratycznej Republice Kongo, kontynentalnym kolosie, wybuchnie nowa wojna, ucierpi na tym połowa Afryki.

Postawiony pod ścianą Kabila namaszczył na następcę swojego wiernego ministra policji, pozbawionego wpływów i własnych ambicji. Miał wygrać wybory, a potem dbać o bezpieczeństwo i interesy szefa. A po pięciu latach, kiedy Kabila (ma dopiero 47 lat) znów będzie mógł ubiegać się o prezydenturę, posłusznie ustąpić mu miejsca. W grudniowych wyborach faworyt prezydenta wypadł jednak fatalnie. Przegrał z obydwojema kandydatami opozycji, Tshisekedi i Martinem Fayulu i zdobył tak niewiele głosów, że nawet sfałszowanie wyników głosowania stało się niemożliwe.

Z tych dwóch rywali Kabila bardziej obawiał się Fayulu, który w wyborach zastępował jego dwóch najgroźniejszych i najbardziej nienawistnych wrogów – byłego wiceprezydenta Jean-Pierre’a Bembe i Moïse Katumbiego. Katumbi, milioner z prowincji Katanga, jednego z najbogatszych zagłębi surowcowych na świecie, został wykluczony z wyborów z powodu zarzutów o finansowe malwersacje (Katumbi twierdzi, że oskarżenia są nieprawdziwe, ale na wszelki wypadek wyjechał do RPA). Bemba, który w 2006 r. przegrał z Kabilą w wyborach prezydenckich, został zdyskwalifikowany jako zbrodniarz wojenny, sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Karny (gdyby wtedy wygrał z Kabilą wybory, w haskim areszcie jako wojenny zbrodniarz wylądowałby zapewne Kabila). Bemba i Katumbi poparli Fayulu jako wspólnego kandydata opozycji w grudniowych wyborach.

Teraz albo nigdy

Początkowo poparł go także Tshisekedi, ale szybko zmienił zdanie. Uznał, że nieobecność Katumbiego, Bemby i Kabili na listach wyborczych stwarza szansę na łatwą wygraną; że jeśli ma zostać prezydentem Konga, to właśnie teraz.

Już w dniu wyborów, 30 grudnia, pogłoski i przecieki z komisji wyborczych wska-

zywały, że wygra zdecydowanie Fayulu, na którego miało zagłosować prawie dwie trzecie Kongijczyków. Aby do tego nie dopuścić, Kabila rozkazał swoim urzędnikom, by tak sfałszowali wyniki, aby ich zwycięzcą można było ogłosić Tshisekedi. Uznał go za rywala słabszego, o sławnym co prawda nazwisku, ale pozbawionego doświadczenia (nie sprawował nigdy żadnego stanowiska, a połowę życia spędził w Belgii, dawnej metropolii kolonialnej) – kogoś, kogo z łatwością ogra w politycznych intrygach i ubezwłasnowolni jako prezydenta.

W zamian za prezydenturę Kabila miał zażądać od Tshisekedi gwarancji bezpieczeństwa i części władzy dla siebie i swoich współpracowników, a także zachowania ich na stanowiskach w administracji, policji i wojsku. Tshisekedi ponoć się zgodził pójść na ten układ. Oficjalnie obaj zaprzeczają jakimkolwiek targom o władzę.

Tak czy siak, oficjalnym zwycięzcą wyborów został ogłoszony Tshisekedi, a urzędnicy podliczający głosy podali, że zdobył ich o pół miliona więcej niż Fayulu. Fayulu oznajmił, że został oszukany i okradziony z wygranej, zaskarżył wyborczy wynik do sądu, ale Trybunał Konstytucyjny odrzucił jego wniosek twierdząc, że nie przedstawił żadnych przekonujących dowodów oszustwa, a jedynie plotki.

Mogło być gorzej, dużo gorzej

Tshisekedi zaprzysiężono, a Kabila w ostatnim (na razie, bo w 2023 r. ponownie zamierza się ubiegać o przywództwo państwa) prezydenckim przemówieniu oświadczył, że oddaje władzę bez żalu. Nie dziwota. Tak naprawdę zachował ją prawie nienaruszoną. Jeszcze przed wyborami posłuszni mu posłowie zapisali w konstytucji, że jako były prezydent będzie mógł dożywotnio być senatorem, a jeśli zostanie wybrany na przewodniczącego Senatu, będzie też zastępował prezydenta podczas jego nieobecności lub w razie jego niedyspozycji.

Kabila zostanie przewodniczącym Senatu, jeśli tylko tego zechce. Według oficjalnych wyników głosowania jego koalicja prezydencka zdobyła prawie trzy czwarte głosów w wyborach parlamentarnych i prowincjonalnych, i przejmie w nich niemal absolutną władzę (Fayulu załamuje ręce i pyta, jak to możliwe, że kandydat partii rządzącej w wyborach pre-

zydenckich nie zdobył nawet ćwierci głosów, a w parlamentarnych osiągnęła ona wynik trzykrotnie lepszy).

Jako szef partii mającej władzę w parlamencie Kabila będzie miał prawo wskazać premiera i ministrów, posłowie i gubernatorzy zadbają, by nie zostały unieważnione korzystne dla niego i jego dworzan kontrakty, jakie pozawierał z zagranicznymi koncernami górnictwymi, żeby zachowali posady mianowani przez niego urzędnicy i generałowie. Gazeta „Jeune Afrique” twierdzi wręcz, że Kabila nie wprowadzi się nawet z pałacu prezydenckiego w Kinszasie, a Tshisekedi zamieszka w rezydencji premierów.

Oszukany Fayulu przekonuje, że tylko on ma prawo uważać się za prawowitego prezydenta Konga. Wzywa rodaków do kampanii obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec Tshisekedi. Kongijczycy wolą jednak udawać, że nie słyszą jego wezwań, a woleliby, żeby w ogóle zamilkł, pogodził się z porażką i z tym, że został oszukany. W imię pokoju i świętego spokoju.

„Mogło być gorzej, dużo gorzej” – mówią mieszkańcy Kinszasy zagranicznym dziennikarzom, którzy zjechali na wybory. „Nikt nie strzelał, a to najważniejsze. Głosowałem na Fayulu, ale cóż, przegrał, wielka szkoda. (...) Tshisekedi jest bardziej ugodowy, może to lepiej. Jego ojciec był człowiekiem niezwykle pewnym siebie i upartym, Félix wygląda na takiego, który bardziej przysłuchuje się, co inni mają do powiedzenia. (...) Kabili też należy się dobre słowo. Nigdy bym nie pomyślał, że dożyję chwili, gdy w moim kraju przywódca, który władzę zdobył przemocą, odda ją po dobroci cywilowi”.

Era dyktatora

Przed grudniowym głosowaniem Kongijczycy tak naprawdę wybierali sobie przywódców tylko raz, tuż przed ogłoszeniem niepodległości w 1960 r. Prezydentem został wtedy zachowawczy tradycjonalista Joseph Kasavubu, a premierem lewicowy rewolucjonista Patrice Lumumba. Wkrótce doszło między nimi do sporów, a w kraju wybuchła wojna domowa. Dochodziło do etnicznych waśni i pogromów pozostałych w Kongu białych. Kolejne prowincje, podburzane przez zachodnie koncerny górnicze, wzorem Katangi ogłaszały secesję, a ich przywódcy liczyli, że sami, bez dzielenia się zyskami z Kinszasą (wówczas noszącą nazwę →

↳ Leopoldville) wzbogacą się na handlu surowcami. Buntownicy ściągali białych najemników. Do separatystów z rodzinnej, bogatej w diamenty krainy Kasai przystał między innymi Étienne Tshisekedi, wcześniej związany z Lumumbą, odsuniętym w końcu od władzy (przy udziale CIA) i zamordowanym (17 stycznia obchodzono w Kongu 41. rocznicę jego śmierci).

Sporom i wojnie domowej położył kres wojskowy przewrót dowódcy kongijskiego wojska Josepha-Désiré Mobutu. Najpierw, w 1960 r., obalił Lumumbę, a pięć lat później także prezydenta Kasavubu i sam ogłosił się przywódcą państwa. Przechwycił Zairem i nakazał zmianę wszystkich imion i nazw na afrykańskie. Aby dać dobry przykład, zmienił nazwisko na Mobutu Sese Seko.

Rządził Kongiem, jakby stanowiło jego prywatną własność. Tak jak przed laty rządził nim król Belgów Leopold, opętany obsesją wielkości i kolonialnych podbojów, któremu pod koniec XIX w. zachodnie mocarstwa zgodziły się oddać we władanie ogromny obszar ziemi w dorzeczu rzeki Kongo. Mobutu był władcą równie chciwym, ale nie krwawym jak Belg. Nie tolerował rywali, ale uznał, że lepiej ich kupować, niż prześladować. Szybko odkrył, że nic tak nie wystawia na próbę opozycyjnej pryncypialności jak dostęp do władzy, godności, stosowne uposażenia, gabinety, limuzyny z szoferami i własna służba. Wtrącał więc do więzień swoich politycznych przeciwników, by uwalniać ich i prosto z więziennych cel awansować na premierów i ministrów. A po jakimś czasie zwalniał ich, oskarżał o nadużycia i korupcję i znów zamykał w więzieniu.

Étienne Tshisekedi na przemian to zwalczał Mobutu, to służył mu jako premier i minister. Podobnie wyglądały losy innych ważnych premierów i dysydentów: Jeana Nguzy Karl-i-Bonda czy Kenga Wa Donda, syna polskiego Żyda, który przed zarządzoną przez Mobutu afrykanizacją nosił nazwisko Leon Lubicz.

Wielka wojna afrykańska

Mobutu, należący w czasach zimnej wojny do najwierniejszych sojuszników Zachodu, uważał wolne wybory za niepotrzebną fanaberię zachodnich liberałów. Dla świętego spokoju urządzał je jednak od czasu do czasu, choć malkontenci z Brukseli, Paryża i Waszyngtonu zawsze narzekali, że kongijskie wybory były ma-

Wybory w Kongu rozpoczęły w Afryce demokratyczny maraton. Są dobrym prognostykiem tego, co czeka cały kontynent.

skaradą. Mobutu obiecywał wtedy zwykłe, że się poprawi, i że następna elekcja będzie już wzorowa.

Kleptokrata Mobutu doprowadził kraj do bankructwa i upadku, a kres jego rządowi położyło powstanie, które w połowie lat 90. na wschodzie kraju wywołał Laurent-Désiré Kabila, ojciec Josepha. W 1997 r. partyzanci Kabili zajęli Kinszasę, a on sam obwołał się nowym prezydentem. Obiecywał, że przeprowadzi wybory, ale zanim ogłosił ich termin, wykluczył z nich ponad ćwierć tysiąca czołowych polityków z czasów Mobutu, w tym Étienne'a Tshisekedi. W 2001 r. Kabila został zamordowany, a władzę i stanowiska prezydenta przejął po nim jego syn, Joseph, panujący miłościwie do zeszłego tygodnia.

Powstanie Kabilów, a także poprzedzające je ludobójcze pogromy w sąsiedniej Rwandzie wywołały w Afryce wojnę, w której wzięło udział tuzin okolicznych państw. Rebelię Kabilów poparli rządzący w Rwandzie Tutsi, którzy postanowili najechać na Kongo, by rozgromić ukrywających się tam za miedzą Hutu, winnych zbrodni ludobójstwa. Rwandę i kongijskich partyzantów poparły Uganda i Burundi. Usadowiwszy się na prezydenckim fotelu w Kinszasie, Kabila senior postanowił jednak uwolnić się od dobrodziejów, którym zawdzięczał władzę. W odwecie Rwanda, a także Uganda i Burundi jeszcze raz najechały na Kongo, a nad jeziorami Kivu i Tanganika wybuchła nowa rebelia przeciwko rządzącym w Kinszasie.

Zagrożony Kabila zwrócił się o pomoc do innych sąsiadów – odsiecz nadeszła z Angoli, Zimbabwe, Namibii, wkrótce w wojnę wmieszane zostały też Sudan, Republika Środkowoafrykańska, a nawet Czad. Szacuje się, że między 1996 a 2003 r., gdy wojna została w końcu przerwana, od kul, maczet, z chorób i głodu mogło zginąć w Kongu nawet pięć milionów ludzi,

a wyniszczony przez wojny prawie stu-milionowy kraj stał się klinicznym przykładem państwa upadłego i nowego jądra ciemności, w którym popełniane są najgorsze zbrodnie.

Młodszy z Kabilów proponował Tshisekediemu, by wszedł do jego rządu. Ten jednak odmówił, a w 2006 r. zbojkotował urządzone przez ONZ wybory prezydenckie, które miały stać się początkiem kongijskiego odrodzenia. Tshisekedi uważał, że aby wyborcza walka była równa i uczciwa, Kabila powinien najpierw ustąpić ze stanowiska prezydenta, jako że sprawowana władza zapewnia mu przewagę nad rywalami. W 2011 r., mimo ponawianych żądań i wątpliwości, stanął jednak do wyborów przeciwko Kabili i je przegrał. Nie uznał porażki – do końca życia twierdził, że obie elekcje Kabila wygrał dzięki oszustwom.

Młodzi mówią „dość”

Ostatnie wybory w Demokratycznej Republice Konga rozpoczynają w Afryce demokratyczny maraton. W lutym wybory (prezydenckie, parlamentarne i prowincjonalne) czekają Nigerię – afrykańskie mocarstwo, najludniejszy, ponad 200-milionowy kraj kontynentu. Przywódców wybierać też będą w tym roku w RPA, Botswanie, Namibii, Mozambiku, Malawi, Senegalu, Gwinei, Beninie, Czadzie, Mauretanii, Algierii i Tunezji.

Głosowanie w Kongu wydaje się być dobrym prognostykiem tego, co czeka Afrykę. Mimo początkowego oburzenia i publicznie zgłaszanych wątpliwości co do uczciwości kongijskiej elekcji, Afryka ostatecznie pogodziła się z wygraną Tshisekedi i uznała w nim prawowitego prezydenta.

Ludzie z elit władzy, politycy – i to nie tylko afrykańscy – rzadko kiedy wybiegają myślami wpród dalej niż cztery czy pięć lat, czyli tyle, ile trwają ich kadencje. Nad demokrację i reformy zdają się też przedkładać stabilizację. Niechęć do zmian sprawi jednak, że poczucie świętego spokoju może okazać się złudne. Zwłaszcza w Afryce, która z roku na rok staje się coraz ludniejsza (w 2050 r. ma tu mieszkać 2,5 mld ludzi) i coraz młodsza. Dwie trzecie ludności kontynentu stanowią ludzie młodzi, stojący dopiero na początku życiowej drogi – najmniej skłonni, by już dziś pogodzić się z tym, że może ona prowadzić donikąd.

© P. WOJCIECH JAGIELSKI



Davor Dragičević, ojciec Davida, podczas demonstracji zorganizowanej sto dni po zabójstwie syna, Banja Luka, 3 lipca 2018 r.

Bruce Willis z Banja Luki

DARIUSZ KAŁAN Z BOŚNI I HERCEGOWINY

Stojąc przed wyborem: robić swoje albo dostosować się, tylko niektórzy dziennikarze decydują się na niezależność – i płacą za to wysoką cenę. Oto kilku z nich.

VLADIMIR KOVAČEVIĆ ODSUWA TALERZYK z ciastem czekoladowym, rozgląda się i sprawdza, czy w kawiarni nikt nie patrzy, a potem wyjmuje z kieszeni gaz pieprzowy.

– Nie boję się, ale teraz to już nie to samo – mówi. Jest dziennikarzem śledczym z Banja Luki, pracuje w prywatnej telewizji BN TV i prowadzi popularny blog. To tam opisuje afery korupcyjne elit Republiki Serbskiej, autonomicznego regionu Serbów bośniackich i jednej z dwóch części składowych Bośni i Hercegowiny.

Chociaż od czasu, kiedy został pobity, minęło pięć miesięcy, pamięta każdy szczegół. Było ich dwóch, jak wspomina. Naskoczyli wieczorem przed domem. W rękach trzymali metalowe rurki. Uderzali po głowie, rękach i klatce piersiowej. Tylko nie może sobie przypomnieć ich oczu. Puste, ciemne – jak kominiarki, które mieli na głowach.

Zabójstwa, zniknięcia, pobicia

Atak na dziennikarza sprowokował kilkakrotnie osób do wyjścia na ulice Banja Luki.

Nałożył się na – trwające regularnie do dzisiaj – masowe protesty przeciwko rzekomemu udziałowi służb państwowych, przede wszystkim policji i prokuratury, w zabójstwie 21-letniego Davida Dragičevića. Jego tajemnicze zniknięcie i śmierć w marcu 2018 r. wstrząsnęły Republiką Serbską jak żadne wydarzenie w najnowszej historii.

Kovačević został zaatakowany w drodze powrotnej z demonstracji w sprawie Dragičevića. – To była próba uciszenia mnie. Żebym drażył tej sprawy i nie patrzył władzy na ręce. Chociaż pewnie nigdy się nie dowiemy, kto był zleceniodawcą. Wszystkie instytucje publiczne w Republice Serbskiej są obsadzone przez członków elity rządowej albo ich rodziny – opowiada.

Policja, która zakwalifikowała sprawę Kovačevića jako usiłowanie morderstwa, zatrzymała jednego napastnika. Drugi zdążył zbiec za granicę. Główny trop wiedzie do lokalnego biznesmena – bojąc się pozwu sądowego Kovačević nalega, aby nie podawać jego nazwiska. Bandyci są członkami klubu walk sportowych, prowadzo-

nego przez syna biznesmena, i pracowali jako ochroniarze jego partnera politycznego.

Za lub przeciw

Bośnia i Hercegowina nie należy do najbardziej niebezpiecznych krajów dla ludzi mediów na Bałkanach – w rankingu wolności słowa Reporterów Bez Granic zajmuje 62. miejsce, czyli jest druga w regionie po Rumunii. Jednak po tragicznym 2018 r., kiedy morderstwa dziennikarzy zszokowały Słowaków, Czarnogórców i Bułgarów, trudno przejść obojętnie obok zamachu na Kovačevića. Tym bardziej że sytuacja stale się pogarsza.

Od 2012 r. BH Novinari, stowarzyszenie dziennikarzy bośniackich, odnotowało 121 przypadków agresji, 44 ataki fizyczne, 21 gróźb śmierci i 48 przykładów innego rodzaju prześladowania ludzi mediów. Ale tylko w minionym roku byli atakowani 48 razy. W sądach niewielka część tych spraw jest rozstrzygana na korzyść pokrzywdzonych.

Położona na północnym wschodzie Republika Serbska pod wieloma względami nie różni się od Federacji, czyli drugiej części składowej Bośni i Hercegowiny. Klientelizm, wysokie bezrobocie, duże zaangażowanie aktorów zewnętrznych, nieefektywne sądownictwo i nietransparentna struktura własnościowa mediów, często sięgająca władzy, wpływają na coraz większą frustrację i poczucie zagrożenia dziennikarzy w całym kraju.

– Jednak nigdzie w Bośni relacje łączące media i polityków nie są tak bliskie jak w Republice – mówi Borka Rudić, szefowa BH Novinari. – Albo opowiadasz się po którejś stronie, albo odchodzisz z branży.

W Federacji zamieszkałej przez Chorwatów, Serbów i Boszniaków (Muzułmanów bośniackich) media prezentują światopogląd bliski swoim grupom etnicznym. A w jednolitej narodowościowo Republice dzielą się na pro- i antyrządowe. Rola przeciętnego dziennikarza sprowadza się zatem do uderzenia albo we władzę, albo w opozycję. Nawet Kovačević przyznaje, że BN TV, gdzie zarabia na chleb, otwarcie wspiera partię opozycyjną.

„Retorycznie wyrazisty”

Szansa na zmianę jest niewielka. Od 13 lat Republika Serbska jest prywatnym falkiem Milorada Dodika, prorosyjskiego serbskiego nacjonalisty i lidera Sojuszu ➔

→ Niezależnych Socjaldemokratów (SNSD), któremu znacznie bliżej do Serbii i jej prezydenta Aleksandra Vučića niż do rządu w Sarajewie.

Dodik mówi o podziale Bośni i Hercegowiny oraz usamodzielnieniu się Republiki. Po październikowych wyborach został przedstawicielem Serbów w Prezydium Bośni i Hercegowiny, czyli stał się jednym z trzech prezydentów państwa.

W czasie kampanii napaścił nieprzychylnych dziennikarzy na wrogów publicznych. Odmawiał odpowiedzi na pytania na konferencjach, oskarżał reporterów o brak patriotyzmu i przyjmowanie pieniędzy od zagranicznych podmiotów. Jednak Siniša Mihailović, redaktor naczelny głównego programu informacyjnego w RTRS TV, prorządowej telewizji publicznej, twierdzi, że Dodik jest tylko „retorycznie wyrazisty”.

– To polityk pierwszego kalibru, pragmatyczny, jeden z najbardziej utalentowanych na całych Bałkanach – mówi Mihailović, gdy spotykamy się w budynku telewizji, która, to nie przypadek, mieści się tuż obok siedziby rządu. – Republika nie ma żadnego problemu z wolnością słowa. W każdym kiosku znajdziesz gazety z Sarajewa, Zagrzebia, Belgradu. Do wyboru, do koloru.

Jeśli chodzi o liczby, to rzeczywiście bośniacki rynek medialny należy do najpłodniejszych. Według raportu International Research & Exchanges Board z zeszłego roku w niespełna czteromilionowej Bośni działa 9 dzienników, 189 innych periodyków, 141 stacji radiowych i 41 telewizyjnych.

Jednak co z tego, skoro w tak podzielonym wewnętrznie kraju niemal każde medium jest związane z partią albo grupą etniczną. – Nasza tragedia polega na tym, że media są wykorzystywane do szerzenia paranoidalnej atmosfery permanentnego konfliktu – mówi Srđan Puhalo, znany bloger z Banja Luki.

Wyspą wolności pozostaje internet. Małe portale, takie jak Buka, Impuls, eTrafika czy blog Kovačevića, starają się nie spuszczać z oka polityków niezależnie od ich barw partyjnych. Ale tu znowu wkrada się szara rzeczywistość. Praca Kovačevića przypomina trochę wołanie na puszczy, bo rynek jest zdominowany przez media tradycyjne, szczególnie na prowincji: w Bośni 66 proc. obywateli nadal czerpie informacje z telewizji, a blisko 40 proc. nie ma dostępu do internetu.

Od 2012 r. stowarzyszenie dziennikarzy bośniackich odnotowało **121 przypadków agresji, 44 ataki fizyczne i 21 groźb śmierci** wobec ludzi mediów.

Łączy tylko nienawiść

Stojąc przed wyborem: robić swoje i żyć w strachu albo dostosować się i nie wychylać, tylko niektórzy dziennikarze decydują się na niezależność – i płacą za to wysoką cenę.

Dragan Bursać, komentator portalu Buka i telewizji Al-Jazeera Balkans, od 19 miesięcy żyje pod policyjną ochroną. Groźby w internecie zawsze były częścią jego pracy i nawet okazjonalne dewastacje samochodu go nie wystraszyły. Dopiero kiedy jednego ranka zobaczył na wycieraczkę napis „Jesteś martwy”, dotarło do niego, że życie jego i żony może naprawdę być zagrożone.

Na policji powiedziano mu, że wszyscy funkcjonariusze zostali wysłani do ochrony skrajnie prawicowego marszu. Tego samego, który kilka dni wcześniej Bursać skrytykował w artykule.

Inaczej niż Kovačević, Bursać nie pisze o korupcji, ale o czymś wywołującym większe emocje: o ludobójstwie z czasów wojny w Bośni i innych zbrodniach, za które odpowiedzialni są m.in. Serbowie. – Nienawiść jest jedyną rzeczą, która łączy ludzi w Republice – mówi Bursać. Siedzimy w lobby hotelu w Banja Luce, jednym z niewielu miejsc w mieście, po których może się swobodnie poruszać. – Gdy idziesz głosować, to stajesz przed dylematem: poprzeć skrajną prawicę, czyli opozycję, czy jeszcze skrajniejszą, czyli Dodika.

Po trzech tygodniach ukrywania się na prowincji Bursać w końcu otrzymał pomoc od policji. Pytanie, czy warto dalej zajmować się dziennikarstwem, stale jednak powraca. Tym bardziej że w zamian za swoją pracę często otrzymuje niewiele ponad osobistą satysfakcję. Według danych BH Novinari średnia pensja miesięczna lokalnego reportera w Bośni waha się między 175 a 465 dolarów (równowartość 655–1740 zł). W mediach publicznych zarabia się dwa razy tyle.

Bursać: – Wszyscy powtarzają: czemu nie wyjedziesz i nie znajdziesz sobie lepiej

płatnej roboty. Jeśli wyjadę, zrobię to na moich warunkach, a nie dlatego, że ktoś mnie zmusił. Moja praca nie zmieni ludzi, wiem o tym, ale to jest właśnie to, co chcę robić. Możesz nazwać to powołaniem.

W szklanej pułapce

Slobodan Vasković, jeden z najbardziej dociekliwych dziennikarzy śledczych w Republice Serbskiej, dobrze rozumie Bursać. W listopadzie 2016 r. opuścił Bošnię i od tego czasu ukrywa się w kraju, którego nazwy nie chce ujawniać. Po kilku atakach na jego życie, groźbach i pozwach kierowanych przez lokalnych polityków, poczuł, że sięgnął takiego punktu, że któregoś ranka już się nie obudzi.

„Musiałem wyjechać, bo reżim, w który uderzałem, zamierzał uderzyć we mnie” – pisze mi w mailu. Na swoim blogu „Sa druge strane” („Z innej strony”) Vasković ujawnia afery i nadużycia elit politycznych, często z wykorzystaniem źródeł rządowych, co sprawiło, że zdobył reputację jednego z najlepiej poinformowanych i najostrzejszych krytyków Dodika. „W Bośni jest tylko kilku polityków niezangażowanych w działalność kryminalną. Najgorsza jest obojętność. To, że ten fakt jest powszechnie akceptowany” – pisze. I dalej: „Dlaczego nadal pracuję w zawodzie? W filmie »Szklana pułapka« ktoś zadaje to samo pytanie bohaterowi granemu przez Bruce’a Willis’a. On na to: »Bo nie ma nikogo innego, kto by to robił«. Ze mną jest podobnie”.

Już nie „nezavisne”

O sprawy Kovačevića, Bursaća i Vaskovicia pytam w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Republiki Serbskiej. – A czy w pana kraju praca dziennikarza jest bezpieczna? – rzuca na początek rozmowy Mirna Miljanović, rzeczniczka ministerstwa.

– To policja zidentyfikowała napastników, którzy zaatakowali Kovačevića, i złapała jednego z nich. To policja przyznała ochronę Bursaciowi i szuka osób, które mu grożą. I to policja zaoferowała ochronę Vaskovićowi, ale odmówił – rozkłada ręce Miljanović.

Kto zatem jest winny temu, że tak trudno być dziennikarzem w Bośni? Lista jest długa: politycy, bo wykorzystują media do swoich celów; odbiorcy mający coraz niższe oczekiwania; a także sami dziennikarze, którzy szukając rat na spłatę kredytów idą na kompromisy i godzą się na flirt

z władzą. Na ławie oskarżonych powinno znaleźć się jeszcze jedno miejsce. Grzech pierwotny został popełniony przez Zachód, który zbudował rynek medialny po wojnie.

Spójrzmy na los „Nezavisnyh Novin”. Ten założony w 1995 r. za pieniądze amerykańskie dziennik z Banja Luki zasłynął krytycznymi wobec Serbów artykułami o zbrodniach wojennych. Dorobił się marki bezkompromisowego i otwartego na świat. Wraz ze wzrostem pozycji Dodika właściciel „Nezavisnyh Novin” zaczął jednak zmieniać front. Ku zaskoczeniu Amerykanów ich medialne dziecko stało się apologetą nacjonalistycznej polityki wszechmocnego prezydenta.

Zachód – źródło problemu?

To nie jedyna sytuacja, kiedy medium wspierane przez Zachód zmienia się w narzędzie rządowej propagandy. Półtora roku temu Alternativna TV z Banja Luki finansowana przez Urząd Wysokiego Przedstawiciela ONZ i Społeczności Międzynarodowej dla Bośni i Hercegowiny została przejęta przez przyjaciela Dodika. Nic dziwnego, że można usłyszeć, że Dodik to tak naprawdę „człowiek Ameryki”.

– Zachód wydawał wielkie sumy, żeby stworzyć wolne media, a nie miał pojęcia o lokalnych warunkach. Stąd takie niespodzianki jak z „Nezavisnymi Novinami” albo Alternativna TV – opowiada Srećko Latal, były korespondent agencji Associated Press. – Źródłem każdego problemu w Bośni jest błąd Zachodu albo jakiś nieudany eksperyment – dodaje.

– Jest wiele rzeczy, za które możemy czuć się odpowiedzialni – mówi z kolei zachodni dyplomata z Sarajewa. Prosi, żeby nie ujawniać jego nazwiska. – Ale wyobraź sobie, jak wyglądałyby media bez wsparcia Zachodu. Przypomina też, że Dodik jest objęty amerykańskimi sankcjami.

Dla Kovačevića to małe pocieszenie. Tak jak dziesiątki innych dziennikarzy, z którymi rozmawiałem, cały czas zadaje sobie pytanie: czy warto to ciągnąć? – Wolność istnieje w tym sensie, że nikt mi nie powie, żebym o czymś nie pisał. Tylko nie mogę być pewny, co jutro stanie się ze mną albo moją rodziną – mówi. – Nie chcę, żeby moje dzieci dorastały w takim kraju. Słyszałem, że w Niemczech szukają kierowców autobusów.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach grantu Pulitzer Center on Crisis Reporting.



VÍT ŠIMÁNEK / PAP

Jaromír Balda przed Sądem Okręgowym w Pradze, 7 stycznia 2019 r.

Pierwszy czeski terrorysta

PATRYCJA BUKALSKA

Dlaczego spokojny emeryt, który nigdy nie dostał nawet mandatu, zamiast chodzić na grzyby czy piwo do gospody, nagle zdecydował się wykoleić pociąg?

→ JAROMÍR BALDA MA 71 LAT. CHODZI POWOLI, wspierając się na kuli. Jest emerytem. Na ulicy nie zwróciłby na siebie niczyjej uwagi. Na sali sądowej siedział spokojnie, ubrany w zwykłą kurtkę i szare spodnie. Szczupły, niepozorny, kruchy. To pierwszy czeski terrorysta. A przecież nie tak wyobrażamy sobie terrorystę – ani w Czechach, ani w innych krajach Europy.

„POWINIEN MIEĆ WIĘKSZĄ ŚWIADOMOŚĆ, że jakakolwiek nienawiść rodzi dalszą nienawiść” – stwierdził kilka dni temu sędzia, skazując Baldę na cztery lata więzienia. Tylko 4, bo groziło mu od 5 do 15 lat. Ma też być otoczony opieką psychiatryczną.

Sąd uznał, że Jaromír Balda ma zaburzenia osobowości wpływające na jego zdolność do samokontroli (stąd m.in. stosunkowo niski wyrok). Jest też społecznie naiwny i łatwo ulega manipulacji. Według sądu spiskowe teorie i informacje, pod których wpływem był Balda, zaciemniły jego umysł, i on sam jest w pewien sposób ofiarą manipulacji. Nie znaczy to, że za swoje czyny nie jest odpowiedzialny. „Powinien zastosować krytyczne myślenie” – mówił sędzia. Podkreślił też, że skazanym kierowała nienawiść na tle religijnym, a to jest wbrew fundamentalnym zasadom społecznym czeskiego państwa.

W 2017 r. Balda dwukrotnie podciął drzewa tak, że upadły na tory tuż przed nadjeżdżające pociągi. W obydwu przy-

padkach maszynistom nie udało się wyhamować i doszło do kolizji, ale pociągi się nie wykoleiły. Nie ucierpiał też żaden z pasażerów. Wzdłuż torów znaleziono rozrzucone ulotki – napisane po czesku, ale z błędami, z angielskimi wtrąceniami. Zapowiadano w nich, że to dopiero początek, grozono „niewiernym psom”. Policja szybko ustaliła, że za próbą wykolejenia pociągu i ulotkami stoi nie grupa terrorystów z ISIS, ale starszy pan na emeryturze.

Jak się okazało, Balda spreparował ulotki tak, by wyglądały na dzieło dżihadystów. Miał nadzieję, że zmobilizuje tak Czechów do walki z islamem i uchodźcami, w których upatrywał zagrożenie.

Balda przyznał się, ale jednocześnie w sądzie tłumaczył, że po atakach terrorystycznych w zachodniej Europie prześladował go sen, w którym do czeskich granic pędziły pociągi pełne uzbrojonych islamistów, planujących podrzynać Czechom gardła. Argument ten nie przekonał sądu, który uznał, że Jaromír Balda działał z premedytacją i do swoich akcji się przygotowywał. Nie ma więc mowy o impulsie. Obciążyło go też nagranie jego rozmowy z działaczką partii SPD, w której Balda mówił o podpalaniu tradycyjnie ubranych muzułmanek i „likwidowaniu uchodźców jak szczury”.

POLITYCY TEŻ NIE SĄ BEZ WINY. Svoboda a přímá demokracie (SPD) to populi-

styczna partia o radykalnie antyunijnej i ksenofobicznej retoryce, założona przez Tomio Okamurę, z pochodzenia pół-Japończyka. W wyborach w 2017 r. jej posłowie zdobyli 22 mandaty (na 200 możliwych). Balda jest jej gorącym zwolennikiem, udzielał się podczas kampanii wyborczych, grał na harmonijce, rozdawał ulotki. Teraz SPD zdecydowanie się od niego odciął, nie odciął się jednak – i raczej nie zamierza – od swoich antyuchodźczych i antymuzułmańskich hasel.

I tu dochodzi dodatkowy aspekt tej sprawy – to, w jaki sposób Balda nabrał przekonania, że muzułmanie zamierzają najechać Republikę Czeską i dokonać tu rzezi. Czemu spokojny emeryt, który nigdy nie dostał nawet mandatu, zamiast chodzić na grzyby czy piwo do gospody, nagle decyduje się wykoleić pociąg? Dlaczego nienawidzi ludzi, których nigdy w życiu nie spotkał?

W Czechach uchodźców właściwie nie ma, muzułmanów niemal też nie (ok. 20 tys. w 10-milionowym kraju). Tymczasem hasła przeciwko nim kierowane są tam wyjątkowo nośnym narzędziem politycznym. Widać to było choćby podczas ostatnich kampanii wyborczych: prezydenckiej (zakończonych reelekcją Miloša Zemana rok temu) oraz parlamentarnej w 2017 r. Trudno się spodziewać, że sprawa Baldy coś w tej kwestii zmieni.

© P. PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

NAUKA W KUCHNI

czyli książka dla głodnych... wiedzy – już w sprzedaży!

Kiedy ludzie zaczęli gotować?

Jak wygląda gluten?

Czy da się wyhodować sałatę w kosmosie?

Skąd się biorą aromaty w winie?

Michał Kuźmiński, zastępca redaktora naczelnego „TP” i wieloletni szef działu Nauka, szuka odpowiedzi na te i inne nurtujące Was pytania w pierwszej swojej popularnonaukowej książce.

Szukajcie w dobrych księgarniach i na powszech.net/naukawkuchni



Poleca

TYGODNIK
POWSZECHNY

FOT. GRAZYNA MAKARA

ANDRZEJ

Stasiuk:

Ludzie



JAKIŚ CZAS TEMU JECHAŁEM PRZEZ POGÓRZE Przemyskie. Byłem trochę zmęczony i potrzebowałem kawy. W zapadającym zmierzchu świeciło czerwone logo Orlenu. A niech tam, pomyślałem. Przekonania polityczne przekonaniami, ale kawę mają przyzwoiła, bezpieczeństwo na drodze rzecz podstawowa. Zjechałem na pusty parking. Przy dystrybutorach też nie było aut. Miało się ku zimie. W środku przywitała mnie kobieta w średnim wieku i sieciowym uniformie. Poprosiłem dwa razy espresso, bo jedno to jest przecież mało na zimowy zmierzch i 150 kilometrów jazdy. Zapytała mnie, czy tankowałem. Odpowiedziałem, że nie, ale na zwierzenia mnie wzięło po godzinach samotnej jazdy i wyjechałem: „Na Circle K tankuję, jak jest, bo tam dobre hot dogi mają”.

Spojrzała na mnie znad połączonych okularów i powiedziała spokojnym i stanowczym tonem: „Proszę pana, Orlen jest firmą polską, płaci podatki w Polsce, pieniądze tu zostają i przyczyniają się do rozwoju. Myślę, że wszystkim nam powinno zależeć, żeby nasze pieniądze zostawały u nas, prawda?”. Trochę nieswojo mi się zrobiło, bo zima się zaczyna, zmrok, wokół lasy, miejscowość (według Wikipedii) 1050 dusz liczy, klientów na lekarstwo, a tutaj takie wzmoczenie. I w dodatku ja o tych hot dogach niczym jakaś ofiara konsumpcjonizmu, podczas gdy sprawa idzie o obowiązki polskie. „Bo proszę pana, co by było, gdybyśmy wszyscy na tym Circle K, który nie wiadomo skąd jest, tankowali”...

Zrobiłem sobie te dwa espresso do jednego kubeczka, popatrzyłem w jej stronę i powiedziałem nieśmiało: „Proszę pani, ale ja tylko kawy chciałem się napić...”. Spojrzała uważnie, jakby

mnie dopiero teraz dostrzegła, i powiedziała: „W takim razie przepraszam i życzę szerokiej drogi”. Wyszedłem w gęstniejący zmierzch i pojechałem na południe.

STOI PRZY WYJŚCIU NA PARKING W NASZYM NAJWIĘKSZYM POWIATOWYM supermarkecie. W brudnawej buraczkowej kurtce z kapturem, workowatych dzinsach i w białych, rozdeptanych sportowych butach. Daje mi kilkanaście sekund, ale gdy wyładowuję wózek do auta, zjawia się i mówi: „Nie będę ściemniał, że potrzebuję na chleb”. Kiwam głową, że ok. Podaje mi rzeczy z wózka. Na widok puszek z psim jedzeniem mówi: „W sam raz dla mnie” i próbuje się uśmiechnąć. Od czoła przez nos do brody ma świeżo zastrupioną ranę. „Co, spadochron się nie otworzył” – pytam. „Z ławki spadłem” – odpowiada. „Jak?” „Zwyczajnie. Poleciałem na ryj. Znaczący się najpierw zasnąłem”. Bierze pusty wózek z dwuzłotówką. Dorzucam mu jeszcze trochę. Kiwa głową i znów próbuje się uśmiechnąć. Rusza w głąb parkingu oświetlonego szarym, metalicznym światłem.

Parę dni później znów się spotykamy. Wygląda trochę lepiej. Strupy powoli schodzą. Mówię mu, że widać poprawę. „Tak – mówi. – Ale wczoraj znów się wywaliłem”. „No i co?” – pytam. „Nic. Do szpitala mnie wzięli. Z ulicy. Coś mi dali, kroplówkę. i wypuścili”. „Na ulicy się wywaliłeś?” „No tak. Szedłem i się wywaliłem. A potem od razu szpital. Szybko przyjechali”. Nie ma więcej niż trzydzieści parę lat i cały czas próbuje się uśmiechać. Znowu podaje mi zakupy. Zatrzymuje na chwilę butelkę wina i przygląda się nalepce. „Nie smakowałoby ci. Wytrawne” – mówi. Podaje mi resztę sprawunków i jest mi trochę głupio, że tyle tego jest, a on stoi w tych swoich splekanych podróbkach reeboków i kurtce z powypalanymi dziurami. Ale jestem twardy i znowu staję na dwójce z wózka i dodatkowej piątce. Obłudnie pocieszam się, że wiem, co to znaczy umierać z kaca po parodniówce. We własnym łóżku i ciepło. Kiwa głową i ściąga twarz w grymas śmiechu spod tych oblażających strupów. „Miał dzwonić znajomy, że jest robota we Francji, ale nie dzwoni” – mówi tonem usprawiedliwienia. „Takiego nie wpuszczą cię do Francji” – mówię, jakbym chciał go pocieszyć. „Wiem” – odpowiada. Potem znów idzie w głąb parkingu. Jest jasny dzień i dachy samochodów wyglądają jak kolorowa kra. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



SZYMON HOŁOWNIA W ZGIERZU

W czwartek 31 stycznia Szymon Hołownia spotka się ze zgierskimi licealistami, by porozmawiać o swojej książce „Boskie zwierzęta”. Lekcja ta, współorganizowana przez Miasto Zgierz, odbędzie się w Parku Kulturowym Miasto Tkaczy.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania



OKRĄGŁY STÓŁ: JAK BYŁO

Długo był symbolem polskich podziałów, ale dziś przysłoniły go obecne napięcia. Czy oznacza to, że po 30 latach patrzymy na tamte zdarzenia bez emocji? Wątpliwe.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

WPRZEMÓWIENIACH, KTÓRE 6 LUTEGO 1989 r. otwierały – i tych, które 5 kwietnia kończyły – obrady Okrągłego Stołu w dawnym Pałacu Namiestnikowskim, kilkakrotnie pojawiało się odwołanie do długiej drogi, jaką obie strony musiały przebyć, zanim zasiadły do negocjacji. Przez lata dzieliła je przepaść wykopana przez stan wojenny, represje i ofiary.

Warto jednak pamiętać, że stroną, która już wiosną 1982 r. deklarowała gotowość do rozmów, była podziemna Solidarność. Jednym z dokumentów przyjętych na założycielskim spotkaniu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (władz podziemnego związku) było oświadczenie w sprawie ugody narodowej. Odwoływano się w nim do głośnych wówczas też Prymasowskiej Rady Społecznej, która postulowała porozumienie „między władzą a odpowiednimi, niezależnymi reprezentacjami zorganizowanych grup społecznych”. Przedmiotem tej ugody miał być, obok reaktywowania NSZZ „Solidarność” i zaprzestania represji, także „ogólny program reformy i odnowy życia społecznego i gospodarczego”.

Gotowość do kompromisu podziemny związek deklarował jeszcze kilkakrotnie, ale po stronie komunistycznych władz nie było zainteresowania. Przez krótki czas rozważały one stworzenie kontrolowanej neo-Solidarności, jednak ostatecznie zdecydowały się zlikwidować zwią-



Okrągły stół powstał w Zakładach Wytwórczych Mebli Artystycznych w Henrykowie, październik 1988 r.

zek, formalnie „zawieszony” 13 grudnia 1981 r. Skupione wokół Wojciecha Jaruzelskiego kierownictwo PRL najwyraźniej uznało, że opór zaniknie, a inne problemy rozwiążą reformy gospodarcze i kosmetyczne zmiany ustrojowe. Przekonanie to utwierdziła klęska próby organizacji strajku generalnego 10 listopada 1982 r. Perspektywy porozumienia zdawały się ostatecznie pogrzebane wraz z powołaniem w listopadzie 1984 r. nowej, podporządkowanej PZPR centrali związków zawodowych – OPZZ.

Zmiana strategii

Nadzieje władz na stabilizację – w stylu węgierskiej „konsolidacji” lub czechosłowackiej „normalizacji” – okazały się płonne. Pozorowane reformy nie przynosiły rezultatów, odczuwano skutki amerykańskich sankcji i bojkotu PRL w świecie. Solidarność, choć osłabiona, trwała w podziemiu.



ALEKSANDER JACOSINSKI / FORUM

Skloniło to władze PRL do szukania nowych rozwiązań. Sprzyjała temu polityka nowego sowieckiego lidera, Michaiła Gorbaczowa. Realizując doktrynę swego mentora Jurija Andropowa, skupił się na działaniach zmierzających do utrzymania potęgi Związku Sowieckiego, nawet kosztem osłabienia kontroli nad „imperium zewnętrznym”. Przywódcy „bratnich” partii już w kwietniu 1985 r. usłyszeli od niego, że odtąd „samodzielnie określają swoją politykę” i są za nią „odpowiedzialni przed swoim narodem”.

Pierwszą próbę przełamania pata podjęto w drugiej połowie 1986 r. Władze PRL ogłosiły amnestię (trzecią w ciągu kilku lat) i zapowiedziały zaprzestanie wytaczania nowych procesów politycznych; funkcje represyjne miały sprawować kolegi ds. wykroczeń. Jednocześnie zaczęto tworzenie Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa (stanowisko to zajmował Jaruzelski), którą miał uwiarygodnić udział osób związanych z Solidarnością. Celu nie udało się osiągnąć, ale zapoczątkowano taktykę kooptacji, rozwijaną w kolejnych latach.

Działaniom politycznym towarzyszyła aktywność Służby Bezpieczeństwa. W ramach operacji „Brzoza” funkcjonariusze SB spotkali się z tysiącami działaczy podziemia, przekonując ich o niecelowości dalszej konspiracji i wskazując na rysujące się możliwości legalnej działalności.

Dojrzewanie

Akcja władz spowodowała zamieszanie wśród opozycji. Pojawiły się wątpliwości, czy kontynuować dotychczasowe formy aktywności. Pogłębiła je decyzja Lecha Wałęsy, który postanowił skorzystać z okazji do wzmocnienia swej pozycji i powołał jawną Tymczasową Radę NSZZ „Solidarność”. Ale wbrew oczekiwaniom Wałęsy władze nie były zainteresowane jakimkolwiek dialogiem. Ostatecznie TKK i TRS w październiku 1987 r. połączyły się w jawną Krajową Komisję Wykonawczą. Decyzję skrytykowała nowo powstała Grupa Robocza Komisji Krajowej, której członkowie domagali się odtworzenia władz Solidarności w składzie z 1981 r.

Część działań podjętych przez kierownictwo PZPR jesienią 1986 r. została zaproponowana przez Zespół Analiz MSW. Z kolei pod koniec roku powstał „zespół trzech”, złożony z Jerzego Urbana (rzecznika rządu), Stanisława Cioska (zaufanego Jaruzelskiego w KC PZPR) i Władysława

Požogi (szefa wywiadu). W kolejnych miesiącach obie grupy zaczęły kreślić coraz bardziej śmiało propozycje przezwyciężenia kryzysu. Część zakładała, że partnerem władz będzie Kościół, a nie opozycja. Rachuby te przekreśliła trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w 1987 r. – odtąd Kościół deklarował gotowość mediacji, ale odrzucał kuszące oferty władz.

Tymczasem ekipa Jaruzelskiego zdecydowała się odwołać wprost do społeczeństwa. Zaplanowane na listopad 1987 r. referendum miało dać władzy legitymizację do niezbędnych (i obciążających obywateli) reform gospodarczych. Ale sformułowanie zbyt ogólnikowych pytań i przyjęcie wyśrubowanych wymogów osiągnięcia wiążącego wyniku sprawiły, iż referendum zakończyło się spektakularną porażką.

Przełom

W odpowiedzi na klęskę referendum KKW przypomniła, że Solidarność już na swoim pierwszym zjeździe w 1981 r. proponowała „pakt antykryzysowy” i że oferta ta „zachowuje swoją aktualność”. Gotowość do rozmów „w imię ratowania kraju” zgłosił też w jednym z wywiadów Wałęsa. Także i te propozycje zignorowano. W zaciśniętych gabinetach powstawały jednak kolejne wizje reform, obejmujące m.in. powołanie Senatu z miejscami dla opozycji (w tym Wałęsy), utworzenie partii chadeckiej i urzędu prezydenta.

Kierownictwo PZPR stopniowo uświadamiało sobie, że wsparcie społeczne dla reformy gospodarczej zapewnić może tylko dopuszczenie opozycji do udziału w systemie władzy. Zdawano sobie sprawę z pogarszających się nastrojów społecznych, a także radykalizacji młodego pokolenia. Wciąż brakowało jednak odwagi do przekroczenia Rubikonu – podjęcia rozmów z opozycją.

Na przełomie kwietnia i maja 1988 r. wybuchła ograniczona, ale największa od lat fala strajków. Dla KKW i Wałęsy stała się okazją do ponowienia apelu o „porozumienie społeczne i dialog w duchu Sierpnia '80”. Przez chwilę zdawało się, że rozmowy są możliwe – Jaruzelski zgodził się na spotkanie przedstawicieli władz i opozycji na temat reformy gospodarczej pod warunkiem przerwania protestu. O mediację poproszono Kościół, ale niespodziewanie nastąpiła brutalna pacyfikacja strajku w Nowej Hucie. Tym razem otwarcie wypowiedział się Episkopat, ➔

→ wyrażając „głęboki żal, że próba dialogu i porozumienia społecznego nie doprowadziła do oczekiwanych wyników”.

Po zakończeniu strajków reprezentanci władz zaczęli rysować przedstawicielom Kościoła kształt swej oferty: miała obejmować m.in. reformę prawa o stowarzyszeniach, ograniczenie liczby mandatów w Sejmie obsadzanych przez PZPR i jej koalicjantów do 60–65 proc., powołanie Senatu z udziałem opozycji, a nawet możliwość rządu koalicyjnego z udziałem przedstawicieli „konstruktywnej” części opozycji. Wykluczono natomiast możliwość ponownej legalizacji Solidarności. W czerwcu 1988 r. Jaruzelski na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR (w debacie nad nową ustawą o stowarzyszeniach) po raz pierwszy użył sformułowania „okrągły stół”. Kilka tygodni później określenie to wykorzystał Urban, ujawniając fakt rozmów z Kościołem. Zawrotną karierę pojęcie to miało zrobić ponad miesiąc później.

W połowie sierpnia wybuchła nowa, większa fala strajków. Zaczęły ją górnośląskie kopalnie, po kilku dniach przyłączyły się dalsze zakłady, m.in. Stocznia Gdańska i Huta Stalowa Wola. Głównym hasłem było „Nie ma wolności bez Solidarności” – żądanie legalizacji związku. Gdy zawiodły groźby, wrócono do koncepcji rozmów. Przez kilka dni toczyły się gorączkowe zakulisowe negocjacje, z aktywną rolą przedstawicieli Kościoła. 26 sierpnia szef MSW Czesław Kiszczak z upoważnienia władz ogłosił w przemówieniu telewizyjnym ofertę rozpoczęcia rozmów przy okrągłym stole z „przedstawicielami różnorodnych środowisk społecznych i politycznych”.

31 sierpnia doszło do spotkania Kiszczaka i Wałęsy. Lider Solidarności nie uzyskał zapowiedzi legalizacji związku, mimo to złożył deklarację zakończenia strajków. Aby zrealizować tę obietnicę, położył na szali swój autorytet. Rezygnując ze strajków jako formy nacisku, podjął ogromne ryzyko – odtąd jego przyszłość i przyszłość jego otoczenia zależały od powodzenia negocjacji. W razie klęski przyjętej strategii ich miejsce mogli zająć nowi liderzy, wywodzący się z młodych uczestników strajków lub radykalnych ugrupowań, jak Solidarność Walcząca.

Rozmowy o rozmowach

W kolejnych tygodniach toczyły się rozmowy na temat przyszłych negocjacji. Od początku fundamentalnym problemem

Otwarta dyskusja może przynieść więcej pożytku niż zamykanie się w kręgu białej lub czarnej legendy Okrągłego Stołu.

stał się brak zgody władz na przywrócenie Solidarności. Kryzys w tych „rozmowach o rozmowach” potwierdzał obawy krytyków Wałęsy, do których należeli nie tylko zwolennicy Grupy Roboczej i Solidarność Walcząca, ale też redakcja paryskiej „Kultury” oraz część doradców przewodniczącego Solidarności.

Na początku października pojawiła się kolejna przeszkoda: brak zgody władz na proponowaną przez związek listę uczestników obrad. Wyznaczona data ich rozpoczęcia (17 października) minęła, a wykonany w ekspresowym tempie okrągły stół pokrywał się kurzem w pałacyku PAN w Jabłonnie, planowanym jako miejsce negocjacji. W końcu mebel zdemontowano, a rozmowy zawieszono. Co więcej, 30 października władze ogłosiły prowokacyjną decyzję o likwidacji Stoczni Gdańskiej. Celem miało być zapewnienie Solidarności do zerwania rozmów, które najwyraźniej nie interesowały już władz.

Ta zaskakująca wolta związana była z powołaniem we wrześniu 1988 r. nowego rządu pod kierownictwem Mieczysława F. Rakowskiego. W szybkim tempie przygotowywał on pakiet reform, w tym wolnorynkową liberalizację gospodarki. PZPR po raz pierwszy od lat złapała wiatr w żagle: uwierzono, że całą operację da się przeprowadzić bez ustępstw na rzecz opozycji.

Plany te pokrzyżował członek Biura Politycznego KC PZPR i szef OPZZ Konstanty Miodowicz. Nieopatrznie ogłosił gotowość do telewizyjnej debaty z Lechem Wałęsą. Miała skompromitować przywódcę Solidarności, w co uwierzył też Jaruzelski („myślałem, że jego rozmowy”, wspominał). Tymczasem przeprowadzona i wyemitowana 30 listopada debata przyniosła bezapelacyjne zwycię-

stwo Wałęsy i skokowy wzrost poparcia dla związku.

W tej sytuacji kierownictwo PZPR zdecydowało się na ustępstwa w spornych kwestiach. Problemem pozostawał opór aparatu partyjnego, który przełamano groźbą dymisji Jaruzelskiego i jego popleczników. Prowadzona od lat taktyka „cięcia po skrzydłach” przyniosła owoce: przeciwnicy zmian w PZPR mieli większość, ale nie mieli alternatywy dla dotychczasowych przywódców. Zapewne nigdy nie uda się już zweryfikować wysoce prawdopodobnej tezy, że zamordowanie w styczniu 1989 r. dwóch kapłanów związanych z opozycją (ks. Stanisława Suchowolca i ks. Stefana Niedzielaka) było ostatnią próbą storpedowania rozmów.

W grudniu sformalizowało się zaplecze eksperckie dla negocjacji: Wałęsa powołał Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność. Mimo pojawiających się w gronie doradców postulatów, nie reprezentował on pełnego spektrum nie tylko opozycji, ale i samej Solidarności.

Wokół stołu

Obrady zaczęły się 6 lutego 1989 r. Pierwszym mówcą był Kiszczak, który wyraził nie zakreślił granice negocjacji: „żadnego z narodowych problemów nie rozwiąże negowanie historycznego dorobku i podważanie socjalistycznego kształtu Polski (...) Nowy system zakładałby dochodzenie poprzez różnice zdań do uzgodnień i kompromisów. Równocześnie zagwarantowana byłaby nienaruszalność socjalistycznych podstaw ustrojowych państwa”. Dialog dotyczyć miał więc reformy PRL, a nie zmiany ustroju.

W odróżnieniu od szefa MSW Wałęsa pominął kwestie reform politycznych, skupiając się w swoim przemówieniu na reformach gospodarczych i przywróceniu swobód związkowych. Z pozostałych mówców wyróżnił się Miodowicz, który wysunął najbardziej radykalne postulaty – wolnych wyborów i zniesienia cenzury.

Do przygotowania ostatecznych uzgodnień powołano trzy główne zespoły: do spraw reform politycznych, gospodarczych i pluralizmu związkowego. Ponadto istniało 10 podzespołów i kilka grup roboczych. Łącznie w negocjacjach po obu stronach wzięło udział 589 osób, w tym wielu ekspertów z różnych dziedzin.

Szkopuł w tym, że zasadniczy kształt porozumienia uzgodniono jeszcze przed rozpoczęciem obrad – podczas poufnego

spotkania w ośrodku MSW w Magdalence pod Warszawą. Tego typu spotkania trwały przez cały czas negocjacji, rozstrzygano na nich wszystkie istotne kwestie. Ten tryb działania nie tylko stał się z czasem źródłem czarnej legendy Okrągłego Stołu, ale przede wszystkim podważał wysiłek uczestników jawnych obrad i dezawuował demokratyczny charakter całego procesu.

Wykonane podczas tych spotkań zdjęcia i nagrania, realizowane na polecenie Kiszczaka i ewidentnie przez niego reżyserowane, miały zapewne służyć nie tyle dokumentowaniu historycznych chwil, lecz propagandowemu wykorzystaniu w razie niepowodzenia rozmów. W tamtym czasie silniejszą presję, w dodatku na obie strony, wywierało jednak szybko narastające napięcie społeczne, które ujście znajdowało w coraz liczniejszych strajkach czy demonstracjach młodzieży w Krakowie w lutym 1989 r.

Uroczyste zakończenie obrad nastąpiło 5 kwietnia. Głównymi postanowieniami była relegalizacja Solidarności, utworzenie urzędu prezydenta, wolne wybory do nowo powstałego Senatu i częściowo (35 proc.) wolne do Sejmu. Ogólnikowo deklarowano, że zmiany te otwierają drogę do demokracji parlamentarnej, brakowało jednak jakichkolwiek szczegółów. Większość zawartych porozumień stanowiły protokoły uzgodnień (i różnicy zdań) wypracowane przez poszczególne podzespoły. Zawierają one wiele szczegółowych rozwiązań, z których znaczna część wkrótce się zdezaktualizowała.

Stało się tak na skutek decyzji Polaków, którzy potraktowali wybory 4 czerwca 1989 r. jak plebiscyt – masowo skreślając kandydatów partii i jej koalicjantów. Uruchoimiło to nową dynamikę, której skutkiem stało się – nieprzewidziane w wiosennych ustaleniach – powstanie we wrześniu rządu z premierem z opozycji, Tadeuszem Mazowieckim.

Dyskusje i spory

Działania Wałęsy i jego otoczenia od momentu przerwania strajków na początku września 1988 r. były źródłem dyskusji i sporów. Krytykowały je opozycyjne wobec przewodniczącego nurty w Solidarności, inne organizacje opozycyjne, a czasem nawet doradcy Wałęsy.

Najpierw spierano się o sens zakończenia strajków i podjęcie rozmów bez gwarancji przywrócenia związku. Później

o kwestię, kto ma być reprezentowany przy Okrągłym Stole po stronie solidarnościowej – zwyciężyła koncepcja stosunkowo wąskiej reprezentacji. Z pewnością ułatwiało to kontrolę nad rozmowami, ale ograniczało ich legitymizację.

W trakcie Okrągłego Stołu podważano nie tyle sens rozmów z komunistami, co ich ograniczony zakres i niewykorzystanie słabości reżimu. Symboliczny wymiar miał spór o formę powrotu Solidarności do jawnego istnienia: wynegocjowano ponowną rejestrację (w dodatku ze zmianami w statucie) zamiast przywrócenia istnienia na podstawie rejestracji z 1980 r. – w ten sposób w pewnym sensie usankcjonowano działania władz w stanie wojennym. Jeszcze bardziej istotny był konflikt wokół sposobu powołania tymczasowych władz związku, opartego *de facto* na decyzji przewodniczącego, a nie zasadach statutowych. Przedmiotem ostrych dyskusji był też skład list wyborczych Solidarności. Warto przypomnieć, że protestując przeciw ich niereprezentatywności, kandydowania odmówił Mazowiecki.

Realizacja pisanych i niepisanych uzgodnień przyniosła dalsze napięcia. 4 czerwca Polacy odrzucili większość kandydatów z tzw. listy krajowej, co zaburzyło pieczołowicie pilnowane przez władze proporcje sił. Zamiast uznać jednoznacznie wolę wyborców, strona solidarnościowa zgodziła się na nowelizację ordynacji – między dwiema turami wyborów! Mimo to, z uwagi na obecność rozmaitych „dysydentów” wśród posłów strony rządowej, nadal istniała szansa wyboru innego prezydenta niż Jaruzelski. Decyzja kierownictwa Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (w której podjęcie zaangażowała się dyplomacja USA) o udzieleniu dyskretnego wsparcia autorowi stanu wojennego dramatycznie pogłębiła podziały. Była nie do przyjęcia nie tylko dla części ugrupowań opozycyjnych, ale też dla wielu szeregowych działaczy, przez lata wytrwale walczących z reżimem.

Jednym duma, innym nieszczęście

Następny spór związany był z formowaniem nowego rządu, na czele którego ostatecznie stanął Mazowiecki. Jego istotą była kwestia, czy w nowej koalicji powinni znaleźć się przedstawiciele PZPR. Z arytmetyki sejmowej wynikało, że nie jest to niezbędne. Zwyciężyło jednak przekonanie o konieczności stabilizacji procesu

przemian przez udział w nim przedstawicieli partii, która wkrótce – w styczniu 1990 r. – zniknęła ze sceny politycznej. Kolejne spory dotyczyły tempa zmian, konieczności ich przyspieszenia itp.

Z czasem wszystkie te kwestie, niektóre dalekie od samych obrad z lutego i marca 1989 r., zlały się w jeden fundamentalny spór o Okrągły Stół i jego ocenę. To, co dla jednych było (i jest) przedmiotem dumy i przyczyną sukcesów transformacji, dla innych pozostaje źródłem wszystkich nieszczęść III Rzeczypospolitej.

Niezależnie od polskich sporów Okrągły Stół stał się modelem dla innych państw Europy Środkowej. Na Węgrzech od czerwca do września toczyły się rozmowy Trójkątnego Stołu, zakończone decyzją o przeprowadzeniu w pełni wolnych wyborów. W NRD Okrągły Stół trwał od grudnia 1989 r. do marca 1990 r.; także tam przyjęto dalej idące rozwiązania niż w Polsce. Kolejny Okrągły Stół był w Bułgarii, gdzie jednak partia komunistyczna, przemianowana na socjaldemokratyczną, zdołała dłużej zachować wpływy. Modelu polskiego nie powielono w Czechosłowacji i Rumunii, nie ulega jednak wątpliwości, że także przemiany w tych krajach możliwe były dzięki wydarzeniom w Polsce.

Źródła współczesności

Krytyka Okrągłego Stołu czy też taktyki przyjętej przez „konstruktywną opozycję” często odrzucana jest formułą, iż łatwo jest oceniać z perspektywy lat, mając w dodatku dostęp do szerszej niż wówczas wiedzy, np. o głębokości kryzysu w obozie władzy. Warto jednak pamiętać, że zasadnicze elementy tej krytyki pojawiały się już w latach 1988-89, ale zostały zignorowane.

Ponadto refleksja i otwarta dyskusja nad tamtym czasem mogą przynieść więcej pożytku niż zamykanie się w kręgu białej lub czarnej legendy Okrągłego Stołu. Nie zrozumiemy historii III Rzeczypospolitej, w tym także aktualnego jej rozdziału, jeśli nie sięgniemy do jej źródła, jakim były geneza, obrady i następstwa Okrągłego Stołu.

© ŁUKASZ KAMIŃSKI

DR ŁUKASZ KAMIŃSKI (ur. 1973) jest historykiem, pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, specjalizuje się w najnowszych dziejach Polski i Europy Środkowej. W latach 2009-11 dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, 2011-16 prezes IPN.

NAUKA

KLUCZ DO WSZYSTKIEGO

Jesteśmy chodzącym workiem podziałów komórkowych
i bilansujących je apoptoz,
czyli programowanych śmierci komórek.
W tym worku kluczową rolę odgrywają komórki macierzyste.

BARTOSZ KABAŁA

KAŻDEGO DNIA W SZPIKU KOSTNYM powstaje 100 miliardów nowych komórek krwi, mniej więcej tyle samo buduje naszą skórę. Ciało człowieka składa się z 80 organów zbudowanych z 10 bilionów komórek, które można podzielić na około 200 rodzajów. To wszystko powstaje z jednej komórki jajowej, do której kiedyś wniknął jeden plemnik. Komórka ta, zwana zygota, dzieli się, i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z genetycznym planem, na świecie pojawi się wkrótce kolejny organizm złożony z 10 bilionów komórek.

Komórki zmieniają swoje funkcje i specjalizują się, najczęściej aż do swojej komórkowej śmierci wykonując określone zadania. Za powstanie organizmu i jego ciągłą odbudowę odpowiadają komórki macierzyste. Po angielsku zostały nazwane znacznie bardziej obrazowo: *stem cells*, czyli komórki pnia.

Pień z kilkoma konarami

Po raz pierwszy termin „stem cell”, a właściwie w niemieckiej formie „Stammzelle” pojawił się w literaturze naukowej w 1868 r. Pracujący wówczas na Uniwersytecie w Jenie Ernst Haeckel był biologiem, ewolucjonistą i zagorzałym zwolennikiem teorii Karola Darwina. Jak wielu ówczesnych naukowców zajmujących się anatomią porównawczą i pochodzeniem gatunków pracował nad własną klasyfikacją istot żywych. Tworzył drzewa rodowe zwane Stammbäume, w których wykazywał pochodzenie współczesnych organizmów od wspólnych przodków. W jednej z tych prac pojawia się termin „Stammzelle”, oznaczający początkowo jednokomórkowy organizm, z którego powstały wszystkie chodzące, pływające i latające istoty na Ziemi. W 1877 r. Haeckel użył go także do opisu zapłodnionej komórki jajowej, z której powstają wszystkie komórki organizmu, co jest znacznie bliższe dzisiejszej definicji komórki macierzystej.

Nieskończone podziały

Jeśli wyobrazić sobie procesy podziałów komórkowych i różnicowania w postaci drzewa, komórki macierzyste stanowią gruby pień, od którego odchodzą coraz mniejsze gałązki – coraz bardziej wyspecjalizowane komórki. Przy czym komórki macierzyste różnią się pod kątem tego, ile rodzajów „gałązek” może z nich wyrosnąć. Pewnie więc lepiej myśleć o nich nie jako

o samym pniu, ale także o jego najgrubszych konarach.

Z definicji komórki macierzyste spełniać muszą dwa kryteria. Muszą być zdolne do nieograniczonych podziałów i odnawiania populacji, a także muszą mieć możliwość różnicowania się w komórki budujące tkanki i spełniające określone funkcje w organizmie. Innymi słowy, komórka macierzysta musi podzielić się na taką, która dalej będzie macierzystą i taką, która – pod wpływem aktywacji określonych genów i sygnałów z otoczenia – przekształci się w komórkę skóry, mięśnia, mózgu itp. Większość zwyczajnych, wyspecjalizowanych komórek ciała także potrafi się dzielić, ale tylko na taki sam typ komórek i tylko skończoną liczbę razy (zob. ramka). Komórki macierzyste są pozbawione tych ograniczeń.

Z embriologicznego punktu widzenia najistotniejszy jest podział komórek macierzystych ze względu na potencjał różnicowania się. Istnieją więc komórki *toti*-, *pluri*-, *multi*- i *unipotent*alne.

Komórkami o największym potencjale (najbardziej uniwersalnymi) są komórki *totipotencjalne*. Powstają z nich wszystkie typy komórek (co sugeruje przedrostek *toti*-), w tym łożysko, niezbędne w rozwoju płodowym. Komórkami *tipotencjalnymi* są zygota i komórki budujące zarodek, aż do piątego dnia ciąży, kiedy powstaje blastocysta, złożona z tzw. trofoblastu (prekursor łożyska) i skupiska *pluripotencjalnych* komórek macierzystych. Z nich również może powstać każda komórka organizmu, ale już nie łożysko (przedrostek *pluri*- oznacza „wiele”).

Komórka *multipotencjalna* jest prekursorem różnych typów komórek, ale wyłącznie w obrębie danej tkanki. Najmniejszą zdolność różnicowania się ma komórka *unipotent*alna. Jest to tak zwana komórka prekursorowa (*blast*), powstaje z niej tylko jeden rodzaj komórek, np.: hepatoblast przekształca się w hepatocyt, budujący wątrobę.

Ze względu na pochodzenie komórki macierzyste można podzielić na dorosłe (*somatyczne*), które są *multi*- lub *unipotent*alne, oraz *toti*- lub *pluripotencjalne* zarodkowe komórki macierzyste. Te pierwsze można znaleźć w wielu miejscach organizmu, gdzie odpowiadają za jego ciągłą odbudowę. W kryptach jelitowych odtwarzają nabłonek, który jest bez przerwy zluszczany przez masy pokarmowe, w warstwie podstawowej na-

skórka odtwarzają naskórek i warstwę rogową, w szpiku kostnym – krwinki itd.

Poszukiwania

O ile pierwsze użycie terminu „Stammzelle” można określić na osi czasu i wskazać jednoznacznie na jego twórcę, o tyle przyznanie zaszczytu odkrywcy komórek macierzystych nie jest takie proste. Pojęcie komórki macierzystej, jak już się przekonaliśmy, jest bardzo pojemne.

O rozwoju zarodkowym wiedzieli już starożytni Grecy. Arystoteles prowadził przecież badania nad embriologią zwierząt i tworzył teorie dziedziczenia. Prace nad komórką jajową i zygota trwały w Europie od dawna. William Harvey, XVII-wieczny angielski lekarz, stworzył zasadę *ex ovo omne vivum*. Twierdził, że każde, w tym „ssacze” życie pochodzi z jaja. Komórkę jajową u ssaka jako pierwszy odkrył Niemiec Karl Ernst von Baer w 1827 r. Natomiast ludzka komórka jajowa została opisana już po drugiej stronie Atlantyku przez odkrywcę estrogenów, Edgara Allena, w 1928 r. Przełomowym badaniom nad zygotami poświęcili się uczniowie Ernsta Haeckla, bracia Oskar i Richard Hertwigowie. Komórki prekursorowe krwi (czyli komórki macierzyste o stosunkowo niewielkim potencjale różnicowania się) zidentyfikowane zostały przez Ernesta McCullocha i Jamesa Tilla u myszy w połowie XX w. Ci sami badacze przyczynili się także do wyekstrahowania komórek pnia i popchnęli naprzód przeszczepy szpiku.

Embrionalne komórki macierzyste myszy wyizolowano po raz pierwszy w 1981 r. Po mysich embrionach przyszła pora na ludzkie. W 1996 r. embriolog z Wisconsin James Thompson zebrał 36 ludzkich zarodków pozostałych po procedurze zapłodnienia *in vitro* i z 14 z nich udało mu się wyizolować komórki macierzyste. Osadzone w idealnych do rozwoju warunkach inkubatora wytworzyły kolonie. Następnie Thompson umieścił w mysich macicach pojedyncze ludzkie komórki macierzyste, z których powstały trzy listki zarodkowe, czyli komórki prekursorowe dla skóry, kości, krwi, mózgu, mięśni i wszystkich innych tkanek.

Badania nad zarodkowymi komórkami macierzystymi, czyli tymi o największym potencjale różnicowania się, otwierają drogę do wielu terapeutycznych zastosowań, ale wywołują etyczne kontrowersje. Od niedawna znana jest jednak metoda, →

→ która pozwala całkowicie zrezygnować z wykorzystywania zarodków.

W 2006 r. japoński lekarz Shinya Yamanaka (Nagroda Nobla w 2012 r.) opublikował w „Nature” pracę opisującą niezwykle osiągnięcie – przekształcenie mysiej dorosłej komórki w komórkę macierzystą o podobnym potencjalnie, co komórka zarodkowa. To trochę tak, jakby z jajecznicy, jajka ugotowanego na twardo albo omletu uzyskać z powrotem świeże jajko – z którego można przyrządzić dowolną jajeczną potrawę. Yamanaka udało się znaleźć sposób, by tak postერować uaktywnianiem się konkretnych genów, by dorosłe, wyspecjalizowane komórki cofnąć w rozwoju.

W tym przypadku były to pobrane ze skóry myszy fibroblasty, które w normalnych warunkach przez resztę swojego komórkowego życia produkowałyby kolagen (białko zapewniające m.in. elastyczność ścięgien i skóry), nie mając żadnych szans, by zostać jakąś inną komórką organizmu.

Po czasie te wyspecjalizowane komórki cofały się w rozwoju do komórek macierzystych, mogących przekształcić się w dowolny rodzaj komórek organizmu. Przeprogramowane w ten sposób komórki macierzyste zaczęto nazywać „indukowanymi”. Rok później dwa zespoły: amerykański Thompsona i japoński Yamanaki stworzyły ludzkie indukowane pluripotencjalne komórki macierzyste (iPSC) z fibroblastów.

Metoda nie okazała się ani przesadnie droga, ani skomplikowana. Naukowcy na całym świecie wkrótce zaczęli ją udoskonalać sprawdzając, które dojrzałe komórki można przekształcić w iPSC, czym iPSC różnią się od embrionalnych komórek macierzystych i w jakie komórki można iPSC zróżnicować. Komórki macierzyste powstawały z keratynocytów, czyli komórki naskórka, hepatocytów występujących w wątrobie, limfocytów T pobranych z krwi obwodowej, a nawet z nerkowych komórek nabłonkowych uzyskanych z próbki moczu. Okazało się też, że iPSC nie różnią się praktycznie niczym od embrionalnych komórek macierzystych. Wyglądały tak samo pod mikroskopem. Produkowały te same białka i identyczne markery na swojej powierzchni. Tak samo mogły dzielić się w nieskończoność.

Cudowne terapie

Te wszystkie odkrycia, dokładne poznanie procesów różnicowania się komórek

Komórki macierzyste w pewnym sensie podzieliły los witamin C lub D₃.

Niektórzy próbują leczyć nimi wszystko, od autyzmu po zaburzenia erekcji.

W twórczym chaosie pojawiają się także pomysły pseudonaukowe.

Próbuje się sprzedawać **metody niesprawdzone i nieskuteczne**, a czasem nawet groźne.

i ich przekształcania w komórki wysoko wyspecjalizowane, a także coraz większe możliwości edycji genów rozbudziły ogromne nadzieje. W przyszłości można wyobrazić sobie w zasadzie wszystko. Powszechny dostęp do najnowszej medycyny, hodowla narządów do przeszczepu w szalkach, wypełnianie martwic po zawale serca komórkami macierzystymi, odbudowa mózgu po udarze, regeneracja zwyrodniałych stawów i przerwanego rdzenia kręgowego. Niczym nieograniczona możliwość naprawy własnego ciała, wymiany zepsutych części, załatania kilku dziur.

W dzisiejszych czasach najważniejsza okazała się odbudowa szpiku kostnego u chorych na nowotwory krwi. Tacy pacjenci po bardzo intensywnej chemii i radioterapii są niemal całkowicie pozbawieni własnego szpiku.

Co ciekawe, pierwsze próby terapeutycznego wykorzystania szpiku (i zawartych w nim komórek macierzystych, o czym jeszcze nie wiadomo) podejmowano na początku ubiegłego wieku. Szpik pobrany od zdrowych pacjentów był podawany doustnie, przez co jego efekt terapeutyczny można porównać do podania szpiku wolowego na łożysko z warzywami, czy choćby

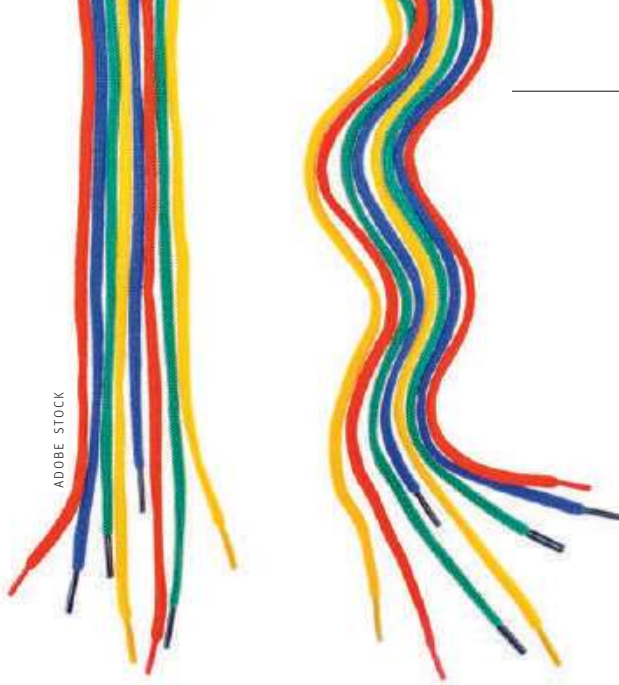
kaszanki. Pierwszy udany przeszczep szpiku wykonano w 1956 r. w Nowym Jorku pomiędzy bliźniakami, z których jeden zachorował na białaczkę. Dwa lata później we Francji Georges Mathé przeprowadził pierwszy przeszczep szpiku pomiędzy niespokrewnionymi osobami. Wówczas po terapii u sześciu pracujących wcześniej przy reaktorze jądrowym Jugosłowian wystąpiła choroba „przeszczep przeciwko gospodarzowi”. Komórki układu odpornościowego zawarte w przeszczepionym szpiku zaatakowały organizm biorcy. To wszystko odbywało się bez pełnego zrozumienia, czym właściwie są komórki macierzyste i jak działają.

Dopiero odkrycia wspomnianych wcześniej Tilla i McCullocha, a także kolejne dokonania naukowców, takie jak znalezienie innych źródeł macierzystych komórek krwi, opracowanie metod izolowania komórek macierzystych, stworzenie tzw. cytometru i wykrycie odpowiednich znaczników CD oraz białek sygnałowych kierujących rozwojem komórek macierzystych, pozwoliły na upowszechnienie terapii z wykorzystaniem tych komórek.

Okazało się, że poza szpikiem kostnym komórki macierzyste krwi (HSC) obecne są we krwi pępowinowej, a nawet we krwi obwodowej dorosłych osób. Wystarczyło więc opracować metodę uzyskiwania komórek macierzystych z pobranej z żyły krwi. Odpowiednio pozyskane od dawcy (którym może być sam pacjent), poddane pewnym procesom i zaaplikowane choremu komórki HSC potrafią w dość złożonym procesie zagnieździć się w niszy szpiku kostnego (w jamach szpikowych w kościach) i podjąć funkcję krwiotwórczą. Pacjent pozbawiony narządu, po przeszczepie komórek macierzystych znów go posiada.

Celem wielu naukowców stała się odbudowa uszkodzonych organów. Podjęto prace nad regeneracją właściwie wszystkich układów. Ten boom na medycynę regeneracyjną zaowocował wieloma istotnymi odkryciami.

W 2015 r. Komisja Europejska dopuściła do sprzedaży preparat Holoclar, w którym znajdują się komórki macierzyste rąbka rogówki. Ze zdrowego oka pacjenta pobiera się fragment rąbka, a zawarte w nim komórki macierzyste (unipotentne) namnaża i osadza na specjalnej membranie uformowanej w kształt nowej rogówki. Po usunięciu zniszczonej rogówki wszczepia się tę wyhodowaną.



Liczba Hayflicka

Zarówno komórki macierzyste, jak i wiele wyspecjalizowanych komórek potrafią

się dzielić – jednak tylko te pierwsze w nieskończoność. Leonard Hayflick określił liczbę podziałów, których dokonać może komórka, zanim umrze. Przyczyną tego ograniczenia są

skracające się telomery, czyli końcowe fragmenty DNA, często określane symbolicznie jako skuwki sznurówek. Po każdym podziale komórkowym kawałek tych skuwek jest ucinany, aż w końcu dochodzi do uszkodzenia materiału genetycznego i śmierci komórki. Jest to jedna z przyczyn starzenia się organizmu, choć warto pamiętać, że nie jedyna. Liczba ta dla ludzkich komórek określona jest na około 50 podziałów. Jednak komórki macierzyste z Hayflicka i jego zasady nic sobie nie robią. Posiadają bowiem telomerazę, która po każdym podziale odbudowuje ucięte skuwki, nadając im upragnioną nieśmiertelność. ©

Innym kierunkiem badań są próby pobudzenia dorosłych komórek macierzystych do podziałów i różnicowania. Sukcesem, na razie na niewielką eksperymentalną skalę, staje się wykorzystanie komórek macierzystych w leczeniu oparzeń. Prowadzone są też badania nad połączeniem przerwanego rdzenia kręgowego za pomocą takich komórek.

Takich terapii jest znacznie więcej. W 2018 r. w bazie PubMed pojawiło się blisko 30 tys. nowych artykułów naukowych na temat komórek macierzystych, a łącznie można ich tam znaleźć prawie 400 tys.

Próby stosowania tych terapii podejmowane są we wszystkich medycznych specjalizacjach od neurologii po ortopedię.

Złudne nadzieje?

Według wyszukiwarki clinicaltrials.gov obecnie na całym świecie trwa ponad 2300 badań klinicznych nad komórkami macierzystymi, ich efektywnością i skutkami. W tym tworzymy chaosie, jak to często bywa, pojawiają się także metody pseudonaukowe. Wykorzystując nadzieję związaną z medycyną regeneracyjną, próbuje

się sprzedawać metody niesprawdzone i nieskuteczne, a czasem nawet groźne. W amerykańskiej prasie co jakiś czas przeczytać można informacje o nieudanych, „eksperymentalnych” terapiach komórkami macierzystymi. Jedną z głośniejszych spraw została nawet opisana w 2017 r. przez medyczne czasopismo „New England Journal of Medicine” (NEJM).

Trzy starsze kobiety zgłosiły się do jednej z klinik, których w USA w ostatnich latach powstało setki, by wziąć udział w próbie terapii zwyrodnienia plamki żółtej za pomocą komórek macierzystych.

Już od początku ten „eksperyment” mógł budzić podejrzenia, ponieważ przed leczeniem pacjentki miały wpłacić po 5 tys. dolarów na konto kliniki. Poważne i wiarygodne ośrodki naukowe nigdy nie pobierają opłat za zgłoszenie się do badań klinicznych.

U chorych okulistycznie kobiet wykonano odsysanie niewielkiej ilości tkanki tłuszczowej, by z niej wyizolować komórki macierzyste. Następnie wszczepiono te komórki do obu oczu jednocześnie, co również nie jest typową praktyką w badaniach klinicznych. Wkrótce kobiety straciły wzrok, bowiem taki zabieg wiąże się z niebezpiecznymi komplikacjami: odklejenie siatkówki, krwotoki do gałki ocznej itd.

komórkami: odklejenie siatkówki, krwotoki do gałki ocznej itd.

Komórki macierzyste w pewnym sensie podzieliły los witamin C lub D3.

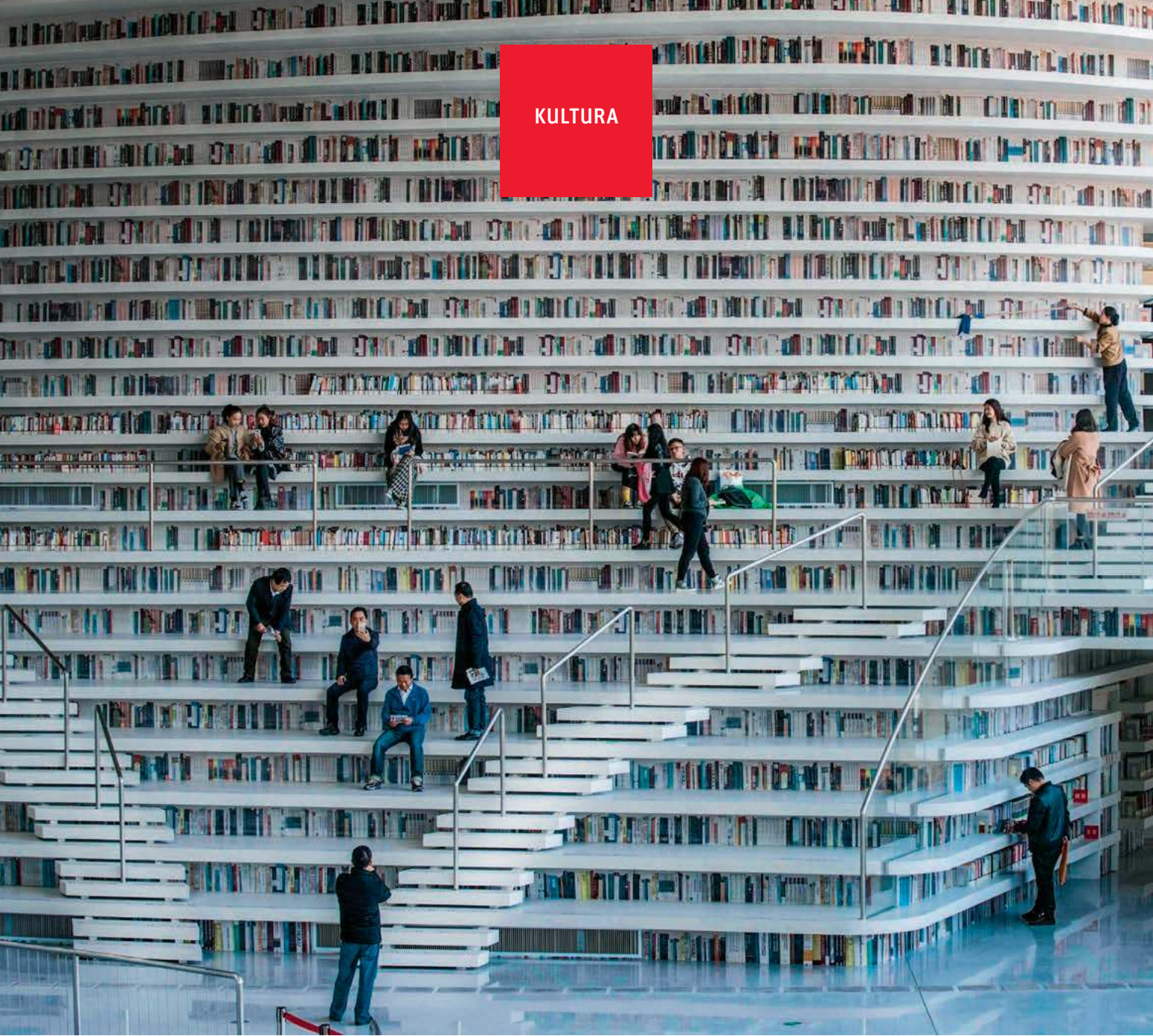
Niektórzy próbują leczyć nimi wszystko, od autyzmu po zaburzenia erekcji. W USA w drugiej dekadzie XXI w. powstały setki klinik oferujących właśnie takie leczenie. Według danych zebranych przez Leigh Turner i Paula Knoepflera, naukowców zajmujących się problemem nieuregulowanych terapii komórkami macierzystymi, w 2009 r. były dwie takie kliniki, a już w 2018 r. ponad 700. Najwięcej na Florydzie i w Kalifornii, gdzie często przenoszą się bogaci emeryci. Są łatwym łupem dla ośrodków oferujących wieczną młodość i długie życie bez nieuleczalnych chorób.

Profesor Józef Dulak, polski naukowiec od lat zajmujący się komórkami macierzystymi, w wywiadzie z października ubiegłego roku dla Polskiej Agencji Prasowej przestrzegał przed stosowaniem takich terapii: „Jeśli jednak ktoś wie, iż komórki macierzyste mogą przynosić świetny skutek w jednej chorobie – to nie wystarczy, żeby analogiczne terapie oferować do leczenia wielu innych chorób”. Coraz częściej także w Polsce pojawiają się kliniki na modłę zachodnią, oferujące za 2 tys. zł wygładzenie pomarszczonej twarzy z użyciem komórek macierzystych uzyskanych z krwi. Z kolei komórki pobrane z tłuszczu wyleczą stawy za 12 tys. Strony internetowe obiecują cuda, choć nie podają wielu faktów.

Profesor Andrzej Szczeklik, który jak nikt inny potrafił łączyć nowoczesną medycynę z humanistycznym i filozoficznym spojrzeniem, mówiąc o medycynie regeneracyjnej przytoczył kiedyś mit o Sybilli Kumańskiej. Apollo próbował uwieść Sybillę i obiecał, że spełni jej dowolne życzenie. Sybilla poprosiła o długie, tysiącletnie życie. Bóg spełnił jej życzenie, ale nie otrzymał w zamian jej serca. Sybillę spotkał gniew Apolla. A ponieważ nie poprosiła o wieczną młodość, starzała się w nieskończoność. Błagała Apolla o śmierć, ale obrażony bóg pozostał niewzruszony.

Komórki macierzyste uchylły przed człowiekiem drzwi do wiecznego życia w zdrowiu, dały szansę na stanie się Sybillą Kumańską XXI w. – tysiącletnią i zawsze młodą. Problem w tym, że może być to droga złudna, a drzwi wciąż są tylko uchylone.

© BARTOSZ KABAŁA



KULTURA

KSIEGI, OPTONY I LEKTANY

Pierwszego bestsellera autorstwa algorytmu
można się spodziewać w okolicach roku 2050.
Najpewniej będzie sprawnie napisanym kryminałem.

MACIEJ JAKUBOWIAK



Biblioteka w Tiencinie, Chiny, 2017 r.
Nie wszystkie książki są prawdziwe

pozwalającym łatwo przyswajać setki książek. Z innymi futurystycznymi wizjami bywa różnie: latające samochody ani turystyczne loty w kosmos wciąż nie są powszechne. E-booki stały się jednak codziennością, a kilka lat temu mogło się nawet wydawać, że papierowa książka stanie się przeżytkiem.

Problemu tego dotyka powieść rosyjskiego pisarza Władimira Sorokina „Maranaga” (przeł. Agnieszka Lubomira Piotrowska, Agora 2018). Kontekst nie jest tu specjalnie oryginalny: przez Europę przetoczyła się wielka wędrówka ludów, konflikty polityczne i etniczne oraz co najmniej dwie rewolucje islamskie, na gruzach dotychczasowych państw władzę objęły lokalne gangi. Sytuacja jest jednak w miarę stabilna, samoloty latają wszędzie, postęp technologiczny się nie zatrzymał, a w telewizji wciąż można oglądać że-nujące *reality show*.

Sorokin skupia się na jednym: „Dziewięćdziesiąt procent wydrukowanych przez ludzkość książek oddano na prze-miał lub po prostu wyrzucono na wysypiska, żeby nie zagrażały przestrzeni w mieszkaniach. Te pozostałe dziesięć, chronione w muzeach i bibliotekach, natchnęły zaś najlepszą część ludzkości niesamowitą pasją”. Tą pasją jest *book'n'grill* – niezbyt legalna, za to niezwykle popularna wśród bogaczy moda na grillowanie na podpałce z klasyki literatury. Książki nie palą się łatwo i bywają nieprzewidywalne, więc sztuka ich równomiernego spalania jest sownie opłacana.

Sam autor nie ustaje w serwowaniu żarcików opierających się na analogiach między „lekturą” rozumianą na sposób dzisiejszy a „lekturą” jako sztuką kulinarną („z pewnością, aby dobrze przeczytać książkę, kucharz wcale nie musi jej przeczytać”). „Maranaga” jest właściwie zbiorem mniej lub bardziej barwnych epizodów powiązanych osobą narratora. Zamiast jednak narzekać na literackie walory powieści Sorokina, lepiej przyjrzeć się wyobrażeniom i lękom związanym z tym, co może czekać książki w niedalekiej i nieco bardziej odległej przyszłości.

Cyfrowa tabliczka i słowa do słuchu

Jeszcze w latach 2011-12 miłośnicy zapachu papieru mogli się obawiać, że nie-

długo ich pasja stanie się anachronicznym dziwactwem lub w najlepszym wypadku ekskluzywną rozrywką. W tym czasie anglosaski rynek e-booków rósł w tempie blisko 50 proc. rocznie, a czasopisma masowo przenosiły się do internetu. Jednak w okolicach roku 2013 ten rozpęd uległ gwałtownemu zahamowaniu, rok później rynek odnotował pierwsze spadki.

Analitycy spekulują, że to wynik nasyce-nia rynku i opadnięcia pierwszej fali ekscytacji technologiczną nowinką. Zresztą technologia e-papieru nie rozwija się w nadzwyczajnym tempie: kolejne modele e-czytników są coraz ładniejsze i wygodniejsze w obsłudze, ale ich zasadniczy sposób działania nie uległ zmianie. I wciąż przegrywają z papierem pod względem wygody szybkiego kartkowania czy przekakiwania między rozdziałami. Elektroniczny papier, który pozwalałby nie tylko na czytanie, ale również robienie odręcznych notatek czy rysunków, przy zachowaniu dużej responsywności, pozostaje wciąż w fazie prototypów.

Wydawcy – w odróżnieniu od dystrybutorów muzyki – nie wymyślili też nowego modelu sprzedaży. E-booki wciąż sprzedaje się jak tradycyjne książki (tyle że przez internet), i nierzadko w podobnych cenach (w Unii Europejskiej przy-czynia się do tego wyższy VAT; w tym roku ma się to zmienić). Nie dotyczy to Amazona, który korzysta z dominującej pozycji (w 2017 r. należało do niego 80 proc. amerykańskiego rynku e-booków) oraz popularności swojego flagowego urządzenia, czytnika Kindle. Choć Amazon nie upublicznia danych sprzedażowych, to co jakiś czas sygnalizuje, że narzędzia skierowane m.in. do rosnącego grona self-publisherów przynoszą oczekiwane zyski.

W Polsce sytuacja wygląda nieco inaczej, bo na e-bookową falę załapaliśmy się z opóźnieniem. Ale choć rośnie ona w tempie około 20 proc. rocznie, to e-booki wciąż stanowią, według różnych szacunków, od 2 do 5 proc. całości rynku książki. Polacy są jednak w awangardzie pomysłów handlowych. Poznańska firma Legimi oferuje (na wzór Spotify) abonamenty pozwalające na dostęp do sporej bazy tytułów, a ArtRage (do niedawna BookRage), sprzedający e-booki w pakietach tematycznych w modelu „płacisz, ile chcesz”, przed dwoma laty wszedł na rynek fiński.

CZYTELNICZA RZECZYWISTOŚĆ DOGONIŁA wyobraźnię twórców *science fiction* gdzieś pod koniec lat 90., kiedy na mieszczącym się w dłoni elektronicznym ekranie można było przeczytać fragment powieści Stanisława Lema z 1961 r. „Powrót z gwiazd”: „Książki to były kryształki z utrwaloną treścią. Czytać można je było przy pomocy optonu. Był nawet podobny do książki, ale o jednej, jedynej stronicy między okładkami. Za dotknięciem pojawiały się na niej kolejne karty tekstu”.

Polski pisarz nie był pierwszy. Bob Brown, amerykański pisarz i satyryk, już w latach 30. w manifestie „The Readies” snuł marzenia o optycznym urządzeniu

FRED DUFOUR / AFP / EAST NEWS

→ E-czytelnictwo dominuje wśród osób młodych, które czytają też więcej niż czytelnicy tradycyjnych książek (według badań platformy Virtualo kupują nawet 30 książek rocznie). Można więc się spodziewać, że jeśli nie za 10, to już za 50 lat e-booki wyprzedzą papierowe książki. Kiedy obserwuję studentów polonistyki, którzy nie chodzą już obładowani kserówkami i książkami wypożyczanymi z Jagiellonki, lecz wpatrują się w pliki PDF na niewielkich ekranach smartfonów, nie mam wątpliwości, że wygoda dostępu do literatury w połączeniu z tanią i wygodną technologią w końcu okaże się decydująca.

Jednak zmiany technologiczne nie ograniczają się wyłącznie do tego, na czym czytamy. Aplikacje takie jak Spreeder czy Outread usiłują zmienić również to, jak czytamy. Dzieli elektroniczny tekst na drobne fragmenty – od jednego do trzech słów – które wyświetlają na ekranie z zadaną częstotliwością. Wymuszając skupienie oczu na jednym punkcie, obiecują nawet trzykrotne zwiększenie tempa czytania. To zmiana przede wszystkim fizjologii lektury – wędrujące po przestrzeni tekstu oko zostaje unieruchomione, a szybko uciekające słowa nie pozwalają na zatrzymanie się i zastanowienie nad jego znaczeniami.

Zresztą do czytania wcale nie musimy używać oczu. Cytując „Powrót z gwiazd” Lema w kontekście e-booków, zwykle pomija się fragment następujący tuż po opisie czytnika przyszłości: „Ale optionów mało używano, jak mi powiedział robot-sprzedawca. Publiczność wołała lektany – czytały głośno, można je było nastawiać na dowolny rodzaj głosu, tempo i modulację”. Lem miał na myśli raczej syntezatory mowy, ale książki słuchane – czyli audiobooki – same w sobie nie są niczym rewolucyjnym. Pierwsze, nagrywane na płytach winylowych, były produkowane już w latach 30. przez amerykańską Fundację dla Niewidomych. Stopniowo jednak zyskiwały popularność również wśród czytelników mogących wybierać między czytaniem drukowanych liter a głosem lektora. Rozwój technologii mobilnych, który poskutkował rozwojem podcastów, ułatwia również dystrybucję audiobooków. Ich udział w rynku książki znacząco rośnie, w 2017 r. w krajach anglojęzycznych wzrost sięgnął ponad 30 proc. Analitycy twierdzą, że ten trend tylko pozornie przypomina historię e-booków: książki do słuchania nie tyle przejmują udziały tradycyj-

nej książki, ile przyciągają nowych konsumentów.

Audiobookami najczęściej stają się książki przeznaczone pierwotnie do druku, ale i tu pojawiają się zapowiedzi zmian. Szwedzka firma Storytel, obecna również w Polsce, od niedawna zajmuje się tworzeniem własnych produkcji. Zachęcając autorów do nadsyłania propozycji, firma podkreśla, że powieści do słuchania mają przypominać seriale, z podziałem na odcinki odpowiadające krótkim okresom czasu, w których słucha się audiobooków (np. w drodze do pracy). Liczba wątków i bohaterów powinna być niezbyt duża, zdania – stosunkowo niedługie, nie ma tu miejsca na dygresje i formalne komplikacje. Do tej listy można by dodać, bez złośliwości, stałe epitety i regularny rytm – to w końcu nie przypadek, że ten format przypomina literaturę oralną, znaną z eposów Homera.

Proste historie

Nie jest żadnym zaskoczeniem, że zmiany w tym, jak czytamy, wpływają na to, co czytamy. I nie chodzi nawet o to, co w pełnych technologicznego optymizmu latach 90. wydawało się nieuchronną przyszłością pisania: hiperteksty czy utwory interaktywne, które dziś albo przekształciły się w gry, albo nabrały uroku *vintage* (niestrudzonemu badaczem tej tradycji i jej współczesnych kontynuacji jest w Polsce Piotr Marecki).

Wśród młodzięży ogromną popularnością cieszy się serwis Wattpad, pozwalający na publikowanie własnej twórczości bez pośrednictwa wydawców. Liczba użytkowników serwisu rośnie błyskawicznie – na początku roku odwiedzało go 65 mln osób miesięcznie, a udział tych, którzy coś w serwisie opublikowali, wynosi ponad 50 proc. Twórczość publikowana na Wattpadzie to w dużej mierze najróżniejsze odmiany *fan fiction* – twórczości fanowskiej, która wcześniej znajdowała dla siebie miejsce na forach internetowych. W ubiegłym roku Netflix wyprodukował serial dla nastolatków „The Kissing Booth” na podstawie opublikowanej na Wattpadzie powieści Beth Reekles.

Po komercyjnym sukcesie „Pięćdziesięciu twarzy Greya” E.L. James stało się jasne, że *self-publishing* może się opłacać. Choć za publikowaniem własnego pisarstwa stoi często po prostu potrzeba ekspresji, to wielu autorów traktuje pisanie jak każdą inną działalność gospodarczą: iden-

tyfikują grupę docelową i dostosowują produkt do jej potrzeb. Sprawdza się to szczególnie na prężnym rynku self-publishingowym stworzonym przez Amazona, a w jego analizie pomagają takie narzędzia jak KDSPY, który pozwala na wynajdywanie tego, czego poszukuje każdy przedsiębiorca: opłacalnych nisz, w tym wypadku gatunkowych i tematycznych. Komedia romantyczna o właścicielach buldogów? Proszę bardzo.

Jeśli jednak chce się poważnie myśleć o innowacyjnych trendach na rynku książki (i na każdym rynku), warto rzucić okiem na Chiny. Analityczka rynku reklamowego Connie Chan wskazuje na kilka obecnych tam trendów w sprzedaży e-literatury: w przypadku niektórych tytułów bezpłatnie dostępne są dwie trzecie tekstu, zapłacić trzeba dopiero za chęć doczytania do końca; inne książki ukazują się w niewielkich fragmentach – jedna z popularniejszych liczy już sobie 10 tys. takich mikrorozdziałów. Czytelnictwo jest napędzane przez połączenie elementów społecznościowych i rywalizacji (np. czytania na wyścigi). Kluczowe jest błyskawiczne reagowanie na to, co się odbiorcom podoba, a co nie.

Nieuchronnie idzie za tym standaryzacja pisarstwa, które nie próbuje stawiać czytelnikom wyzwań, lecz zaspokajać ich oczekiwania. Ten proces nie omija również ambitniejszej literatury. W 2014 r. na łamach „Guardiana” brytyjski autor Will Self narzekał, że rozwijająca się branża kursów kreatywnego pisania neutralizuje to, czemu ma służyć: kreatywność. Wśród absolwentów tego rodzaju programów – które zaczynają się pojawiać również na polskich uniwersytetach – są dziś nawet laureaci Nagrody Nobla, Orhan Pamuk czy Kazuo Ishiguro, jednak krytycy szkół pisania – m.in. Jonathan Franzen czy Hanif Kureishi – twierdzą, że w przeważającej mierze prowadzą one do powstawania co prawda dobrze zrobionych, ale przewidywalnych i mało zajmujących powieści. Można z tym oczywiście polemizować, nie ulega jednak wątpliwości, że postępująca profesjonalizacja pisarstwa z konieczności wiąże się z utrwalaniem reguł, których przekraczanie bywało dotąd uznawane za synonim literackości.

Trudno też dyskutować z faktem, że korzystanie z internetu i mediów społecznościowych wpływa na nawyki lekturowe, które w konsekwencji odbijają się na samej literaturze. Przed kilku laty Jacek Du-

kaj przekonywał, że za sukcesem trylogii Stiega Larssona stoi m.in. rozpoznanie przez autora skracających się okresów nałożenia uwagi – krótkie i pisane ze zmieniających się perspektyw rozdziały po prostu lepiej się czyta ludziom przyzwyczajonym do przyswajania treści w sieci.

Dzień, w którym komputer napisał powieść

Jeśli jednak literatura w coraz większym stopniu ulega standaryzacji, to może do jej pisania wcale nie są potrzebni ludzie? W końcu inteligentne pchły, z których korzysta bohater Sorokina, potrafią nie tylko na bieżąco analizować otoczenie i rozpoznawać zapachy; umieją też zabawić się w literackie pastisze: „Młoda krew zew poczuła, wciąż wrze i burzy się w żyłach? O, gorąca transylwańska krew, bogato zrosiła swą ziemię...”.

Historia eksperymentów z wykorzystaniem algorytmów komputerowych do generowania tekstów literackich sięga lat 50. Jednak dopiero ostatnie postępy w rozwoju sztucznej inteligencji (SI) pozwalają poważnie myśleć o możliwości zastąpienia pisarzy przez komputery. W końcu skutecznie rozpracowały już grę w szachy i w go. Ale znacznie mniej sformalizowany język naturalny jest nieco większym wyzwaniem.

Do niedawna nawet jego rozumienie było dla algorytmów trudne. Na początku ubiegłego roku zespół badaczy pracujących dla chińskiego koncernu Alibaba (do którego należy popularny, również w Polsce, sklep internetowy AliExpress) ogłosił jednak, że opracowany przez niego program w teście Stanford Question Answering Dataset osiągnął wynik wyższy (o 0,11 proc. punkta procentowego) od tego, jaki średnio uzyskują ludzie. Algorytm koncernu Alibaba nie radzi sobie (jeszcze) z pytaniami, które są niejasne lub niegramatyczne, ale to, co udało się osiągnąć, i tak powinno wystarczyć do zwiększenia wydajności zautomatyzowanej obsługi klienta.

W 2016 r. świat obiegła wiadomość, że napisana przez SI powieść „Dzień, w którym komputer napisał powieść” przeszła pierwszy etap kwalifikacji do japońskiej nagrody Nikkei Hoshi Shinichi Literary Award. Po bliższym przyjrzeniu okazało się jednak, że udział algorytmu w tworzeniu tekstu wyniósł około 20 proc. – to programiści w dużej mierze określili strukturę tekstu i stworzyli zasób fraz, które komputer następnie dopasowywał jak

Zamiast pisać słabe powieści
o końcu literatury,
lepiej pisać powieści świetne.

W najgorszym wypadku
będzie przynajmniej
czego żałować.

puzzle. Ponadto pierwszy etap eliminacji prawdopodobnie (organizatorzy nie zdradzają szczegółów) dotyczy spełnienia warunków formalnych. Jak pisał Jacob Brogan na łamach „Slate”, prawidłowe wypełnienie formularzy zgłoszeniowych to rzeczywiście zadanie, z którym komputery radzą sobie lepiej.

W tym samym roku głośno było o sukcesie krótkometrażowego filmu *science fiction* zrealizowanego na podstawie scenariusza napisanego przez SI. „Sunspring” (film łatwo znaleźć na YouTube) powstał w ramach konkursu na obraz wyprodukowany w 48 godzin podczas festiwalu filmowego Sci-Fi London. Twórcy algorytmu kazali mu przeanalizować dziesiątki scenariuszy filmów *science fiction* z lat 80. i 90., a następnie wygenerować własny, oryginalny tekst. Profesjonalni aktorzy, którzy występują w „Sunspring”, dodają całości dramatyzmu, jednak same dialogi szybko grzęzną w rozpaczliwych powtórzeniach („– Co masz na myśli? – Nie wiem. – Nie rozumiem, co masz na myśli. – Nie wiem”) i nieco bełkotliwych metaforach.

Według ankiety przeprowadzonej przez Future of Life Institute wśród specjalistów branży SI pierwszego bestsellera autorstwa algorytmu można się spodziewać najwcześniej w okolicach 2050 roku. A jeśli się ukaże, najpewniej będzie sprawnie napisanym kryminałem. Zanim to nastąpi, lepiej sięgnąć po ubiegłoroczną powieść Łukasza Zawady „Fragmenty dziennika SI” albo śledzić literackie popisy algorytmów na stronie literai.com, która dostarcza też przystępnych instrukcji uruchomienia ich na własnym komputerze.

Stare obawy i niespełnione proroctwa

Jeśli powstrzymanie inwazji e-booków, miliony młodych ludzi piszących w internecie i chwilowa nieporadność sztucznej

inteligencji mogą napawać optymizmem, to nie należy zapominać, że literatura mierzy się dziś ze znacznie większym wyzwaniem: wypieraniem pisma przez obraz.

Zamiast czytać powieści oglądamy seriale, dowcipne historyjki zostały zastąpione przez memy, wspomnienia z wakacji sprowadzają się do tysięcy zdjęć. Sprawne pisanie i rozumienie tekstów, choć wciąż stanowi podstawę szkolnej edukacji, straciło niegdyśszy czar. Dla komentatorów młodzież wpatrzona w smartfony, skrolująca bez ustanku *feed* obrazów i nieposiadająca żadnej wiedzy oprócz tej, którą może szybko zgugłować – to naoczny dowód na upadek kultury.

Epoka postpiśmienna – jak nazywa ją Jacek Dukaj w wywiadzie zapowiadającym książkę eseistyczną „Po piśmie”, mającą się ukazać w tym roku – będzie miała głębsze konsekwencje. Myślenie przyczynowo-skutkowe zostanie zastąpione „wielowymiarową mapą skojarzeń zmysłowych”, od skupienia na przedmiocie ważniejsza będzie intensywność doznań, a chłodny dystans martwego pisma ustąpi miejsca natychmiastowości i bezpośredniości wrażeń. Miejsce powieści – by rzecz nieco uprościć – zajmie wirtualna rzeczywistość. I tak dalej...

Wobec takich prognoz warto jednak pomyśleć o współczesności jako spełnionej przyszłości. W końcu mający rychło nadejść koniec literatury – a wraz z nią: rozum, kultury, cywilizacji, humanizmu, człowieka – był zapowiadany wielokrotnie. Miała zostać ukatrupiona przez: internet, wyczerpanie kultury, telewizję, radio, prasę, rynek, romantyzm, ruchome czcionki, języki narodowe, inwazję barbarzyńców. Z dzisiejszej perspektywy szczególnie zabawnie brzmią dyskusje toczone w połowie XIX wieku o roli, jaką w zagładzie literatury odegra powieść. Takich błędów lepiej już dziś nie powtarzać.

© MACIEJ JAKUBOWIAK



MACIEJ JAKUBOWIAK będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 30 stycznia o godz. 15.40
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Taka magia

MARCIN MASECKI, MUZYK I KOMPOZYTOR:

Kiedyś ludzie tłukli się podczas wykonania „Święta wiosny”. Chciałbym uczestniczyć w wydarzeniu kulturalnym, które by tak podzieliło publiczność. Jak Jean Cocteau, który mówił: „Jaka to przyjemność, oklaskiwać Strawińskiego na policzku sąsiada!”.

KAROLINA KOLINEK-SIECHOWICZ:

„Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego dostała trzy nominacje do Oscara. Miałeś w tworzeniu tego filmu znaczący – muzyczny – udział. Myślisz, że to film bardziej o miłości czy o muzyce?

MARCIN MASECKI: O stracie i pustce.

Opowiedzianej muzyką.

I obrazem.

Ale muzyka mówi w tym filmie bardzo dużo, niesie zawołane komunikaty. Pomysł z wykorzystaniem „I Loves You, Porgy” George’a Gershвина w scenie pierwszej próby z udziałem Zuli i Wiktora był Twój, czy reżysera?

Paweł nakreślił nam sens tej sceny. Bohaterowie spotykają się, jest próba. Powoli, w jej trakcie, przestaje być technicznie i zaczyna być romantycznie. Takie było zamówienie. A potem był bardzo ładny proces wyłaniania się tej sceny. To się działo między Pawłem, mną, Asią Kulig a Tomkiem Kotem. Ciężko ustalać, co kto wymyślił i kto jest za co odpowiedzialny. To są najfajniejsze momenty tworzenia. Znienawidzone przez prawników, ale dla nas, twórców, są super. Śpiewane w tej scenie dla rozgrzewki „aaa” po trójdźwięku naturalnie połączyło mi się z pierwszym pasażem „I Loves You, Porgy”, gdy akurat skanowałem w głowie piosenki z tamtych lat.

Czujesz się współtwórcą?

Do pewnego stopnia, ale nie aż tak, jak by tego chciały media. Zrobiłem aranżacje i byłem na planie filmowym przez dwa tygodnie, zaprzyjaźniłem się z ekipą. Na pewno nie jestem autorem ścieżki dźwiękowej, choć wszyscy bardzo by tego chcieli. Prócz „Porgy” zrobiłem aranż do dwóch piosenek, podłożyłem ręce pod

kawałek Chopina, nagrałem muzykę do fragmentów, które dzieją się w Paryżu. To akurat jest dość ważna scena: Wiktor gra koncert w klubie jazzowym i w pewnym momencie zaczyna odchodzić od tematu. W jego improwizacji pojawiają się różne motywy z przeszłości, mieszają się ze sobą. Zrealizowałem pomysł Pawła, byłem do brym narzędziem.

Było mi bardzo miło podczas pracy. Bo Paweł to super gość, aktorzy też. Wynikły z tego zresztą kolejne projekty – zaprzyjaźniliśmy się z Agatą Kuleszą i Asią Kulig, razem z Asią występowaliśmy w Los Angeles. Wspaniałe konsekwencje!

Gdybym był trochę sprytniejszy – karierowo i marketingowo – pewnie lepiej bym to wykorzystał. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że jest taka kategoria w Oscarach jak „Piosenka z filmu”. Myślę, że mogliśmy bardziej zawalczyć o „Dwa serduszką” – przecież to hit!

Ta piosenka już żyje własnym życiem, niezależnie od nagród. Kojarzymy Cię z atmosferą kameralnego koncertu, przy rozstrojonym pianinie, choćby w warszawskim Barze Studio. Wydałeś się wtedy bliższy słuchaczowi...

Koncert, *jam session*, nagranie – sytuacje, w których muzyka się wydarza, kiedy kreuje wspólnotę – są dla mnie najważniejsze i najciekawsze. Wtedy tworzenie muzyki staje się rytuałem. Tak jest w Barze Studio, kiedy gramy po godzinach. Zmieniamy się przy instrumencie, ten zagra, tamten zagra, ta zaśpiewa, ten zatańczy. Wtedy granica między wykonawstwem a byciem w dźwięku, nazywaniem swojej tożsamości, kompletnie się rozmywa. To moje ulubione chwile.

Bez sztywnego podziału na oklaskujących i oklaskiwanych.

W kulturach prymitywnych muzyka wciąż tak działa. Jest częścią życia, codziennych wydarzeń. Nie jest obiektem i nie jest oddzielona od ludzi, słuchaczy.

Dla Ciebie jest częścią życia? Wyrażasz poprzez muzykę coś, czego nie mógłbyś wyrazić w słowach?

Bo ja wiem? Bardzo dobrze gram na instrumencie – mam to szczęście. I... Nie wiem, co powiedzieć... Muzyka to jednak jakaś taka magia jest.

Myślisz czasem muzyką? Kiedy grasz, to masz poczucie, że w Twojej głowie już nie ma słów i myśli, tylko cały czas płynie muzyka?

W pierwszy dzień świąt mieliśmy w Los Angeles dzień wolny. Poszliśmy całym zespołem do Venice Beach, na plażę, i spotkaliśmy się tam z Asią Kulig i kilkoma osobami z jej świty. Potem pojechaliliśmy do znajomych w Hollywood. Było bardzo miło – bigos, pierogi, ryby... W pewnym momencie – odpowiadam na twoje pytanie – zaczęli mnie pytać, czy wszystko ze mną w porządku. Oczywiście wszystko było w porządku, ale już tak mam, że wolałbym grać na pianinie, niż o czymś mówić.

Zanim uciekniesz do pianina, opowiedz o swojej Kalifornii. Wiąże się z nią kawałek Twojego dzieciństwa. Czujesz się tu jak w domu?

Raczej jak w domku letniskowym. Mieszkalem dwa lata w San Francisco, kiedy miałem siedem-osiem lat. Mój ojczym jest Amerykaninem, więc dużo mnie z tutejszą kulturą łączy. Kiedyś przyjechaliliśmy na wycieczkę do Disneylandu i zafascynowałem się ragtime’ami, granymi przez pianistę w barze jak z westernu. Więc może odbywam teraz małą pielgrzymkę do początków swojej muzycznej wrażliwości.

To też w jakimś sensie pielgrzymka do źródeł repertuaru Jazz Bandu Młynarski-Masecki. Występowaliście tu w Cicada Club, który od czasów Złotej Ery Swingu niewiele się zmienił.

Tak, choć jazz stał się już dawno muzyką ponadnarodową. Nasza, polska wersja jazzu też jest specyficznie zabarwiona, co może być ciekawe. Wydaje mi się, że gdyby ze Stanów do Warszawy przyjechała grupa tańcząca po swojemu mazurki, tobym ich chętnie zobaczył.



MARCIN MASECKI (ur. 1982) jest pianistą. Ukończył Berklee College of Music w Bostonie. Jako solista w repertuarze klasycznym reprezentuje „estetykę usterki”. Nagrał wiele płyt – jako solista i jako członek zespołów. Ostatnio ukazał się album „Noc w wielkim mieście” Jazz Bandu Młynarski-Masecki – nagrany na podobieństwo polskich orkiestr jazzowych okresu międzywojennego, lecz w nowoczesnych aranżacjach, i płyta z Barbarą Kingą Majewską, „Taratil 'id al-milad”, zawierająca polskie kolędy śpiewane po arabsku. Jest autorem muzyki do filmu „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego.

Marcin Masecki z Janem Młynarskim podczas koncertu Młynarski-Masecki Jazz Camerata Varsoviensis „Fogg – pieśniarz Warszawy”, 10 grudnia 2018 r.

MARCIN OBARA / PAP

Taneczny charakter Waszych piosenek został jednak wystawiony na próbę – dość trudno byłoby zatańczyć na przykład do słynnego już „Nikodema” z efektem zacinającej się płyty.

Dałoby się, tylko trzeba mieć bardzo otwartą głowę.

Wbrew pozorom nie jest to muzyka popularna – więc nie od razu wszystko się zgadza. Trochę podobnie było z moimi polonezami. Na początku wydawało mi się, że wszędzie będą działać. Na festiwalach ludowych, na festiwalach jazzowych, na klasycznych. Ale „wszędzie” znaczy „nigdzie”. Na festiwalach folkowe były zbyt klasyczne, na klasyczne za mało awangardowe, na jazzowe za mało jazzowe.

Nasze piosenki też nie działają jak oryginalna muzyka użytkowa, na której się wzorują.

Potrzeba odświeżania repertuaru z przeszłości – nawiązujecie do polskiej muzyki dwudziestolecia międzywojennego – to objaw retromanii?

Skąd w nas taka nostalgia za minionym?

To efekt cyklicznego kryzysu cywilizacyjnego. Jesteśmy u schyłku czegoś i desperacko czepiamy się przeszłości.

Czy projekty, w których sięgasz po muzykę sprzed wieków, też są czymś w rodzaju retromanii?

Przeszedłem specyficzną drogę artystyczną – byłem kształcony i rozwijany w dwóch równoległych kierunkach jednocześnie. Był to jazz i muzyka klasyczna. Dlatego naturalne jest dla mnie używanie narzędzi jednego gatunku w tym sąsiednim. Dziwi mnie raczej to, że wszyscy grają ciągle tak samo.

Dla kogo jest ta Twoja muzyka?

Nie wiem. Oczywiście w pierwszej kolejności „dla mnie”, bo taka już jest ta nasza europejska narracja. Można by się długo zastanawiać, właściwie czemu? Bo można też powiedzieć, że każda sztuka, każdy utwór jest tak naprawdę dla nikogo. Nie wiem, czy można – nie znając dogłębnie

utworu i nie śledząc partytury – odebrać go inaczej niż jako chmurę ładnej muzyczki.

Ze zderzenia kultur powstała Twoja nowa płyta z Barbarą Kingą Majewską, „Taratil 'id al-milad”. Polskie kolędy po arabsku. Bardzo poruszające.

To był pomysł Barbary. Kiedy mi o tym opowiedziała przez telefon, poczułem, jakby płyta już została nagrana. Rzecz się zawiera w koncepcji: gramy wolno kolędy polskie po arabsku, w tonacjach mólowych. 99 procent roboty zostało wykonane już w tym momencie. Cały pozawerbalny, najważniejszy przekaz muzyczny dokonuje się już na tym etapie.

I nie przeszkadza Ci, że pozawerbalny przekaz dopuszcza taką mnogość interpretacji?

One należą do ludzi.

Ty też nie pytałbyś Bacha, co myśli o Twojej interpretacji?

→

→ Nie, nie czuję się zobowiązany opiniami postaci z przeszłości. Ale przez jakiś czas byłem bardzo poruszony ruchem wykonawstwa historycznego. To było dla mnie super ciekawe – takie podróżowanie w czasie, trochę widziane jakby z perspektywy dziecka: że można naprawdę spróbować przenieść się w czasie. Odkrywanie tej rzeczywistości było dla mnie bardzo wzruszające i fascynujące, takie projekcje, wyobrażanie sobie, czym mogłaby być przeszłość. Ale to przecież nie ma związku z wiernością komuś albo jakiejś idei.

Różnorodność muzyki jest ogromną wartością naszej dziwnej epoki. Możemy używać muzyki do celów czysto rozrywkowych, do celów religijnych, do celów wzniosłych, do celów żartobliwych.

Nikt się już tym nie oburza.

Już nie. Kiedyś ludzie tłukli się podczas wykonania „Święta wiosny” Igora Strawińskiego, i jest w tym coś pociągającego. Chciałbym uczestniczyć w wydarzeniu kulturalnym, które by tak podzieliło publiczność.

I dostać pomidorem?

Albo komuś dać pomidorem. Jean Cocteau mówił: „Jaka to przyjemność okłaskiwać Strawińskiego na policzku sąsiada!”.

W Los Angeles Jazz Band Młynarski-Masecki grał piosenki z płyty „Noc w wielkim mieście”. Sięgacie do przedwojennych polskich piosenek, które w większości były pisane do filmów. Przywracacie muzykę, która była nie tylko zapomniana, ale też zepchnięta na margines, między innymi z powodu żydowskiego pochodzenia wielu jej twórców.

Ona leciała u mnie w domu, była soundtrackiem mojego dzieciństwa. Stawiam więc świetny budulec dla mitu, fundamentu tożsamości. Polska jest w newralgicznym momencie, a ja nie jestem nacjonalistą.

Ta muzyka powinna być naszą klasyką. Ale nie chodzi o to, żeby ją gloryfikować. Po prostu byłoby świetnie, gdybyśmy potrafili wspólnie śpiewać te piosenki.

© Rozmawiała

KAROLINA KOLINEK-SIECHOWICZ



Uwięzione w gobelinie

ANITA PIOTROWSKA

Yorgos Lanthimos często nadaje swoim historiom archetypiczny porządek, który następnie zaburza i wywraca. W „Faworycie” (aż 10 nominacji do Oscara!) trującą igraszką staje się dyktando władzy.

NA NASZYCH EKRANACH MOŻNA JUŻ ZOBACZYĆ „Marię, królową Szkotów” Josie Rourke, czyli kolejną mroczną grę o tron z czasów elżbietańskich, na dodatek uwikłaną w wojnę płci oraz kobiecy dyskurs ciała i władzy. Towarzyszą jej dywagacje, na ile krwawe widowisko, a zarazem traktat o cenie, jaką kobiety płacą za polityczne zwycięstwa, może rozmijać się z historyczną prawdą. Od takich spekulacji wywinął się grecki reżyser Yorgos Lanthimos, który w filmie „Faworyta” potraktował królewski dwór z właściwą sobie dezynwolturą – niczym wielką szachownicę, a zarazem wielką piaskow-

nicę. Obie szczelnie odgródzone od reszty świata i lekko przechylone.

Operator Robbie Ryan filmuje pałac brytyjskiej królowej Anny (w tej roli przepyszna Olivia Colman) z takiej właśnie perspektywy – przekrzywionej, zniekształcającej przestrzeń. Za pomocą obiektywów szerokokątnych czy „rybiego oka” tworzy efekt zamknięcia w bogato zdobionej bańce. Dworskie zabawy, jak wyścigi kaczek czy obrzucanie owocami pulchnego golasa, przedstawia w zwolnionym tempie, wydobywając z tych niewybrednych uciech cały ich żalosny absurd. W naturalnym świetle świec i ognia z kominków rozgrywa się bowiem groteskowy teatr dworski z pierwszych lat XVIII wieku, w którym seksualność i władza stanowią najbardziej udany sojusz.

Podczas gdy mężczyźni walczą na wyniszczającej kraj wojnie z Francją bądź toczą polityczne spory, kobiety prowadzą własne batalie, czasem nie mniej cyniczne i krwawe – szczególnie między sobą. Oto Sarah, księżna Marlborough i żona dowódcy wojsk, wieloletnia zausznicza i nałożnica królowej, grana przez Rachel Weisz, musi stawić czoło nowej, młodszej faworycie o imieniu Abigail (Emma Stone), czyli własnej kuzynce i zubożałej arystokratce przygarbionej niedawno przez dwór. Podobne rywalizacje kino zwykle przedstawiać umieszczając w ich centrum monarchów płci męskiej, przez co przypominały one seksowne, przynajmniej dla niektórych,



MATERIAŁY DYSTYBUTORA

Emma Stone w filmie „Faworyta”

walki w kisielu. Na szczęście nie tym razem.

Twórca „Kła” czy „Zabicia świętego jelenia” często nadaje swoim historiom archetypiczny porządek, który własnoręcznie zaburza i wywraca. Bawi się w ten sposób naszą potrzebą mitu, a na koniec, niczym mitologiczny Sfinks, pozostawia z gryzącą zagadką. W „Faworycie” taką trującą igraszką staje się dyalektyka władzy, ubrana w ciężkie suknie i lekkie, błyskotliwe dialogi. Największą zagadką pozostają tu jednak uczucia.

Lanthimos to filmowiec rozmyślnie ahistoryczny. Nie dba o realne zasługi królowej Anny czy kontrowersje wokół nich. Bardziej niż dworskie intryki i wielka polityka interesuje go lesbijski epizod życia monarchini, bo generuje on ekscytującą opowieść o kobiecym trójkącie zazdrości, która przyjmuje w filmie rozmaite, często zaskakujące wektory i jakże zmienną dynamikę. Władza królowej – zdzieciniałej, schorowanej i kapryśnej – ma tu charakter fantomowy. Kiedy sporządzoną przez siebie miksturą na podagrę Abigail wkupia się w królewskie łaski, już tylko kilka kroków dzieli ją od zarządzania dworem z tylnego siedzenia, a właściwie z królewskiej sypialni. Nie przypadkiem marzące o awansie damy dworu filmowane bywają tak, jakby wpisane zostały w wiążące na ścianach barokowe gobeliny. Najbardziej mordercze kobiece wojny toczą się bowiem o to, by stać się w pałacu kimś więcej niż wymiennym elementem deko-

ratorskim, marionetką czy przedmiotem transakcji. Abigail, przehandlowana ongiś przez własnego ojca, ów prymitywny mechanizm dominacji opanowuje do perfekcji, idąc po trupach zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Prawdziwą faworytą filmu Lanthimosa jest jednak sama władczyni. Dojrzała i odważna aktorko Colman w roli Anny ani na moment nie zastyga w płaską karykaturę królowej rodem z „Alicji w Krainie Czarów”. Jej umysłowa ociężałość, fatalne zauroczenia, a nawet dziwaczne zrazu fanaberie, jak „adopcja” siedemnastu królików, tworzą tragicomiczny portret kobiety cierpiącej i poświęcającej siebie na świeczniku historii. Prawdziwą zresztą władzę ustanawia w tym filmie nie tyle korona czy łóżkowe hierarchie, co samo położenie i ruchy kamery. Bywa, że sunie ona tyłem po pałacowych korytarzach, wycofując się usłudze w obliczu symbolicznego majestatu, to znów, najczęściej w plenerach, podąża za postaciami, z pozoru bardziej poufała i swobodna. Czy natura, napiętność, szaleństwo zdołają ostatecznie pokonać sztywny rytuał? Finalna odpowiedź Lanthimosa okaże się zaskakująca, bo przekieruje ten konflikt w zupełnie inne rejony, poruszając przy okazji struny głęboko ludzkie.

W „Faworycie” zamiast krzywego zwierciadła dostajemy zamknięty w ośmiu rozdziałach film podwójnie kostiumowy. Pomimo ciężaru materii oglądamy na ekranie pełnokrwistych ludzi – odgrywających z lepszym lub gorszym skutkiem swoje codzienne role, w tym również płciowe, uwięzionych na zawsze w pałacowym gobelinie. Na ścieżce dźwiękowej, prócz muzyki dawnej, w tym napisanej przez Haendla „Ody na urodziny królowej Anny”, słychać też brzmienia współczesne: masywne, zgrzytliwe, zwiastujące nieubłagalnie zły czas i wybudzające nas co chwila z pociesznej maskarady. Tak oto autor „Lobstera” pod kilogramami biżuterii i pudru, w cieniu ambicji i żądz, pośród wygiętych kątów, połamanych dźwięków i fałszywych min, odnalazł najczystsza historię miłosną – „o tych, co nigdy nie odnajdą straty”. Być może dokonał tym samym największego przekroczenia w całej swojej ekstrawaganckiej, zimno-spekulatywnej twórczości. I chwala mu za to. ©

FAWORYTA (*The Favourite*) – reż. Yorgos Lanthimos. Prod. Irlandia/USA/Wielka Brytania 2018. Dystryb. Imperial – Cinepix. W kinach od 8 lutego.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [2 – 8 II]

1. Lady Bird



Komediodramat, reż. Greta Gerwig, USA 2017, Canal+, 2 II, 21.00, Canal+ 1, 2 II, 22.00

Pierwszy film samodzielnie

nie wyreżyserowany przez znaną aktorkę to jeden z najuczciwszych w amerykańskim kinie portretów dorastania, oparty zresztą na osobistych doświadczeniach Gerwig. Wyśmienita Saoirse Ronan wciela się w postać dziewczyny z prowincji, która staje w obliczu najważniejszych w życiu decyzji.

2. Muzyka obcych



Dokumentalny, reż. Morgan Neville, USA 2015, Sundance TV, 4 II, 20.25

W 1998 r. wiolonczelista Yo-Yo Ma zainicjował Silk

Road Project, który miał inicjować i promować współpracę pomiędzy muzykami z różnych kręgów kulturowych. Efektem jest muzyczna podróż niedysiejszym Jedwabnym Szlakiem, którą sfilmował twórca oscarowego dokumentu „O krok od sławy”.

3. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham



Dokumentalny, reż. Paweł Łoziński, Polska 2016, TVP2, 5 II, 23.00

Matka i dorosła córka

spotykają się w gabinecie psychoterapeuty Bogdana de Barbaro. Kamera nie miałaby tam prawa wstępu, ale dzięki eksperymentowi Łozińskiego jesteśmy świadkami fascynującego procesu, który pozwala bohaterkom dotrzeć do tego, co dotychczas pozostawało niewypowiedziane.

4. Listopad



Horror, reż. Rainer Sarnet, Estonia/Holandia/Polska 2017, Cinemax, 3 II, 8.00, 18.05

Filmy grozy inspirowane

folklorem mają ostatnio dobrą passę (nowe-
lowy „Atlas zła” czy „Czarownica: Bajka ludowa z Nowej Anglii”). Estoński reżyser przenosi na ekran powieść Andrusa Kiviräha, w której spotykają się rozmaite motywy, w tym również z lokalnych wierzeń, tworząc rzecz chwilami straszną, a chwilami zabawną.

Pośmiertne życie zimnej wojny

JAKUB MAJMUREK

Gdy wolny świat objął swoimi granicami całą Europę, utraciliśmy obiekt marzeń i aspiracji. Co by było, gdyby mur berliński nie upadł, a my moglibyśmy spotkać swoich sobowtórów, żyjących w podzielonym jak kiedyś świecie?



J.K. Simmons w podwójnej roli Silka daje pokaz aktorskiego kunsztu

W DRUGIM SEZONIE „HOMELAND”, serialu przedstawiającego amerykańskie służby uwikłane w walkę z islamskim terrorem, jeden z jego bohaterów, stary, doświadczony szpieg, mówi, że tęskni za zimną wojną. „Za groźbą powszechnej nuklearnej zagłady?!“ – pyta zdumiony jego kolega. „Nie – odpowiada tamten – za przewidywalnością i regułami“.

Ta nostalgia wraca w kolejnych serialowych produkcjach. Najciekawszą z nich jest „Odpowiednik” – kończąca właśnie drugi sezon serial telewizji Starz, w Polsce dostępny na platformie HBO GO.

Podwójny świat

Podobnie jak polskie „1983” – „Odpowiednik” przywołuje zimnowojenne klimaty w konwencji *science fiction*. W świecie filmu pod koniec zimnej wojny pewien eksperyment z dziedziny fizyki kwantowej wymknął się spod kontroli, w wyniku czego doszło do niezwykłego zdarzenia: wszechświat się „podwoił”, wytworzył swoją kopię. Obok wersji alfa pojawiła się beta. Ponad 30 lat temu obie były identyczne: od momentu rozdzielenia historia każdej toczy się odmiennym torem.

Przejście między światami znajduje się w Berlinie – dawnej stolicy zimnej wojny. Strzeże go specjalna agencja zajmująca się kontaktami między dwoma światami. Ich relacje przypominają te, jakie w czasie zimnej wojny łączyły Wschód i Zachód. Oficjalnie panuje pokój i toczy się współpraca na różnych szczeblach. W cieniu każdego dyplomaty działa jednak armia szpiegów: oba światy wykradają sobie cenne informacje, umieszczają swoich agentów w kluczowych miejscach struktur władzy, planują dywersję i chronią się przed nią. W przeciwieństwie do zimnej wojny konflikt nie ma jednak publicznego charakteru. Istnienie alternatywnej rzeczywistości jest ściśle strzeżoną tajemnicą.

Świat, jaki sklonował się z naszego, światem przedstawiany jest przez twórców „Odpowiednika” w sposób budzący skojarzenia z blokiem wschodnim. W pierwszych odcinkach serialu fragmenty rozgrywane się w naszym świecie kręcone są w dawnej zachodniej części Berlina, eleganckich, mieszczańskich częściach metropolii, takich jak Charlottenburg. Gdy po raz pierwszy widzimy „alternatywny Berlin”, naszym oczom ukazuje się Karl

Marx Allee przy Alexanderplatz – wielka, szeroka ulica w stylu znanym z radzieckich miast, z monumentalną architekturą i trochę bardziej kameralnymi socmodernistycznymi pawilonami.

Choć nic nie wskazuje, by w świecie Beta ciągle trwał komunizm, panujący w nim porządek społeczny wydaje się o wiele bardziej surowy i autorytarny od tego, jaki znamy z dzisiejszej Europy. Powodem tego jest pandemia grypy, która w latach 90. przyniosła śmierć około 7 proc. populacji alternatywnego świata. Do dziś jego obywatele na każdym kroku bombardują komunikaty o obowiązkach badań i szczepień.

„Odpowiednik” wskrzesza nie tylko zimnowojenny klimat, ale także struktury fabularne związane z charakterystyczną dla epoki konwencją szpiegowskiego thrillera. Akcja zawiązuje się, gdy Howard Silk (z tamtego świata) – przez lata budujący w naszym świecie sieć tajnych agentów – zgłasza się wbrew wiedzy przełożonych do wywiadu Alf. Silk odkrył, że fanatyczna frakcja po jego stronie dąży do akcji terrorystycznej wymierzonej w nasz świat – czego konsekwencje mogą być fatalne dla obu. Ruch Silka urucha-

mia skomplikowaną, wielowarstwową intrygę, zdolną niejedną raz zaskoczyć nawet najlepiej obeznanego w gatunkowych schematach widza.

Twarzą w twarz

„Odpowiednik” nie jest jednak wyłącznie zimnowojennym thrillerem w fantastycznej dekoracji. Jak celnie napisała recenzentka „Guardiana”, Chitra Ramaswamy, „John le Carré spotyka tu Philipa K. Dicka”. Obok szpiegowskiej intrygi film podejmuje szereg filozoficznych pytań, stawiających wielokrotnie w przeszłości przez najbardziej ambitne teksty *science fiction*.

Ogniskują się one wokół tytułowej figury odpowiedników. Każdy, kto urodził się przed podwojeniem świata (w 1987 r.), ma w drugim swojego odpowiednika. Kogoś, kto identycznie wygląda, podobnie myśli i mówi, ma to samo DNA. A jednocześnie od momentu wyłonienia się dwóch światów biografie odpowiedników rozchodzą się, idą często odmiennymi torami. W Becie Howard Silk jest diabelnie sprawnym szpiegiem, mężczyzną o wybitnej, zimnej inteligencji, kimś, kto wie, czego chce, i potrafi postawić na swoim. Silk z naszego świata jest nieśmiałym, skromnym urzędnikiem. Pracuje w agencji zarządzającej kontaktem między dwoma światami, ale na tak niskim szczeblu, że nie ma właściwie żadnego pojęcia, w czym bierze udział. Przełożeni od lat obiecują mu awans, jednak zawsze wyprzedza go ktoś inny. „Nasz” Silk jest zwyczajnie zbyt miły i uprzejmy.

Taka konstrukcja stwarza pole do popisu dla aktorów. J.K. Simmons w podwójnej roli Silka daje pokaz aktorskiego kunsztu bijący na głowę to, co zaprezentował kilka lat temu w oscarowej roli w „Whiplash”. Dwaj odtwarzani przez niego Silkowie dopracowani są do najmniejszego szczegółu: każdy gest, krok, napięcie mięśni, mimika zmieniają się w zależności od tego, którą z dwóch postaci aktor przedstawia akurat na ekranie. Świetny jest też odtwarzający wysoko postawionego funkcjonariusza po „naszej” stronie Harry Lloyd – brytyjski aktor na ogół obsadzany w roli uprzywilejowanych, rozpieszczanych przez życie młodych mężczyzn, równie aroganckich, co ignoranckich. Jego podwójna kreacja w „Odpowiedniku” wychodzi od tego wzorca, by błyskotliwie go przekroczyć, w pełni eksponując aktorski potencjał Lloyd.

Przypadek i tożsamość

Spotkanie z figurą odpowiednika wywołuje u różnych postaci w serialu skrajne reakcje. U jednych egzystencjalną panikę i agresję wobec sobowtóra. U innych natychmiast wytwarzającą się bliską, „bliźniaczą” relację emocjonalną. U wszystkich spojrzenie w lustro „drugiego ja” wyzwała pytanie: „kim właściwie jestem?”. I wiele innych, ważnych nie tylko w egzystencjalnym, ale i filozoficznym wymiarze. „W jaki sposób stałem się tym, kim jestem?”, „Jaki wpływ na to miały moje decyzje, a jaki przypadek?”, „Czy jeśli to, gdzie i kim teraz jestem, jest głównie splotem przypadków, ma sens mówienie o esencjalnej tożsamości, o czymś w rodzaju wolnej woli?”.

Te pytania o przypadek i tożsamość wracają przez całą serię. W przedostatnim odcinku drugiego sezonu, odsłaniającym po raz pierwszy początki rozdwojenia, widzimy, jak pozornie drobne przypadki, różnice w szczegółach i detalach powodują coraz dalsze rozchodzenie się dwóch rzeczywistości i biografii zamieszkujących je osób.

W podejmującym podobne co „Odpowiednik” problemy „Przypadku” Krzysztof Kieślowski wydawał się wierzyć, że niezależnie od kierujących naszymi losami przypadków w człowieku jest jakaś niezależna od zbiegów okoliczności moralna tożsamość, substancja. Bohater filmu, Witek Długosz, w zależności od tego, czy zdąża, czy nie na pociąg, trafia do partii, do opozycji albo wraca do życia politycznie niezaangażowanego medyka. W każdym wypadku wydaje się zachowywać niezależny od wszystkiego moralny kompas, wewnętrzną tożsamość. Twórcy „Odpowiednika” wydają się być znacznie ostrożniejsi w deklaracjach, czy coś takiego jak niezależna od przypadku substancja jednostki istnieje.

Polityka nostalgii

Oglądając serial, warto też postawić pytanie o polityczne konteksty jego zimnowojennego klimatu. Powroty zimnowojennych wątków w popkulturze w mniej lub bardziej bezpośredni sposób niosą bowiem polityczne treści. „1983” można czytać jako wyraz lęków o przyszłość liberalnej demokracji. O to, czy w XXI w. układem domyślnym porządku społecznego nie staną się różne, odpowiednio

podkolorowane wedle lokalnej specyfiki wersje „modelu chińskiego”: autorytaryzmu gwarantującego rozwój gospodarczy i konsumpcję za cenę podstawowych wolności.

„Zawód: Amerykanin” pokazuje świat, gdzie paranoja jest po prostu zdrowym rozsądkiem. Nikomu w nim nie można ufać, nikt nie jest tym, za kogo się podaje, najlepiej zakładać podwójne lojalności i złe intencje, nic nie jest pewne, wszyscy stąpają po ruchomych piaskach. Czy ten klimat nieufności nie jest czymś, czego Ameryka doświadcza w tym stuleciu, naznaczonym przez kolejne podważające zaufanie do elit i instytucji katastrofy: wojnę z terrorem, katastrofalny kryzys finansowy, eksplozję populizmu?

W „Odpowiedniku” świat „klonuje się” tuż przed upadkiem żelaznej kurtyny. Wydarzenie to przyniosło wolność połowie Europy, ale też pozbawiło nas czegoś bardzo cennego: poczucia, że dla znanego świata jest całościowa alternatywa – nawet jeśli jest ona straszna. Slavoj Žižek – jak ma w zwyczaju, nie do końca serio – powiedział kiedyś, że ludzie nigdy nie byli tak szczęśliwi jak w bloku wschodnim tuż przed upadkiem muru berlińskiego. Reżim nie był już specjalnie represyjny, dawał żyć, a tuż za jego granicami rozciągał się wolny świat – raj, o którym można było marzyć.

Gdy wolny świat objął swoimi granicami całą Europę, utraciliśmy obiekt marzeń i aspiracji. Pociśnięcia w codziennych problemach nie przynosi fakt, że tuż obok jest miejsce, gdzie wszystko jest inaczej, lepiej. Wiemy, że najbardziej dojrzałe demokracje nie są rajem, znamy i dzielimy z nimi ich problemy. Analogicznie mieszkańcom krajów zachodnich otuchy dodawać mogło poczucie, że żyją w „najlepszym ze światów”, że sąsiadująca z nimi alternatywa wydaje się być pod każdym względem gorsza.

Sklonowany świat z „Odpowiednika” z pewnością nie jest rajem, wręcz przeciwnie. A jednak poczucie, że istnieje jakaś, choćby najbardziej koszmarna, całościowa alternatywa dla naszego świata, jest dziwnie fascynująca, na swój sposób wyzwalająca – w świecie, gdzie przez kilka ostatnich dekad powtarzano nam, że nie ma żadnej alternatywy. Tak jakbyśmy potrzebowali lustrzanego, koszmarnego obrazu naszego świata, by móc docenić – jakkolwiek pograżony byłby dziś w kryzysie – ten, w którym żyjemy. ©

JAN

Klata: Nietypowe miejsca



WSZYSTKIE STREFY CZASOWE ZIEMI OBIEGŁA informacja o tym, że niejaki Ewangelos Odiseas Papatanasiu (nieco szerzej i znacznie bardziej banalnie znany jako Vangelis) na miejsce premiery swej najnowszej płyty wybrał obserwatorium w Greenwich.

Album nosi tytuł „Nocturne”, tematyka jest oczywiście oniryczno-kosmiczna, więc wszystko się teoretycznie zgadza. Ewangelos Odiseas (że się tak sfraternizuje) jest niewątpliwym wizjonerem i pionierem muzycznych podróży, ale oczywiście szkoda, że w Greenwich nastąpił zaledwie pierwszy odsluch, że nie nagrał muzyki w Obserwatorium Jej Królewskiej Mości, że nie tam nastąpił akt twórczy... może nie miał czasu. Przeważnie artyści nagrywają tam, gdzie im wygodnie. Teraz głównie w sypialni, kiedyś w studiu, najlepiej położonym w miłym miejscu. Taki jest standard lokacyjny, ale istnieją frapujące wyjątki.

Jutrzenka polskiego black metalu, czyli grupa Furia, nagrała płytę „Guido” 320 metrów pod ziemią, w Zabrze, w kopalni...

zgodli Państwo: Guido. Walijski artysta o wdzięcznym pseudonimie Lustmord również eksploruje kopalnie, a oprócz tego groty, katakumby, bunkry, schrony i inne fascynujące dźwiękowo miejsca. Czasem artystów troszkę ponosi w poszukiwaniu natchnienia: Jimmy Page nabył szkocką willę Aleistera Crowleya, w której różne dziwne a wielce nieprzyjemne rzeczy miały miejsce, i nawet nie zdążył tam nic nagrać, przstraszył się i sprzedał. Nazwisko oraz pseudonim artysty, który wpadł na pomysł zakupu domu-świadka mordu dokonanego przez bandę Mansona, pozwolę sobie litościwie przemilczeć. Poszukiwanie inspiracji lokalizacyjnych niejedno ma imię, czasem wystarczy, że miejsce jest „na widoku”, jak w przypadku Polly Jean Harvey, która kilka lat temu w centrum Londynu stworzyła przechodniom możliwość obserwowania procesu twórczego przez weneckie lustro. Ona nagrywała wraz z muzykami, a flaneurzy patrzyli, chwytała chwilę, która później zostanie utrwalona (albo i nie) na płycie.

Oczywiście, nawet w przypadku Somerset House byłoby przesadą powiedzieć, że w historii nagrań muzycznych liczą się trzy rzeczy: lokalizacja, lokalizacja i lokalizacja. Jednak czasami warto wyjść poza strefę komfortu, nawet jeśli nasza arktyczna wyprawa jest całkiem zmyślona (płyta „Eskimo” grupy The Residents). A z czego można zrobić płytę instrumentalną? Opcji jest mnóstwo, nie samym fortepianem żyje człowiek: rozdzielane karty Biblii, cięte, pocierane i miksowane warzywa czy odgłosy operacji plastycznych... Ale to temat na kiedy indziej. Dzisiaj było: gdzie. ©

Lektor: Straszewicz przypomniany



■ **JERZY GIEDROYC, CZESŁAW STRASZEWICZ, LISTY 1946-1962**
Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Maciej Urbanowski.
Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2018, ss. 320. Archiwum „Kultury”, tom 20.

NA STATKU „CHROBRY”, KTÓRY 29 lipca 1939 r. wypłynął z Gdyni do Ameryki Południowej, jedną z kajut I klasy zajmowali dwaj pisarze, rówieśnicy – Witold Gombrowicz i Czesław Straszewicz. W końcu sierpnia Gombrowicz zdecydował, że zostaje w Buenos Aires, Straszewicz wrócił do Europy. Wstąpił do Wojska Polskiego we Francji,

potem pracował w polskiej rozgłośni Świt w Bletchley, w 1944 r. wyjechał jako attaché prasowy do Urugwaju. Misja dyplomatyczna trwała krótko, ale w Montevideo pozostał, kierował radiem polskim i utrzymywał się z pracy w fabryce włókienniczej, później przeniósł się na kilka lat do Monachium, do Radia Wolna Europa.

Zmarł przedwcześnie na raka w 1964 r.

Gdy wybuchła wojna, był już autorem czterech tomów prozy, zajmował się też krytyką literacką na łamach redagowanej przez Jerzego Giedroycia „Polityki”.

Giedroyc natychmiast po wojnie postanowił wciągnąć go do współpracy, co nie było łatwe. „Od roku bezskutecznie próbuję nawiązać z Panem kontakt” – to grudzień 1946. „Gdybym miał choć trochę ambicji, to dawno powinienem przestać pisać do Pana” – maj 1948. „Znów ponawiam prośbę o danie coś do druku w »Kulturze«”. Jak się było najwybitniejszym prozaikiem średniego pokolenia w Polsce, to do czegoś zobowiązuje – maj 1951. Efektem uporczywych nalegań stała się jedyna powojenna książka Straszewicza – „Turyści z bocianich gniazd”, wydana w 1953 r. w Instytucie Literackim. Prace nad kolejną posuwały się opornie i nigdy

nie zostały ukończone, jednak korespondencja Giedroycia ze Straszewiczem pozostaje pięknym świadectwem uporu Redaktora i jego wierności tym, w których talent wizerzył. Jest jeszcze jeden bohater tych listów – Edward Berenbau, zwany też Markizem lub Szambelanem, przemysłowiec z Polski, który na emigracji, najpierw w Argentynie, potem w Urugwaju uruchomił świetnie prosperującą fabrykę (w niej właśnie pracował jako urzędnik Straszewicz). Obaj korespondenci podkpiwają z jego snobizmu – ale i doceniają hojność. „Don Eduardo” wspomaga zakup nowego domu dla „Kultury”, funduje jej nagrodę, opłaca podróż Straszewicza do Europy, a wcześniej zmniejsza jego godziny pracy, by mu umożliwić pisanie... Redaktor i Mecenas – obaj mieli swój udział w przywróceniu literaturze wybitnego, niesłusznie dziś zapomnianego autora. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Pozegnanie królowny



STO CZTERDZIEŚCI CZTERY. W MOJEJ PRYWATNEJ kabale liczba ta od niedawna stanowi emblemat żalu splecionego z wdzięcznością. Trzymam ostatni w dziejach 144. numer „Zeszytów Literackich”. O żalu napisano już wiele: do koncernu medialnego,

którego księgowi uznali, że nawet drobnych w ich skali pieniędzy szkoda na niszową roślinkę, która była jak odkupienie win za polacie chwastów na jego rozległej agorze. Do ministra kultury, który odkupienia raczej już nie czeka, zostanie po nim tylko napis – a głosić będzie: *mane, tekele, fares*. Lepiej skupmy się na wdzięczności, zatem: czytamy. Choćby Pawła Muratowa, rosyjskiego podróżnika i nauczyciela sztuki patrzenia. Nie znam lepszego przewodnika w podróży niż „Obrazy Włoch”. Spisane wprawdzie jeszcze przed pierwszą wojną, są bezużyteczne, jeśli chodzi o adresy typowych knajpek, gdzie poczuć „autentyczny” klimat miejsca. Ale za to erudycja przenikająca jego strony to nie ciężki plecak pełen książek, tylko wygodne buty, pozwalające dojść tam, gdzie zaczyna się rozumieć, skąd świat wziął się w obecnej postaci.

„Na szczęście nawet z aparatem w ręku udało się mimo wszystko coś zobaczyć, nie tylko przez obiektyw. Zwykle to się nie udaje. Spłaciwszy fotograficzny dług, podróżnik wdycha z ulgą i trochę ze zdziwieniem patrzy na miasto, które już się odeń oddala, gdy on zmierzając do Antwerpii i Gandawy wydanym w ostatnim numerze „Zeszytów”. „Wiadomo przecież, ile klęsk kryje żrenica obiektywu, ukazująca rzeczy czystymi, umytlimi, zabawnymi i miłymi dla oka, ale zarazem zawsze skora do tego, by nas podstępnie oszukać i rozczarować”. Nie umiem sobie wyobrazić, jakimi słowami Muratow skwitowałby nasze instagramowe długie. Ich spleta – gdy obserwuję konta podróżujących znajomych – zajmuje tyle czasu, że już nie udaje się zobaczyć czegoś nie przez obiektyw. Nie-obiektywnie. Tylko dla siebie. Nie wciskając bliźnim pod oczy widoczków. Ba, cóż tam widoczki. Jeszcze siedząc w hotelu sugerują, że ich śniadanie jest warte mojej patrzącej medytacji.

Patrząc na swój stół dzisiaj: czy umiem powiedzieć o tych paru kromkach, serze, oliwkach i szklance-musztardowce z sokiem coś więcej niż 400 lat temu dwaj panowie Claesz – Willem i Pieter – gdy malowali swoje alegoryczne stołowe resztki, węzowate skóry cytryn, rozłupane orzechy, bezwstydne ostrzygi i półcie szynki? Natury rzekomo martwe, a tak żywotne w swojej zdolności uciszania rozbieganych niepotrzebnie myśli. Lepiej

zamilczę. Sprzątnąwszy ze stołu, wyłożyłem z płóciennego worka trzy kilo renet. Zwanymi szarymi – ale szarość jest tu raczej oznaczeniem „niewygodności”, braku żółtych i rumianych tonów, które cieszą dziecięce oko. Oddać sprawiedliwość przepastnym toniom szarozieleń i chropowatego brązu potrafił chyba ostatnio Cezanne i to naprawdę wystarczy, więc schowam ambicje i wyjmę nożyk. Starannie je poobieram, wycinając nadpsute miejsca, coraz gorzej się mają te jabłka ze straganu na Kleparzu, który wskazali mi wtajemniczeni. Nawet jeśli to, co opowiada sprzedawca, że ma mały niepryskany, stary sad gdzieś na Podbeskidziu, jest nieprawdą – owoce są rzeczywiście niedzisiejsze w smaku. I właśnie gasną powoli, bo już luty. Ostatnia ze starych odmian niedostosowana do trzymania w chłodniczych komorach gazowych traci wigor i większość aromatu. Dlatego dziś robię z nich mus i pozamykam w słojach, przedłużę o parę tygodni tę agonie.

Są brzydkie i kostropate, mają nie całkiem chrupki miąższ (to teraz najważniejsze, do czego dążą hodowcy), ale to one są dla mnie królowkami, wszak ich imię znaczy to po francusku. Wyobrażam sobie, że to takie jabłka rosły w ogrodzie Hesperyd, skąd skradł je Herakles w ramach swojej jedenastej pracy. Badacze mitów i geografowie kłócili się długo, gdzie on mianowicie wyrastał – konsensus naukowy wskazuje na okolice Maroka. A mnie się wydaje, że znacznie bliżej, w naszej wschodniej stronie, gdzieś tu się złoci za krzywym płotem, wystarczy tylko oczu nie zasłaniać. Muszę to sprawdzić u Muratowa. © P



*Spór o Hesperydę dotyczy też tego, czym były te owoce. W „Historii moralnej i naturalnej jedzenia” Maquelinne Toussaint-Samat pisze, że musiały to być cytrusy, ale jakże tak, kiedy uczyłem się, że Europa poznała je dopiero w XIII wieku? Jest w tym połączeniu jednak pewien sens – bo odejście renet zbiega się ze szczytem sezonu na dobre cytrusy. Zrobimy ciasto, które je połączy. Kroimy (bez obierania) trzy **renety** w nieregularne kawałeczki, przekładamy do miski, posypujemy **skórką z pomarańczy** i wyciskamy z niej **sok**, odstawiamy do zmacerowania. Miksujemy 4 **jajka** ze 180 g **cukru**, dolewamy 100 g stopionego (i wystudzonego) **masła** i ok. 100 g **greckiego jogurtu**. Dodajemy stopniowo, mieszając, 350 g **białej mąki** i 15 g **proszku do pieczenia**. Na koniec dokładamy zmacerowane jabłka. Wykładamy na posmarowaną masłem i oprószoną formę do ciasta tak, by masa miała ok. 6 cm wysokości (forma o średnicy 22 cm powinna wystarczyć, jeśli nie, to możemy upiec nadmiar masy w osobnej foremce).*

*Na wierzch kładziemy okrężnie cienkie plasterki z czwartego jabłka, posypujemy **cukrem trzcinowym**. Pieczemy w 170 stopniach co najmniej 75 minut, jeśli w trakcie pieczenia góra zacznie się zbyt szybko karmelizować, przykrywamy folią. Jest gotowe, kiedy patyczek wbity w środek nie będzie bardzo mokry i oblepiony ciastem, chociaż i tak wyjdzie ono dość wilgotne i ciężkie. „Jabłoń jest z usposobienia niewierna i kwiaty, które nie zgrzeszyły, pozostają nieplodne” – pisze Toussaint-Samat à propos zapylania krzyżowego. Kwiaty zaś pomarańczy to symbol małżeńskiej wierności. Oto więc ciasto dla każdego, niezależnie jaką miłość odnalazł w swoim sadzie.*

MIEJ GÓRĘ LUB RZEKĘ

CECYLIA MALIK, ARTYSTKA I AKTYWISTKA:

Uplotłyśmy warkocz o długości rzeki Białki, kiedy mieli ją zabetonować. Wyszło sześć kilometrów. Potem zrobiliśmy z tego warkocza wodospad na wieży ratuszowej w Krakowie.

ADAM ROBIŃSKI: Byłaś podwórkowym dzieckiem?

CECYLIA MALIK: Oczywiście! Nas jest sześć siostr, cztery w podobnym wieku. Miałyśmy opracowane mnóstwo podwórkowych zabaw, do których dołączały inne dzieciaki.

Opowiedz o tym podwórku.

Kiedy miałam pięć lat, przeprowadziliśmy się na Salwator, na Królowej Jadwigi. Koło naszej kamienicy było duże boisko, na którym zbierały się dzieci z paru domów. Rozkręcaliśmy zabawy trwające nawet do dwóch tygodni. W wielkie cmentarzysko dla zwierząt. Albo w czarownicę i niewolników na plantacji trawy nad Rudawą. Potem przenieśliśmy się do centrum Krakowa, na ulicę Smoleńsk. Nowe podwórko, tam centrum zabaw był kasztanowiec.

Stoi jeszcze?

Stoi. Kiedy miałam dziesięć lat, pokłóciłam się z resztą podwórka i ukryłam w jego koronie. Siedziałam na drzewie sama w bluzce i spódnicy w zieloną kratkę. To był mój ulubiony zestaw, bo nikt mnie w nim pośród liści nie widział. Stali pod drzewem, namawiali się na mnie, a ja wszystko słyszałam. Nagle zeskoczyłam. Szacunek reszty podwórka dla mojej techniki drzewołazki był duży. Szczyciłam się tym, że wchodzę najwyżej. Byłam chuda i lekka. Samych zabaw

było więcej, z wojną podwórek na czele. Ale była też staruszka, która mieszkała w chatce na naszym podwórku. Całą bandą pomagaliśmy jej sprzątać, ogarniać dom. Poza tym mój tata, skrzypek, grał w Operze Krakowskiej i miał dużo wolnego czasu, więc zanim poszliśmy do szkoły, nawet trzy razy w tygodniu woził nas w góry.

Trzy razy w tygodniu?!

Był przewodnikiem beskidzkim, góry to jego największa pasja. Tam poznał naszą mamę. Dziecięce wakacje zaczynały się dla nas jeszcze w czerwcu, trzy miesiące mieszkaliśmy w wynajętym domu. Trzy miesiące zabaw w plenerze.

Dokąd jeździliście?

Do Szczawy w Gorcach i do Poręby w Beskidzie Wyspowym. Dzika Ameryka, zwalone drzewa, pnie, wykroty. Na jabłonce w Zarytym koło Rabki zakładaliśmy cywilizację. Na innej, w Łąpszach Niżnych, mieliśmy okręt. Na pokręconym buku w Porębie tron. Była też siostra mamy, która miała dom pod Krakowem z wielkim sadem czereśniowym. Na tych czereśniach zakładaliśmy bazy, a babcia Róża, która nas odwiedzała, strasznie nam imponowała, bo łąziła po nich, mimo że były niebezpiecznie suche. Jedzenie czereśni prosto z drzewa jest dla mnie, dorosłej Cecylii Malik, największą przyjemnością. Z kolei placki akacyjne kojarzą mi

się z mamą i ekscytującym czasem, gdy kończyła się szkoła i zaraz miało zacząć się prawdziwe życie.

Był takim moment dorastania, gdy przestałaś zwracać uwagę na otoczenie, na przyrodę?

Zawsze najważniejsze było dla mnie, aby nie tkwić w potrzasku miasta. Pod tym kątem szukałam mieszkań. Chciałam mieć możliwość szybkiego wyrwania się. Lubię miasto, lubię ludzi, ale potrzebuję też przestrzeni. Na Salwatorze tę przestrzeń otwiera Wisła, Błonia i wzgórze św. Bronisławy. Jak jadę do innego miasta, też najpierw szukam rzeki. W ogóle uważam, że trzeba mieć blisko górę lub rzekę, żeby życie w jakiejś przestrzeni miało sens. Więc przyroda chyba zawsze była dla mnie bardzo ważna, choć może nie zawsze o tym myślałam.

Kiedy sobie o tym przypomniałaś?

Na czwartym roku studiów byłam w ciąży i pod jej koniec musiałam siedzieć w domu. Koleżanka pożyczyła mi „Barona drzewołaza” Itala Calvina. Zachwycałam się. Nie mogłam wyjść z podziwu, jak świetnie Calvino zna się na chodzeniu po drzewach. Od dzieciństwa wiedziałam, jak to się robi na buku, a jak na kasztanowcu, jak się wchodzi na wierzbę, a jak na brzoze. Calvino nie dość, że same drzewa opisał w niesamowicie zmysłowy sposób, tak że czuć przyjemność obcowa-



GRAŻYNA MAKARA

Cecylia Malik podczas akcji „Warkocze Białki”, 2013 r.

nia z nimi, to jeszcze perfekcyjnie znał technikę wspinaczki.

Przyznam szczerze, że zaczynając swój projekt „365 drzew”, wcale nie myślałam o ochronie przyrody.

To po co wlażaś na to pierwsze drzewo, zrobiłaś zdjęcie, a potem powtarzałaś tę czynność codziennie przez rok?

Zbiegło się kilka spraw. Pracowałam w krakowskim Bunkrze Sztuki przy Plan-tach. Z Anią Bargiel prowadziłyśmy warsztaty dla dzieci, poświęcone ulubionym bohaterom literackim. Chciałam opowiedzieć o Cosimie z „Barona drzewołaza”, ale brakowało mi ilustracji. Uznałam, że wejść na drzewo i poproszę swoje dzieci, Antka i Urszulkę, żeby mi zrobiły zdjęcie. Już w koronie pomyślałam, że chcę to robić codziennie, bo to dobry pomysł na fotograficzny pamiątnik. Poza tym pokazując dzieciom na warsztatach panią Cecylię na drzewie, powiedziałam im jeszcze, że ulubionych bohaterów trzeba naśladować...

Co to było za drzewo, to pierwsze?

Lipa pod kopcem Kościuszki. To zresztą był w moim życiu trudny moment. Kry-

zys w związku, dużo działa się zawodowo, miałam ochotę po prostu...

Uciec, jak Cosimo?

Uciec ze swojej codzienności, zrobić coś ze swoim ciałem. Nie potrafiłam wysiedzieć w pracowni. Potraktowałam te drzewa jak eksperyment, nie miałam pojęcia, co z niego wyjdzie. W tym samym czasie zapisałam się na Facebooka, który okazał się dobrym medium do pokazywania tych zdjęć. Codziennie jedno, z lokalizacją, opisem gatunku i datą. Najpierw kibicowały mi siostry i przyjaciele, potem znajomi znajomych, potem dostawałam sygnały, że ludzie w Anglii sprawdzają na moich zdjęciach, jaka jest w Krakowie pogoda. Poczułam się zobligowana. O godzinie 22 przychodziły esemesy: „Cecylia, gdzie zdjęcie?”. Niektóre wychodziły bardzo efektowne, inne na zasadzie zaliczenia.

Widziałem zdjęcie zrobione na bałtyckiej plaży, wierzba nie wyższa od Ciebie, ledwo Cię utrzymuje.

Po pierwsze, trzeba było znaleźć drzewo, na które da się wejść. Po drugie, z fajnym otoczeniem, światło też było ważne. Był też potrzebny ktoś, kto robi zdjęcie, kiedy będę już na górze. Zależało mi na kadrach,

schodziłam, oglądałam, tłumaczyłam dzieciom, bo to one też często fotografowały, że nogi mamy mają być w środku, a nie z lewej. Ale najważniejsze, że publikując te zdjęcia na Facebooku szybko zaczęłam poznawać aktywistów miejskich i ekologów, którym ten projekt bardzo się spodobał. W lipcu, gdy moja akcja zbliżała się do końca, Adam Wajrak dał mi lajkę i napisał: „Zdjęcia są słabe, ale fajnie, że Cecylia rozpoznaje gatunki drzew”.

Papiery masz na bycie artystką.

Ale dziś jesteś chyba bardziej aktywistką niż malarką?

Wiesz co, za granicą ludzie nie mają tego dylematu: sztuka czy aktywizm. Rozumieją to bez słów. W Polsce dopiero od niedawna widać, że jedno i drugie może iść w parze. W 2016 r. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie pokazało wystawę „Robiąc użytek”. O postsztuce i tym, że coraz częściej strategię artystyczne wykorzystywane są do innych celów. Już drugi rok biorę też udział w „Forum przyszłości kultury” w warszawskim Teatrze Powszechnym, razem z dużą grupą artystów, którzy również na serio zajmują się aktywizmem. Jest nas coraz więcej. Parę lat temu dla kuratorów sztuki to był duży



→ problem. Ale dziś w polskiej sztuce aktywizm stał się modny, a działania takie jak moje coraz bardziej akceptowalne.

Po „365 drzewach” stałaś się panią od drzew. Musiałaś się jakoś dokształcać?

Zaczęło się od protestu w obronie Zakrzówka przed zabudową. Plany zagospodarowania przestrzennego, studium przestrzenne Krakowa, sprawy formalne to były dla mnie zupełnie nowe sprawy. Ale akcje, które współorganizuję, zazwyczaj są mądre i często kończą się sukcesem, bo nie robię ich sama, tylko dołączam do grupy ekspertów. To, co zrobiliśmy w 2011 r. na Zakrzówku, a więc Modraszek Kolektyw, było tak naprawdę kampanią medialną dla Zielonego Zakrzówka, który dbał o sprawy formalne. Mieliliśmy też ze sobą Mariusza Waszkiewicza, który doskonale znał prawo dotyczące ochrony przyrody.

Po Zakrzówku przerzuciłaś się na rzeki. Spłynęłaś sześcioma krakowskimi ciekami.

Byłam trochę zmęczona aktywizmem i chciałam wrócić do bycia po prostu artystką. Szukałam tematu na autorski projekt. Kazimierz Walasz, ornitolog i największy znawca krakowskiej przyrody, który był szczęśliwy po tym, co zrobiliśmy na Zakrzówku, zaczął mi opowiadać o krakowskich rzekach, o tym, że są dzikimi korytarzami ekologicznymi. Strategia, którą przyjął, była czysto artystyczna. Pomyślałam, że rzeki trzeba sfilmować, bo płyną, są w ruchu. Zaprosiłam do współpracy operatora Piotra Pawlusa i dźwiękowca Piotra Madeja, a męża poprosiłam o zrobienie łódki. Najpierw spłynęliśmy w niej z Walszem, był moim przewodnikiem, wiele się od niego dowiedziałam. Między innymi tego, jaką dewastacją jest regulowanie i betonowanie rzek. Robiłam te filmy przez rok. Postanowiłam pokazać „6 rzek” na Festiwalu ArtBoom, pod mostem. Razem

Dzieci wszystko rozumieją, to dorosłym trzeba tłumaczyć.

Czym ja się zajmuję?

Robię bajki!

z przyjaciółkami, Małgorzatą Nieciecką-Mac i Martyną Niedosiał namówiliśmy krakowian na gromadne pływanie po Wiśle. Był 2012 rok, tak narodziła się Wodna Masa Krytyczna. Dziś jest dużą miejską imprezą, której już wiele osób wcale nie kojarzy ze mną. Ale co roku pływam podczas niej na czymś pięknym, na tratwie lub rybie, które robimy z mężem.

Widziałem jesiotra.

Wokół Wodnej Masy Krytycznej wytworzyła się grupa przyjaciół. Najfajniejsza ekipa w moim życiu, moja piaskownica, prawdziwa podwórkowa banda. Gocha Nieciecka, Martyna Niedosiał, Kuba Wesołowski, Bartolomeo Koczenasz i Piotr Dziurda. Wodną masę trudno zrobić do końca legalnie. Za Wisłę, drogę wodną, bulwary odpowiada wiele urzędów. Korzystamy z prawa, że każdy może pływać na byle czym, byle miał 17 lat i kapok. Trochę udajemy, że spotkaliśmy się przypadkowo. Na bazie tego kolektywu zrobiliśmy kilka skutecznych protestów. Dowiadujemy się, że obwodnica Krakowa ma przeciąć las łęgowy, robimy pikietę i przedstawienie edukacyjne dla radnych. Albo bronimy drzew przy placu Inwalidów. Ale też skutkiem „6 rzek” było to, że wylądowałam u prof. Romana Żurka, najlepszego hydrologa w Polsce. Poszłam zapytać, czy do Wisły mogłyby wrócić jesiotry.

Mogłyby?

Popatrzył na mnie jak na świruskę i powiedział do kolegi: „Jakieś NGO-sy do mnie przyszły”. Ale zaraz włączył komputer i pokazał coś strasznego. Zdjęcia planu przeciwpowodziowego dla Górnej Wisły. Betonowanie rzek. Koparki w nurtach. Rzeka, która zniknęła, został po niej tylko betonowy rów. To się zbieгло w czasie z planem regulacji Białki. Białka jest rzeką mojego dzieciństwa. Moi rodzice mają baczność w Łapszach na Spiszu, jesteśmy tam w każdy weekend. Przełom Białki jest moim ulubionym miejscem na ziemi. I nagle dowiaduję się, że górale chcą znieść Naturę 2000 i regulować Białkę. Bunkier Sztuki proponował mi wtedy wy-

stawę, więc zrobiliśmy w jej ramach akcję w obronie Białki, a jedną ścianę galerii przekazaliśmy prof. Żurkowi na pokazanie, co Polacy robią ze swoimi rzekami. To była zupełnie nowa sytuacja, instytucja kultury udziela głosu naukowcowi.

Był chętny?

Naukowcy cierpią, bo mają środki na badania i ogromną wiedzę, ale nie mają jak się nią podzielić ze społeczeństwem. Ja z kolei wymarzyłam sobie, by tam na miejscu zrobić piękną instalację land-artową. Warkocz długości rzeki. Na wakacjach w Rumunii trafiliśmy z siostrą do cygańskiej wioski, gdzie dziewczynki wplatały sobie we włosy pocięte obrusy. Przedłużały sobie włosy wstążkami. Nauczyły nas tego, moja córka chodziła potem przez cały rok do szkoły w cygańskich warkoczach. Błękitnych, różowych, czerwonych. I plotąc jej te warkocze pomyślałam, że możemy pleść warkocz o długości Białki. Wyszło sześć kilometrów, cała ciężarówka. Potem zrobiliśmy z tego warkocza wodospad na wieży ratuszowej w Krakowie. To był ukłon w stronę Krzysztofa Wodiczki, jednego z moich ulubionych artystów, który użył kiedyś tej wieży do projekcji. Wtedy mówiła głosem wykluczonych, bezdomnych. Ja chciałam, by udzieliła głosu przyrodzie, której nie słyszymy.

Akcja „Matki Polki na wyrębie”, podczas której fotografowałaś się z synkiem przy piersi na pniaku po świeżo ściętym drzewie, była wyrazem bezsilności?

Wyrazem niezgody na „lex Szyszko”. Stała się kłamrą do tego mojego wspina. Jako kobieta byłam w zupełnie innym miejscu. Wtedy zwinna, wysportowana, teraz dojrzała, z dzieckiem na rękach. Przez miesiąc fotografowałam się na krakowskich wyrębach, potem dołączyły koleżanki. Kilkanaście matek ładuje się z wózkami na wykroty.

Miałyście dużo naśladowczyń.

Zawioziliśmy to nasze grupowe zdjęcie z apelem do prezydenta Dudy i premier Szydło. Razem z Anią Grajewską, współorganizatorką „Matek Polek na wyrębie”, wymyśliłyśmy też, żeby pojechać do papięza i poskarżyć na rząd, który z Bogiem na ustach dewastuje przyrodę. Zdjęcie Franciszka z raportem, który przygotowały dla nas organizacje ekologiczne, też obiegło media. Wtedy poprosiłam dziew-



CECYLIA MALIK będzie gościem Conrado Moreno w środę 30 stycznia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



PIOTR DZIURDZIA

Cecylia Malik, „Matka Polka na wyrębie”, 2017 r.

Jesteś zadowolona z tego, jak Twoje własne dzieci patrzą na przyrodę?

Wczoraj powiedziałam Urszulce, która jest w drugiej klasie liceum, że mam wywiad i muszę znaleźć jakieś drzewo, na które będziemy się wspinać. A ona na to: „No przecież tutaj, pod kopcem, na Dworskim, czasem się tam z Antkiem wspinamy”. Nie miałam pojęcia, że moje dzieci się razem wspinają. Kiedy były małe, wszystko robiliśmy razem. Wakacje w górach, na kajakach, w naszej baczce. Potem przyszedł moment dorastania, a ja dałam im spokój. A teraz widzę, że one same z siebie coraz bardziej interesują się przyrodą. Antek jest hokeistą, Urszulka tańczy i maluje, ale kiedy zapytasz o najpiękniejsze miejsce, usłyszysz, że w Łąpszach na hali. W wakacje ciągną znajomych na Zakrzówek.

Twój najmłodszy syn urodził się 16 lat po pierwszym dziecku. To tak, jakbyś wychowywała dwa pokolenia.

Kiedy szukaliśmy z mężem mieszkania, zastanawialiśmy się, gdzie oni będą wychodzić. Mamy koło domu boisko szkolne, które jest po zajęciach otwarte dla wszystkich dzieci. Antek na nie chodził. Przyjaciółka Urszulki, Marysia, ma ogródek. Więc oboje namiastkę wspólnej przestrzeni do zabawy mieli. Ale jak będzie z najmłodszym, Ignacym, tego nie wiem. Ulica jest niebezpieczna, pełna na niej samochodów. Trudno powiedzieć małemu dziecku, żeby samo poszło się bawić.

Jeszcze do niedawna zieleni miejska należała do drogowców. Teraz mamy w Krakowie Zarząd Zieleni Miejskiej. W budżetach pojawiły się spore pieniądze na utrzymanie zieleni. Jako aktywiści zaczęliśmy walczyć o pieniądze na wykupy terenów zielonych. To jest zupełnie nowy proces. Wcześniej miasta traktowały swoją własność jako coś, co można sprzedać i zarobić. Coś się zaczyna dziać.

To co, pójdziemy się wspinać na jakieś drzewo?

Chodźmy, pokażę ci fajny dąb w parku Jordana. W sam raz dla dwóch osób.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

CECYLIA MALIK (ur. 1975) jest absolwentką krakowskiej ASP, artystką i aktywistką na rzecz ochrony przyrody. Autorka albumu „365 drzew” i książki dla dzieci „Drzewołazki”, członkini koalicji Ratujmy Rzeki.

czyni, byśmy dołączyły do koalicji Ratujmy Rzeki. Powstała dwa lata temu, kiedy polski rząd przegłosował budowę drogi wodnej E40, zapórę na Wiśle w Sierzowie, przekop mierzei. Wszystkie te rzeczy, które w przeciwieństwie do „lex Szyszko” czy Puszczy Białowieskiej są bardzo mało medialne. I mało polityczne.

Bo rzeki regulować chce każda ekipa, która dochodzi do władzy.

A to nikogo nie interesuje, więc aktywizm na tym polu jest trudny. Ale ekolodzy, przyrodnicy spotykają się nad rzekami. Rzeki są tak bogatymi siedliskami, korytarzami ekologicznymi. W koalicji Ratujmy Rzeki jest już około 40 organizacji ekologicznych. A my robimy dla niej to, co umiemy najlepiej, czyli happeningi.

I po tym wszystkim nagle publikujesz książkę dla dzieci – „Drzewołazki”.

Poczucie obowiązku wobec własnych?

Wszystkie dotychczasowe akcje były dla dzieci. Dzieci wszystko rozumieją niemal automatycznie, to dorosłym trzeba tłumaczyć. Czym ja się zajmuję? Robię bajki! Pływam łódeczką, plotę warkocz, chodzę po drzewach. Kiedy robiliśmy protest w sprawie Białki, przyszło dużo górali wściekłych na nas, że wtrącamy się w ich sprawę. Ale były też lokalne dzieciaki, z którymi wcześniej spotkaliśmy się w szkole. Machały do nas zza dorosłych i wołały: „Pani Cecylia, jesteśmy z pania!”. Uznałam, że muszę podzielić się z nimi tym, co mam najcenniejsze.

Musiałaś wrócić na swoje podwórko?

U mnie w dzieciństwie nie było czegoś takiego jak drzewo. Z okna widziałam albo wielką osikę, albo jesion. Ulicę zdobił rząd topoli. W nowym ogródku rósł grab. Mieć wierzbę a kasztanowca za oknem to są przecież zupełnie dwa różne światy! Chciałam więc zachęcić dzieci przede wszystkim do rozpoznawania gatunków drzew, jako zachętę do wchodzenia na nie. Topola jest krucha, jodła nie. Musisz to wiedzieć, zanim zaczniesz. A sama historia opisana w „Drzewołazkach” wydarzyła się naprawdę.

Właśnie miałem pytać, czy ten jesion jest prawdziwym drzewem.

W 2016 r. budowaliśmy z kolektywem Niedzielnia na jednym z wrocławskich podwórek domek na jesionie. Zaprośmyśmy do pomocy okoliczne dzieciaki. Potem włączyli się rodzice. Domek miał być obudowany deseczkami, dzieci je malowały. Czekaliśmy na nas od 9 rano, do domów szły o 23. Opowiedziałam im o „365 drzewach”, więc zaczęły się wspinać. Wcześniej na tym podwórku nic się nie działo. Starsze panie chodziły tam z pieskami na kupę. Codziennie rano trafialiśmy na kupy tam, gdzie mieliśmy pracować. Trzeba je było zbierać. To był podstawowy konflikt interesów: kupy kontra dzieci. I same dzieci wymyśliły, że trzeba przeciwko tym kupom zorganizować protest. Zrobiły transparenty, my mieliśmy megafon. Chciały robić ulotki, babciom wręczać woreczki. Bardzo konstruktywnie podeszły do sprawy.

STANISŁAW

Mancewicz:

Irytacja



WEŹMIEMY DZIŚ NA TAPETĘ SPRAWĘ DELIKATNĄ I OGROMNIE SKOMPLIKOWANĄ, czyli kompetencje potrzebne do współżycia. Na początek nader rezolutnie rzec trzeba, że form współżycia jest nieco, od drobnych po grube. Naturalnie nie mamy zamiaru wni-

kać w osobliwości współżycia intymnego, nie czas bowiem żałować róż, gdy płoną lasy. Zresztą, nie ma o czym pisać, gdy telewizja publiczna, w swoiście pojętej misji, nawet w trakcie mszy informuje, że pawiany trzymają się razem. Słowem, nasze złote myśli na ten temat wydają się zbędne.

Otóż przemysłiwując, cóż mogłoby być fundamentem dla dowolnego współżycia, syntetyzując wyliczankę i sprowadzając ją do jednego, doszliśmy do olśniewającego wniosku, że byłaby to powściągliwość. Ona jedna gwarantuje, a niemal na pewno ułatwia współżycie w harmonii. Powściągliwość przydaje się zawsze i wszędzie, w tym w polityce i życiu publicznym. Owszem, zgadzamy się, że tekst ten na razie zapowiada się ogromnie pocziwie, nudno i edukacyjnie. Postarajmy się zatem, by dodać mu nieco smaku.

Powściągliwość została z sukcesem wpisana na listę tzw. poprawności, czyli zachowań niegodnych osobnika prawdomównego, szczerego i naturalnego. Publiczne okazywanie emocji, by nie rzec: hysterii, wzruszenia, furii bądź irytacji, stało się elementem gwarantującym prawdziwość przekazu. Powściągliwość i opanowanie odeszły – jak to się pięknie mówi – do lamusa. Przykłady przytoczymy dwa, z ostatnich dni. Jeden z najszerzej pojętego marginesu rynku mediów, drugi z centrum polityki.

Oto od lat wielu mamy osobliwego jakby publicystę, urzędującego po drugiej stronie jakby oceanu, który przemawia do nas jakby po polsku, z jakiegoś jakby warsztatu, odgrywającego niby-studio jakby telewizyjne. Człowiek ten nie tak dawno jakby pobeczał się na wizji, choć dalipan płakać mu się wcale nie chciało. Było to zagrane krępująco dla widza, w pełnym sztafetu aktora kina niemego. Pozbywszy się na sekundę tak reklamowanej tu przez nas powściągliwości, rzec trzeba, jak jest, czy może raczej, jak było, że wszystko to razem do kupy było cyrkiem, jakiego jeszcześmy w życiu naszym nie oglądali. A jednak audycja internetowa nadawana z zalanego łzami warsztatu, oglądana przez amatorów specyficznych spektakli, to do prawdy pikuś wobec audycji nadanej ostatnio, z profesjonalnego, bezpaździerzowego studia w Warszawie.

W roli głównej wystąpił nieodpowiadający na pytania pan wicepremier, specjalizujący się w politycznych monologach na temat kultury. Oto nie po raz pierwszy ów urzędnik po usłyszeniu pytania wyszedł ze studia, prezentując przy tym pełen zestaw cech, które jeszcze do niedawna eliminowały człowieka z publicznych występów. Mamy tu na myśli nieskrępowane żadnymi okolicznościami ani lekami wybuchy irytacji, którym towarzyszy sapanie, ciskanie przedmiotami, zaciskanie piąstek i tym podobne objawy, kwalifikujące się do analizy oczywiście interdyscyplinarnej. Jego brak powściągliwości, jak mniemamy, wynika zapewne z kilku powodów: a to z poczucia bezkarności i niższości sublimującej w wyższość, z pocziwego braku poczucia obowiązku i z powodu znajdowania przyjemności w obrażaniu innych. Jest to o tyle sprawa publiczna, że ów nie jest bynajmniej pytany o sprawy prywatne, ale o to, co robi z nie swoimi pieniędzmi, które chyba – wydaje się to zupełnie groteskowe – uważa za swoje. I byłoby to niemal wszystko, co mamy do powiedzenia, choć dodać wypada jeden detal. Na temat powściągliwości.

Zapewne jedynym miejscem dziś w Polsce, gdzie owa jest uprawiana – też oczywiście przez wicepremiera, którego dziś publiczną rolą jest emanacja wrogości i furii – jest gabinet Gospodarza. Chcielibyśmy zobaczyć, jak pan wicepremier Głiński wyraża tam swoje opinie i emocje, jak się tam, za przeproszeniem, stawia.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Sporo czasu zajęło mi uświadomienie sobie,
że żydowski los to coś, czego się nie da porzucić. (...)
Polakiem może zostać Niemiec, Rosjanin,
Ukrainiec, ale nie Żyd.

Aleksander Smolar, Bardzo smutna rocznica



pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **już w sprzedaży**
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

Kuchnia dla głodnych wiedzy

Czy zastanawialiście się, **kiedy ludzie zaczęli gotować?**

Jak przyrządzali jedzenie **neandertalczycy?**

Jak mógł smakować **stek po kromanieńsku?**

Michał Kuźmiński poprowadzi Was przez fascynujące tajniki jedzenia i gotowania od czasów prehistorycznych po najdalszą przyszłość.

